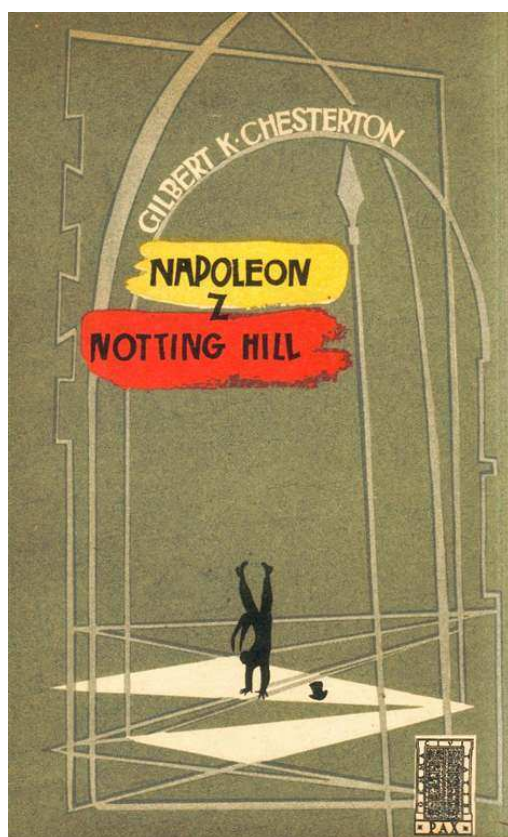


**GILBERT KEITH CHESTERTON**

**NAPOLEON  
Z NOTTING HILL**

TYTUŁ ORYGINAŁU: THE NAPOLEON OF THE NOTTING HILL  
PRZEKŁAD: JANINA ŁASZCZOWA



INSTYTUT WYDAWNICZY „PAX” WARSZAWA 1957

# ZAMIAST PRZEDMOWY

GILBERT KEITH CHESTERTON (1874—1936)

## I

W pełni sił twórczych, nie ustając do końca w płodnej i nieprawdopodobnie szybkiej pracy pisarskiej, rozstał się ze światem dobrotliwie uśmiechnięty, otyły pan, którego charakterystyczna, ogromna postać w niemniej charakterystycznym stroju na sposób starodawnej cyganerii artystycznej — czarna peleryna, rozwiany krawat, szeroki kapelusz — należała przez trzy z górą dziesiątki lat do najpopularniejszych w życiu literackim Londynu, a którego nazwisko także już od długiego szeregu lat w całym świecie czytającym zawsze wspomniane było z akcentem jakiejś szczególnej serdeczności.

Przedwczesny zgon Chestertona (1936), w sześćdziesiątym drugim roku życia, przerwał twórczość, co przez lat trzydzieści kilka — od zarania naszego stulecia — płynęła strugą nieprzerwaną, zawsze jednakowo obfitą i szumną. Starając się sprowadzić całą olśniewającą różnorodność treści i form tej twórczości do jednego wspólnego mianownika, krytycy zatrzymują się zwykle na twierdzeniu, że Chesterton z powołania, zawodu i usposobienia był dziennikarzem i że cechy dziennikarskie nosi cała jego spuścizna literacka.

Istotnie, biorąc zjawisko od jego strony zewnętrznej, mamy do czynienia przede wszystkim z dziennikarzem, co prawda o imponująco szerokim zasięgu i rozmachu. Kształcony na artystę-rysownika w szkole sztuk pięknych — Slade School przy Uniwersytecie Londyńskim, wywodzącej się z początków ruskinowskich, Chesterton sam rychło snadź doszedł do przekonania, że do niczego wyższego nad rysowanie dobrych karykatur nie posiada zdolności i wtedy zamienił ołówek na pióro zawodowego publicysty. Dziennikarzem rzeczywiście pozostaje całe życie: pracuje najpierw przez szereg lat w przodującej liberalnej gazecie *Daily News*, potem — przed samą I wojną — w nowym socjalistycznym dzienniku *Daily Herald* (przy czym w *Daily News* śmiało krytykuje liberałów, a w *Daily Herald* jeszcze energiczniej socjalistów) — pisuje poza tym do całego mnóstwa innych czasopism; z regularnością godną najwyższego podziwu przez długie dziesiątki lat dostarcza co tydzień felietonu do *Illustrated London News*, pisma tak poczytnego poza Anglią (ostatni w nim artykuł jego pióra czytała kontynentalna Europa w sam dzień jego śmierci!); jest przez długi czas duszą tygodnika *The New Witness*, a potem przez jeszcze dłuższy okres wydawcą, redaktorem i głównym współpracownikiem własnego pisma tygodniowego *G. K.'s Weekly*. Wreszcie z artykułów pozbieranych z czasopism, składa się długi szereg jego tomów eseistycznych, ciągnący się przez wszystkie lata jego kariery pisarskiej od początku stulecia.

Ale jeżeli zawsze pozostał dziennikarzem, to wysoko ponad przeciętny poziom rzemiosła dziennikarskiego wznosił się nie tylko w samej tej swej publicystyce jako takiej, lecz wcześniej także i w licznych innych dziełach, których do publicystyki, nawet szeroko pojętej, już żadną miarą zaliczyć nie można.

A więc przede wszystkim w obszerniejszych studiach krytycznych i historyczno-literackich. Najświetniejszą jego książką tej kategorii jest bezsprzecznie kapitalna monografia o Dickensie (Charles Dickens, 1906), zarys syntetyczny, rozwinięty szczegółowo w szeregu doskonałych wstępów do dzieł Dickensa w wydawnictwie Everyman's Library (*Appreciations and Criticisms of the Works of Charles Dickens*, 1911). Z Dickensem łączą Chestertona pewne najrdzenniejsze cechy jego natury — nie tylko ten sam słoneczny humor i ta sama optymistyczna wiara w dobroć normalnej natury ludzkiej, ale i ta sama zdolność do łączenia realizmu z fantasmagorią, ta sama uczuciowa impulsywność i arcy-nielogiczna, ale niezawodnie trafna, instynktowna intuicja, ta sama skłonność do groteski i karykatury w treści, a do barokowego komizmu w słowie. Cóż dziwnego, że o Dickensie pisze z mistrzowską

swobodą, gdy pisze jakby o sobie? Dziwniejsze, że jako prawdziwe *tours de force* sztuki portretu literackiego udają mu się charakterystyki pisarzy, od których dzieli go znaczne różnice; Browninga (1903), podobnego doń przez optymistyczną afirmację życia, ale dalekiego odeń przez upodobanie do zawiłej dialektyki; W. Thackeraya, z którym ma wspólne satyryczne zacięcie, ale który głęboko się różni od niego melancholijnym sceptycyzmem moralnym; W. Blake'a (1910), malarza i poety równie egzaltowanego w swym wizjonerstwie jak Chesterton jest krwisty i ziemski nawet w swych fantazjach; R. L. Stevenson (1927), równie prostego w swej sztuce opowiadania jak Chesterton jest ekstrawagancki; wreszcie G. B. Shawa, o którym Chesterton jeden z pierwszych napisał całą książkę (1909), a który jako socjalista o podkładzie biologiczno-przyrodniczym stoi wprost na przeciwnym biegunie w porównaniu z historycyzmem, mistycyzmem i indywidualistycznym humanizmem Chestertona. Ze studiów nad wielu innymi jeszcze, wielce różnymi i bardzo od niego psychiką różnymi pisarzami ubiegłego wieku, urosła wyiskrzona bystrymi spostrzeżeniami i dowcipnymi określeniami książeczka „Wiek wiktoriański w literaturze”, (*The Victorian Age in Literature*, 1913), wydana w popularno-naukowej serii.

## II

Jeszcze dalej poza ramami zawodu dziennikarskiego znajdujemy się w rozległej dziedzinie tych licznych poezji Chestertona, które wypełniają okazały tom w swym wydaniu zbiorowym (*Collected Poems*, 1927). Czegóż tam nie ma, od sławnych kilku zwrotek dumań osiołka, którym ludzie gardzą, ale któremu snują się po głowie wspomnienia o owym wielkim dniu w Jerozolimie, gdy wkoło niego lud wołał „Hosanna” i palmy mu rzucano pod nogi, do grzmiącej fanfarami ballady o sławnym zwycięstwie morskim Don Juana d'Asturia nad Turkami pod Lepanto w 1571 roku, od piosenek o winie i sielskiej przyrodzie, o wygodnych starych oberżach i krętych starych gościńcach angielskich (*Wine, Water and Song*, 1915) do smutnych refleksji powojennych nad tragizmem angielskich ofiar wojny i gorzkich inwektyw przeciw potwornościom spekulacji kapitalistycznej (*The Ballad of Saint Barbara and Other Verses*, 1922). Nad całą tą obfitością rymów, prawie zawsze przedziwnie śpiewnych i potocznych, góruje — nie tylko rozmiarami — dłuższy opowiadający poemat z wczesnych lat męskich autora „Ballada o białym koniu” (*The Ballad of the White Horse*, 1911). Płynnym długim wierszem starych ballad ludowych angielskich i szkockich, z galopującą werwą epicką, a z intuicją filozofa historii, prawi nam w nim poeta o wielkim czynie wyzwolenia Anglii IX wieku od najazdu pogańskich Wikingów ze Skandynawii przez bohaterstwo króla Alfreda Wielkiego, tego Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego dawnych dziejów angielskich w jednej osobie. W ujęciu soczyście realnym, z domieszką legendarnych anegdot o przygodach króla na tułaczce po własnym kraju, Alfred staje się symbolem potęgi chrześcijaństwa jako ostoi cywilizacji przeciwko falom barbarzyństwa, wciąż na nowo zalewającym stare terytoria rzymskiej Europy od czasów wędrówki ludów; i symbolami też są trzej główni wodzowie, walczący pod jego rozkazami: Rzymianin, Celt i Anglosas, razem uosabiający składniki plemienne nowego wielkiego narodu angielskiego.

Poezja Chestertona, bardzo daleka formą i treścią od panujących dziś rytmów i idei, w samej krytyce angielskiej nigdy wysokiej rangi nie otrzymała, a poza Anglią tylko najbardziej zdecydowanym wielbicielom Chestertona jest znana. Cały świat natomiast — choć niestety często w błędnych aż do zupełnej niezrozumiałości przekładach — rozczytywał się w tych osobliwych utworach opowiadających prozą, które w braku odpowiedniejszego określenia nazywa się zazwyczaj powieściami Chestertona. I tutaj przypomina się nam Dickens, ale pewne jego osobliwości są podniesione jakby do dziesiątej potęgi. Jeżeli już w „Pickwicku” podziwiano zdolność wielkiego realisty Dickensa do twórczości „mitologicznej”, to znaczy przedziwne połączenie codziennej rzeczywistości angielskiej z najśmielszą komiczną fantazją w rysunku osób i wymyślaniu epizodów, to u Chestertona ten dualizm jest jeszcze bardziej biegunowy: poruszając się niby to w powszednim środowisku angielskim, co chwila ulatujemy wraz z dziwacznymi figurami powieści w niezemskie przestworza jakichś zdumiewających pomysłów i przygód.

Utopią już w samym położeniu była pierwsza fantazja powieściowa Chestertona „Napoleon z Notting Hill” (1904), choć w tytule wymienia dobrze znaną, stateczną, mieszczańską dzielnicę Londy-

nu. Chodzi o Londyn przyszłości: w końcu XX wieku nuda zmechanizowanego i skomercjalizowanego świata urozmaicona jest przez parkosyzymskie ambicje w łonie wielkiego miasta; ten osobliwy regionalizm gminny, choć prowadzi nawet do niszczącej wojny, staje się w ostatecznym bilansie pierwiastkiem duchowo ożywczym. Gloryfikacją ożywczej różnorodności na innym podłożu jest „The Club of Queer Trades” (1905), gdzie „klub ludzi o dziwnych zawodach” jest rodzajem agencji dla stwarzania sposobności do fantastycznych przygód ludziom o romantycznym usposobieniu. Podobny motyw na jeszcze innym tle spotykamy ponownie w „Manalive” (1912), gdzie bohater — „żywy człowiek” — dla romantycznego urozmaicenia życia inscenizuje wprowadzenie własnej żony z pensjonatu, w którym się w tym celu oboje incognito instalują.

Niemniej zadziwiająca dla czytelnika niespodzianką jest ostateczne wyjaśnienie sytuacji w jednej z najbardziej znanych powieści Chestertona „Człowiek, który był Czwartkiem” (The Man Who Was Thursday, 1908). Członkowie międzynarodowego komitetu anarchistów po kolei okazują się wszyscy członkami organizacji obrońców istniejącego porządku społecznego, wreszcie i sam prezes komitetu okazuje się kierownikiem tamtej organizacji. Postać owego prezesa, tajemniczego „Niedzieli”, otoczona w końcu jakby panteistyczną aureolą, ujawnia nam podstawową myśl autora: najwyższe dobro zyskuje się tylko w walce między przeciwnymi pierwiastkami; drogą tej walki dokonuje się wyrównanie rachunków między złem a dobrem w świecie, z pewną nadwyżką na rzecz dobra. Tajemnica „Niedzieli” to tajemnice świata: w jego osobowości właśnie równoważą się pierwiastki złego i dobrego.

Drugą taką filozoficzną alegorią wiekuistej w świecie walki między pierwiastkiem pozytywnym a negatywnym jest alegoryczna już w samym swym tytule opowieść, nazwana według szczytu kopuły kościoła świętego Pawła w Londynie „Kula i krzyż” (The Ball and the Cross, 1910). Wydawca antyreligijnego pisma jest ucieszony, że ktoś demonstruje przeciwko niemu i wybija mu szyby; bo widzi w tym dowód, że nareszcie kogoś w tym zubożonym świecie naprawdę przejmują te zagadnienia, o które on całe życie walczy. W miarę jak do sporu tych dwóch ludzi — ateisty i katolika — mieszają się przedstawiciele różnych innych idei, przekonują się obydwoje, że właściwie tworzą front wspólny przeciw religijnemu indyferentyzmowi ogółu. Toteż wydostają się wspólnymi siłami z zakładu obłąkanych, do którego ich razem zamknięto jako maniaków religijnych, i ruszają razem w świat z propagandą zainteresowania dla religii. Znowu więc, jak w „Napoleonie z Notting Hill” i „Człowieku, który był Czwartkiem”, wielkie „Tak” i wielkie „Nie” świata uzupełniają się wzajemnie z widokiem na bilans korzystny dla pierwiastka pozytywnego.

W stronę innych zagadnień, społeczno-ustawodawczych, zwracamy się w rozkosznej idylli satyrycznej „Latająca gospoda” (The Flying Inn, 1914). W ostatnich latach przed wojną — na szereg lat przed wielkim eksperymentem prohibicyjnym w Ameryce — były próby wprowadzenia prohibicji w Anglii drogą miejscowego ustawodawstwa samorządowego. Perspektywa takiego zamachu na swobodę jednostki zaniepokoiła Chestertona — który sam szklanką tęgiego piwa angielskiego nigdy nie gardził! — i natchnęła go do dowcipnej fantazji, której widownią jest przyszła Anglia po wprowadzeniu państwowej ustawy prohibicyjnej. Ostatni w Anglii oberżysta i jego przyjaciel z ocalonym godłem oberży „Pod starym okrętem” oraz z kręgiem sera i beczką trunku wędrują po kraju jako ostatni obrońcy wolności i wesołości starej Anglii. Przyłącza się do nich poeta: opowieść o ich przygodach przeplatana jest czarownymi obrazkami przyrody angielskiej i uroczymi piosenkami. Ostatecznie rewolucja antyprohibicyjna zwycięża przeciw koalicji fanatyków abstynencji.

Jeżeli już tutaj wędrowni błędni rycerze antyprohibicyjni po kraju przypominają nam przygody Don Kiszota, to sam Don Kiszot zmartwychwstaje na widowni powieści chestertonowskiej w powojennym utworze „Powrót Don Kiszota” (The Return of Don Quixote, 1927). Na zamku bogatego lorda odbywa się przedstawienie amatorskie dramatu z życia średniowiecznego. Najgorliwszy z uczestników pozostaje w stroju rycerza i rusza w świat jako propagator powrotu do średniowiecza; tworzy rodzaj zakonu rycerskiego i reorganizuje produkcję przemysłową w duchu syndykalistycznym na obraz i podobieństwo cechów średniowiecznych. Rzecz, pisana wkrótce po załamaniu się strajku generalnego 1926 roku, ma wyraźną i oczywistą tendencję aktualną, jak zresztą każdy prawie z wymienionych utworów opowiadających.

Bardzo miłym dla czytelników i niezmiernie popularnym w całym świecie dodatkiem do większych dzieł powieściowych Chestertona stało się kilka cykli krótkich nowelek, w których skorzystał z rozpowszechnionego dziś tak bardzo — szczególnie w krajach anglosaskich — upodobania do opowieści kryminalnych o wyczynach detektywów-amatorów w rodzaju Sherlocka Holmesa, i umiał

także w tej dziedzinie dać coś uderzająco nowego i niespodzianego. Wspólnym bohaterem tomików „Niewinność ojca Browna” (The Innocence of Father Brown, 1911), „Mądrość ojca Browna” (The Wisdom of Father Brown, 1914), „Niedowiarstwo ojca Browna” (The Incredulity of Father Brown, 1926) i „Tajemnica ojca Browna” (The Secret of Father Brown, 1927) jest niepozorny ksiądz katolicki, jezuita, ojciec Brown, u którego (po raz pierwszy z okazji światowego kongresu eucharystycznego w Londynie w 1912 roku) objawiają się prawdziwie genialne zdolności detektywistyczne, wykorzystane potem w długim szeregu trudnych wypadków. Sam ojciec Brown skromnie tłumaczy te swoje zdolności wyszkoleniem psychologicznym, nabytym w konfesjonale, autor zaś pogłębia to tłumaczenie, dowodząc, że „sam ojciec Brown zabił tych wszystkich ludzi”, to jest, że wstawiał się z prawdziwie chrześcijańską pokorą w położenie mordercy i przez to dochodził jego tożsamości. Swój udział w produkcji rodzaju literackiego tak zdawkowego jak nowele kryminalne umiał Chesterton także głębiej uzasadnić i przez to zarazem same utwory włączyć w ramy swej ogólnej ideologii, dowodząc, że wśród zautomatyzowanej cywilizacji naszych czasów rodzaj ten przypomina, iż „cywilizacja jest najbardziej sensacyjną z wypraw i najbardziej romantyczną z rebelii”, że „żyjemy w zbrojnym obozie tocząc wojnę z chaotycznym światem”.

Dziwy wśród codzienności — to godło, które mogłoby widnieć nad wszystkimi utworami powieściowymi Chestertona, nadaje się także dla znanego szeroko w świecie utworu dramatycznego, „Magia” (Magic, 1913). Dzięki śmiało wprowadzeniu na scenę rzeczywistych sztuk czarnoksiężskich nabiera siły dramatycznej utwór na pozór czysto konwersacyjno-dyskusyjny. W rozmowach salonowych agnostycyzm nowoczesnej nauki i pragmatyzm kościoła państwowego stają widome naprzeciwko siebie pod postaciami lekarza domowego i proboszcza wiejskiego, zaś ogólniejsze zasady mistycyzmu z jednej a racjonalizmu z drugiej strony reprezentują: pani domu, wychowana w Irlandii i wierząca w elfy, i jej brat, wychowany w Ameryce i wierzący tylko w technikę; wreszcie uosobieniem najpoważniejszej myśli utworu w błazeńskiej szacie staje się kuglarz wędrowny, który okazuje się prawdziwym magikiem. Zupełnie w myśl doktryn średniowiecznych skonstruowane są ze sobą „czarna” i „biała” magia: wyrazicielem czarnej staje się kuglarz, który przyznaje się do chwilowych stosunków ze złym duchem i który w pojęciu autora uosabia „straszliwe tajniki” ukryte w zjawiskach powszednich, przedstawicielką „magii białej” jest owa wierząca w elfy bohaterka Patrycja, która swym uszlachetniającym wpływem podnosi kuglarza ku własnym wyżynom moralnym, i wraz z nim postanowiwszy iść przez życie, torować będzie drogę wskrzeszonej zdolności do wiary na miejsce sceptycznej pustki duchowej i beznadziejnej obojętności metafizycznej intelektualistów XIX wieku.

### III

Zdolność do wiary — oto dyspozycja duchowa, która głęboko snadź tkwiła od początku w naturze Chestertona. Gdy na horyzoncie literackim w pierwszych latach naszego stulecia jako „trzej najdowcipniejsi panowie w Londynie” zajaśnili młodzi jeszcze wówczas literaci Chesterton, Max Beerbohm i Hilary Belloc; ten ostatni, pół-Francuz rodem i wychowaniem, i katolik z urodzenia, już w pierwszej swojej znakomitej książce „Droga do Rzymu” (The Path to Rome, 1902), a niebawem w szeregu dalszych, silnie akcentował religijny pogląd na świat i specyficznie katolickie stanowisko zarówno wobec zjawisk historycznych jak wobec zagadnień aktualnych. Chesterton, wtedy jeszcze anglikanin, potępiając bezdusność dogmatyzmu przyrodniczego w nauce, zabójczą monotonię standaryzowanej cywilizacji przemysłowej, ciasnotę pragmatyczno-racjonalistycznego myślenia i nieludzkość wszelkiego doktrynerstwa czy liberalnego, czy socjalistycznego, walczy o uznanie potęgi i znaczenia sił irracjonalnych w świecie i w naturze ludzkiej a więc także — i przede wszystkim — o wskrzeszenie niknącego ducha religijności. Już przed wojną przy tym, a jeszcze bardziej po wojnie, razi go szerząca się w młodszych umysłach anarchia intelektualna i moralna, powstała jako reakcja przeciw rygoryzmowi moralnemu i konwencjonalizmowi intelektualnemu ery mieszczańskiej, a zakorzeniona ideowo — ale zakorzeniona jako niebezpieczny chwast! — w glebie liberalnego indywidualizmu XIX wieku. Lekarstwem na tę zdrożną skłonność może być tylko jeden wielki autorytet centralny w świecie ducha i musi to być autorytet, czerpiący swe sankcje spoza granic ziemskiego doświadczenia i ludzkiego rozumu, ze sfery absolutu.

Tą drogą Chesterton, jak niemal sto lat przed nim Newman, dochodzi już wcześniej do katolicyzmu, choć formalne przejście na łono Kościoła katolickiego dokonuje się u niego, jak u Newmana, dopiero po długich latach. Przeszedł ostatecznie na katolicyzm w roku 1922.

Element religijny z dawna w twórczości jego prawie wszechobecny, staje się po tych przeżyciach górujący. Używa teraz Chesterton swego melodyjnego daru lirycznego do napisania tomika pieśni o Matce Boskiej: „Królowa siedmiu mieczów” (*The Queen of Seven Swords*, 1926), zjawisko to po czterech wiekach milczenia prawie zupełnie nowe w literaturze angielskiej, bo nawet katolicy angielscy zazwyczaj odczuwali coś z protestanckich przesądów przeciwko „mariolatrii”.

Przed wszystkim jednak w prozie Chestertona tematy religijne szersze teraz niż kiedykolwiek zajmują miejsce. Gdy H. G. Wells osiąga światowy sukces przez swój „Zarys historii świata”, oparty na materialistyczno-kolektywistycznej koncepcji dziejów, Chesterton tej syntezie przeciwstawia własną, która oczywiście jest obroną indywidualizmu i mistycyzmu, zatytułowaną „Wiekuisty człowiek” (*The Everlasting Man*, 1925). Główną tezą tej książki jest, że są dwa wielkie cuda w historii: pojawienie się człowieka w przyrodzie i pojawienie się Chrystusa wśród ludzi, i że tych dwóch zjawisk ani mechanistyczna biologia, ani materialistyczna historiozofia nigdy nie wytłumacza.

Najwspanialsze jednak owoce wydaje to religijne natchnienie Chestertona tam, gdzie może skupić swą siłę twórczą na rysunku jednej wielkiej postaci ludzkiej. Najpiękniejszym bodaj jego studium historyczno-biograficznym po „Dickensie” staje się „Święty Franciszek z Asyżu” (*Saint Francis of Assisi*, 1923), gdzie z uniesieniem wielbi ten najwyższy wykwit ducha miłości w świecie średniowiecznym. Za konieczne uzupełnienie tego obrazu uważa hołd dla najwyższych dokonań mądrości średniowiecznej, hołd złożony w monografii „Święty Tomasz z Akwinu” (*Saint Thomas Aquinas*, 1933) tym razem już nie bez ubocznych spojrzeń satyrycznych na rozmaitą pseudo-mądrość naszych czasów. A cały ustrój społeczeństwa średniowiecznego z zapalem gloryfikuje, pisząc o tym wielkim jego poetyckim pomniku, jakim są „Opowieści kanterberyjskie” genialnego poety humorysty Anglii XIV wieku, Chaucera (*Chaucer. and His Age*, 1935).

Oczywiście, że natchnienia religijne i łączący się z nimi kult średniowiecza bynajmniej nie wypełniają swą treścią duchową całej powojennej twórczości Chestertona. Po dawnemu nie przestaje on z najwyższym zainteresowaniem towarzyszyć wszystkim zjawiskom aktualnym współczesnego życia kulturalnego i społecznego i zawsze śmiało, oryginalnie je krytykuje. Po dawnemu w imię wolności człowieka walczy przeciw zmechanizowaniu życia społecznego i duszy ludzkiej przez techniczną cywilizację naszych dni; ale też po dawnemu zwalcza wybujałe i antysocjalne egoizmy, wyrosłe na gruncie systemu kapitalistycznego. W wielkim procesie dziejowym, rozgrywającym się na naszych oczach pomiędzy liberalizmem a socjalizmem, sympatie Chestertona nie towarzyszą ekstremistom ani jednej, ani drugiej doktrynie. Sam pod silnym wrażeniem nędzy i niesprawiedliwości społecznej w otaczającym go świecie powojennym przez szereg ostatnich lat życia coraz usilniej przemawia za radykalnym programem, łączącym zasadę własności prywatnej z hasłem zmienionego jej podziału: „dystrybucjonizm”, głoszony na łamach jego pisma *G. K.'s Weekly* i w takich książkach jak „Zarys zdrowej myśli” (*The Outline of Sanity*, 1926), domaga się wielkich ofiar ze strony klas posiadających dla stworzenia godnych i ludzkich, przeciętnych warunków indywidualnej egzystencji; w dziedzinie własności ziemskiej równa się to programowi reformy rolnej. Nie darmo też Chesterton osobną książkę poświęcił klasykowi literackiemu i bohaterowi politycznemu starej Anglii małorolnej sprzed stu lat, Williamowi Cobbettowi (*William Cobbett*, 1926).

Najtrudniej w ramach któregośkolwiek z istniejących programów partyjnych jest zamknąć poglądy polityczne Chestertona. Wraz z kapitalizmem XIX wieku potępia i jego demoliberalny parlamentaryzm, w tylu wypadkach na naszych oczach do absurdu dochodzący; ale też nie ma zawziętszego odeń wroga tyranii biurokratycznych czy dyktatorskich systemów nad jednostką, totalitaryzm państwa hitlerowskiego, zwłaszcza gdy się zwrócił przeciw kościołom, spotkał się z ostrym potępieniem z jego strony.

W stosunku do własnego kraju Chesterton nieraz zdobywa się na sądy surowe: we wczesnych już latach powstawał przeciw imperializmowi, panoszącemu się w okresie wojny boerskiej, a w samym pierwszym roku wojny światowej miał śmiałość wydać książkę pt. „Zbrodnie Anglii” (*The Crimes of England*, 1915), w której wytyka dawnej, oligarchiczno-arystokratycznej Anglii różne jej dziejowe przewinienia i błędy, stawiając na pierwszym miejscu wśród tych zbrodni prusofilstwo Anglii w okresie rozbiorów Polski. Ten proces historyka przeciw polityce brytyjskiej systematycznie potem jest wytoczony w „Krótkiej historii Anglii” (*A Short History of England*, 1927). A przeciw

nowszej Anglii plutokratycznej grzmiał Chesterton niejednokrotnie i wierszem i prozą, szczególnie na widok deprawacji gospodarczej po wojnie.

Ale już w „Historii” nie brak także słów rzetelnego uznania dla wielkich dokonań geniuszu angielskiego i dla zalet charakteru narodowego; a z takich powieści jak „Latająca gospoda” i z wielu uroczych piosenek, poświęconych pięknu starej Anglii sielskiej, łatwo wyczytać, jak gorąco autor kocha swój kraj i naród, z wszystkimi tego narodu wadami i dziwactwami, ale także z jego twórczą potęgą i jego moralnym zdrowiem.

Niemniej gorąco umiał kochać i wielbić inne narody, gdy u nich widział pierwiastki wielkiej tradycji kulturalnej i chlubną dla ludzkości służbę. Spisał z sympatycznym zrozumieniem, choć zgoła nie bezkrytycznie, swoje wrażenia z podróży do Irlandii (1919), do Ameryki (1922) i do faszystowskich Włoch (1930). Na wartościach Polski jako placówki starej cywilizacji chrześcijańskiej na kresach Europy poznał się na dobre w okresie I wojny światowej i odtąd pozostał wiernym naszym przyjacielem i rycerskim obrońcą wśród różnych dowodów ignorancji lub zgoła niechęci dla nas w świecie anglosaskim. Jako takiego wielkodusznego rzecznika Polski gościliśmy go radośnie w Warszawie i innych naszych większych miastach w roku 1927. Oprócz takich manifestów polonofilizmu Chestertona jak wstęp do książki prof. Ch. Sarole'a „Letters on Polish Affairs” (1922) i przedmowa do angielskiego przekładu „Nieboskiej komedii” (1923) świadczą o stałym uznaniu dla Polski i przywiązaniu do niej liczne artykuły i aforyzmy, rozsiane po tomach zbiorowych jego pism, a po części pogrzebane w starych numerach czasopism. Godnym wyrazem wdzięcznej pamięci Polski o takim przyjacielu byłaby antologia tych jego życzliwych sądów o Polsce w przekładzie na nasz język. Zupełny prawie materiał bibliograficzny do takiej antologii znaleźć można w doskonałej książce W. Borowego: „Gilbert Keith Chesterton” (Kraków, 1929), a wiązanek wspomnień osobistych o ustnych wypowiedziach polonofilskich Chestertona dał piszący te słowa w swej książce o Anglii i Anglikach (Warszawa, 1929). Wspomnijmy i o tym, że zanim jeszcze Chesterton został wielkim przyjacielem Polski, już z kraju naszego rozległ się jeden z wczesnych w Europie głosów uwielbienia dla pisarza w książeczce A. Patkowskiego „Apostoł nierozsądku” (Kraków, 1916).

Często słyszało się w krytyce angielskiej głosy, że Chesterton się wypisał i zmanierował. Łącząc z niewyczerpaną płodnością literacką temperament urodzonego dziennikarza, wcześniej się przyzwyczał, podobnie jak Bernard Shaw, dla silnego i doraźnego efektu stale operować wpółżartobliwą apodyktycznością i pomysłowymi paradoksami; i rzeczywiście ten jego styl staje się nieraz nużąco jednostajny, a w takich książkach jak „Opowieści naciągnięte” (Tales of the Long Bow, 1925), gdzie obrazowe zwroty przysłowiowe bierze paradoksalnie dosłownie i robi motywami całych nowel, „maniera chestertonowska” niewątpliwie dochodzi do przesady.

Ale jest w tym wszystkim tyle żywości zawsze bystrego i wszechstronnego intelektu, tyle świetnego dowcipu, a nade wszystko tyle zawsze gorącego serca dla spraw dobrych i wielkich, że nawet najwybredniejszy krytyk literacki wśród czytelników nie może autora wciąż na nowo nie podziwiać i musi go stale kochać. Toteż wydane pośmiertnie jego rozkosznie gawędziarskie pamiętniki (Autobiography, 1936) znalazły w całym świecie ogromne rzesze czytelników, ku którym z ich kart wygląda jego dobrotliwie uśmiechnięte oblicze, a z każdego słowa bije jego wielkie, przezacne serce. \*

*ROMAN DYBOSKI*

\* Rozdział z książki prof. dr. R. Dyboskiego „Sto lat literatury angielskiej”

## DO HILAREGO BELLOKA

*Jest wsi i mieścin niezliczone mrowie,  
Którym Bóg gwiazdy na niebie zawiesza,  
Siedzą je bacznie dzieci oczka sowie,  
Gdy drżą, wplątane w sieć zieloną drzewa.  
Ty widzisz księżyc blady, nieruchomy,  
Tkwiący w Sussexu wzgórz zamglonej dali,  
A ja ten miejski, co Campdenu domy  
Srebrem malując, jak gwiazda się pali.*

*Tak! niebios głębia jest zawsze nad nami,  
Jakby z błękitu wyrzeźbiona czara  
(Lecz tu myśl moja lotnymi skrzydłami  
Do celu dotrzeć usilnie się stara),  
Tak, jak wspaniałe, heroiczne sprawy,  
Które do końca świata będą żyły,  
Choć wokół pełno nudnej maszyn wrzawy,  
A więc się nie trwóż, przyjacielu miły.*

*One przy urnie Nelsona nie zgasną,  
Gdyż chwala Anglii tam zakłeta leży,  
Ni te spod Austerlitz, gdzie śmierć swą własną  
Jak wino piły tysiące młodzieży.  
A gdy pedantów tłum z tępym uporem  
O mechanicznej przyszłości zaskrzeczy,  
My pomyślimy samotnym wieczorem:  
— Być może, jednak są piękniejsze rzeczy.*

*Jakże jest pięknie, gdy przez równin dale,  
Przez kraj szeroki, cichy i spokojny  
Śmierć wraz z Wolnością tańczą w dzikim szale,  
A bębny warczą głuchy werbel wojny.  
Pięknie gdy w walkach barykady trzeszczą,  
Górną dym bucha, rzeź na dole gości,  
A śmierć i zemsta wraz z piekłem obwieszczą,  
Że ludzkość ma już nowy cel miłości.*

*Śniłem, że z dala tve słoneczne wzgórza,  
Że ulic pustką wiedzie wprost ma droga.  
We śnie ulica wciąż mi się wydłuża,  
By w końcu spleść się z gwiazdnym szlakiem Boga  
Legenda owej epicznej godziny,  
Którą przeżyłem w snach dziecięcych tylu  
Leci pod gwiazdy niebiańskiej wyżyny,  
Krażąc wokół wieży na Campden Hillu.*

Przełożyła MARIA DOLEŻAŁ



# CZEŚĆ PIERWSZA

## Rozdział I

### WSTĘPNE UWAGI O SZTUCE PRZEPOWIADANIA PRZYSZŁOŚCI

Rodzaj ludzki, do którego należy tak wielu moich czytelników, zawsze lubi bawić się w dziecinne gry i niewątpliwie zachowa to upodobanie aż do końca świata, co jest przyczyną wielu kłopotów i niedogodności dla tych nielicznych, którzy są naprawdę zupełnie dorośli.

Jedną z ulubionych rozrywek ludzi jest zabawa w „trzymanie jutra w cieniu”, zwana również, jak mi wiadomo, przez wieśniaków ze Shropshire zabawą „w poszukiwanie proroków”. Grający słuchają uważnie i z wielkim szacunkiem wszystkiego, co mądrzy ludzie mają im do powiedzenia o tym, co się przydarzy w następnym pokoleniu. Potem grający czekają cierpliwie, aż ci wszyscy mądrzy ludzie poumierają, a wtedy grzebią ich przykładnie. Potem idą sobie i robią zupełnie coś innego, niż tamci przepowiadali. I to wszystko. Ale dla ludzi o upodobaniach prostych jest to zabawa bardzo zajmująca.

Bo ludzie, będąc właściwie dziećmi, obarczeni są ich krnąbrnością i skrytością, i nigdy od początku świata nie robili tego, co mędrcy uważali za nieuniknione. Powiadają, że kamienowali fałszywych proroków, ale na pewno z większą i słuszniejszą radością kamienowaliby proroków prawdziwych. Poszczególni ludzie mogą zachowywać się mniej lub więcej rozsądnie: jedzą, śpią, robią jakieś plany. Ale ludzkość jako całość jest zmienna, tajemnicza, płocha i zachwycająca. Ludzie mogą być mężczyznami, ale Człowiek jest kobietą.

Lecz oto na początku dwudziestego stulecia gra w „oszukiwanie proroków” stała się o wiele trudniejsza, niż była kiedykolwiek przedtem. Rzecz w tym, że pojawiło się tak wielu proroków i tyle prorocत्व, iż zaczęło być rzeczą bardzo trudną uniknięcie wszystkich ich pomysłów. Ktoś na przykład spełnił jakiś czyn śmiały i oryginalny, nawet szalony, lecz natychmiast ogarniały go straszne wątpliwości: a nuż było to już z góry przepowiedziane? Nawet jeśli jakiś książę wdrapał się na latarnię, albo jakiś dziekan upił się, to i oni nie mogli być prawdziwie szczęśliwi, bo żaden z nich nie miał pewności, czy nie spełnia jakiegoś prorocत्व. Na początku dwudziestego stulecia tyłu się namnożyło mądrych ludzi, że nie było gdzie szpilki wetknąć. Byli tak pospolici, że głupi człowiek stał się rzadkim wyjątkiem, toteż gdy takiego wyszukano, tłumy szły za nim na ulicy, chroniono go jak skarb bezcenny i powierzano mu jakieś wysokie stanowisko rządowe. A wszyscy ci mądrzy ludzie trawili życie na sporządzaniu sprawozdań z tego, co się będzie działo w przyszłym pokoleniu i to sprawozdań, które były bardzo przewidujące, bezlitosne a wszystkie zupełnie od siebie odmienne. I zdawało się, że tym razem naprawdę nie uda się zorganizować starej pocziwej zabawy, polegającej na oszukiwaniu przodków, ponieważ przodkowie zapominali o śnie i jedzeniu, zaniedbywali politykę i sprawy bieżące, aby po całych dniach i nocach medytować nad tym, co ich potomkowie będą przypuszczalnie robić w przyszłości.

A oto, jak się zabrali do rzeczy prorocy dwudziestego stulecia: wybierali sobie takie lub inne zdarzenie, które rzeczywiście miało miejsce w ich czasach, i twierdzili, że to samo będzie się działo później w coraz większym i większym stopniu, aż stanie się coś nadzwyczajnego. A bardzo często dodawali, że już... gdzieś... w jakimś dziwnym miejscu zdarzyło się to coś nadzwyczajnego i że jest bardzo znamienne dla swoich czasów.

Do takich proroków należał na przykład H. G. Wells (i inni), który sądził, że nauka

zapanuje nad przyszłością, i tak jak na przykład samochód jest o wiele szybszy od powozu, tak potem zjawi się jakiś wspaniały wehikuł, który będzie jeszcze daleko szybszy od samochodu, i tak dalej, i dalej w nieskończoność. Z popiołów ludzi tak myślących powstał dr Quilp, który twierdził, że kiedyś będzie można wysłać człowieka na maszynie krążącej z taką szybkością dookoła świata, iż będzie on w stanie prowadzić długą rozmowę z kimś siedzącym w jakiejś staroświeckiej zapadłej wiosce, a to w ten sposób, że za każdym razem przelatując koło niego, powie jedno słowo z całego zdania. Mówiono nawet, że pewien stary, apoplektyczny major został użyty do tego eksperymentu, a szybkość jaką osiągnął była tak wielka, iż mieszkańcy jednej z gwiazd widzieli dokoła Ziemi niby wyraźną obręcz z siwych bokobrodów, czerwonych policzków i brązowego tweedu — coś jakby pierścień Saturna.

Istniała jednak również i szkoła przeciwna. Należał do niej niejaki pan Edward Carpenter, który sądził, że powinniśmy jak najspieszniej powrócić do Natury, aby żyć po prostu i bez pośpiechu, tak jak zwierzęta. Edward Carpenter znalazł następcę w osobie Jamesa Pickie, doktora teologii (z kolegium w Pocahontas), który dowodził, że ludzie udoskonali się niezwykle, gdy będą paść się albo jeść wolno i nieustannie jak krowy. Twierdził również, że udało mu się osiągnąć wyborne rezultaty, gdy wypuścił mieszcuchów na łąkę pokrytą cielęcymi kotletami. Następnie Tołstoj i humaniści ogłosili, że świat staje się coraz litościwszy i że wkrótce nikt nie zechce zabijać. A pan Mick nie tylko został wegetarianinem, lecz po pewnym czasie potępił nawet wegetarianizm (który, jak się subtelnie wyraził, „przelewa zieloną krew milczących stworzeń”), i przepowiadał, że w przyszłych, lepszych czasach ludzie będą się żywić tylko solą. Wtedy to ukazała się broszurka z Oregonu (gdzie już tego spróbowano) pod tytułem: „Dlaczego sól ma cierpieć?” I wynikły nowe trudności.

Pojawili się też ludzie przepowiadający, że węzły pokrewieństwa będą się coraz bardziej zacieśniać. A Cecil Rhodes twierdził, że nie ma przyszłości poza Imperium Brytyjskim i że z biegiem czasu pogłębiać się będzie coraz bardziej przepaść pomiędzy tymi, co należą do tego Imperium a tymi, co do niego nie należą, pomiędzy Chińczykiem z Hongkongu a Chińczykiem z innej części kraju, pomiędzy Hiszpanem ze skał Gibraltarskich, a Hiszpanem z właściwej Hiszpanii. Będzie to przepaść równie głęboka jak ta, która oddziela człowieka od stworzeń niższego rzędu. A jego zapalczywy przyjaciel dr Zoppi (apostoł Paweł anglosaksonizmu) posunął się jeszcze dalej twierdząc, że za kanibalizm powinno uważać się zjedzenie obywatela Imperium Brytyjskiego, nigdy zaś zjedzenie obywatela podległego państwa, którego jednak należy zabić bez zadawania mu niepotrzebnego bólu. Zgroza, jaka go ogarniała na myśl, że mógłby zjeść krajowca z Gujany Brytyjskiej, dowodziła, jak dalece nie rozumieli jego powściągliwości ci, którzy go oskarżali o brak serca. Był on jednak w trudnym położeniu, gdyż, jak mówiono, starał się przeprowadzić takie badania, a mieszkając stale w Londynie, był zmuszony poprzestać wyłącznie na włoskich kataryniarzach. Lecz koniec jego był straszny, bo właśnie kiedy już rozpoczął swe doświadczenie, sir Paweł Swiller odczytał w Królewskim Towarzystwie Naukowym wyniki swych znakomitych badań, na podstawie których doszedł do przekonania, że dzicy nie tylko mają prawo zjadania swych nieprzyjaciół, lecz mają po temu powody natury higienicznej i moralnej, albowiem jest rzeczą dowiedzianą, iż zalety zjedzonego nieprzyjaciela przechodzą na tego, który go zjadł. I stary, łagodny profesor Zoppi zaczął dręczyć się myślą, że natura włoskiego kataryniarza zapanuje nieodwołalnie w jego duchowym wnętrzu.

Był też niejaki pan Benjamin Kidd, który pouczał, że dominującą cechą rasy ludzkiej będzie coraz większa troska o przyszłość i coraz dokładniejsza tej przyszłości znajomość. Myśl ta została jeszcze mocniej rozwinięta przez Wiliama Borkera, który napisał znany ustęp, wyuczony na pamięć przez wszystkie dzieci szkolne, o tych ludziach, co kiedyś będą płakać na grobach potomków, i o tych turystach, którzy każą się oprowadzać po polu jakiejś sławnej bitwy, stoczonej dopiero kiedyś, w przyszłych wiekach.

Sławny pan Stead znów sądził, że w XX wieku Anglia zostanie przyłączona do Amery-

ki, a jego młody pomocnik Graham Podge dodawał do amerykańskiej unii takie stany jak Niemcy, Francja, stan Rosja, nazywając go w skrócie „Ra”.

Wreszcie Sidney Webb zapewniał nas, że przyszłe pokolenia będą świadkami stale rosnącego porządku i czystości w ludzkim życiu. Jego biedny przyjaciel Fips zwariował na tym punkcie i biegał wszędzie z siekierą w ręku, a gdy tylko zobaczył nierówną ilość gałęzi po obu stronach drzew, natychmiast obcinał zbędną.

Wszyscy ci mądrzy ludzie przepowiadali więc z wielką pomysłowością, co wkrótce stanie się na świecie i wszyscy brali się do rzeczy w jednakowy sposób, gdyż obierali sobie jeden z popularnych prądów współczesnych, który rozszerzali i przedłużali, jak tylko pozwalała im na to wyobraźnia. Był to według nich sposób najprostszy i najpewniejszy, jedynie skuteczny, by poznać zawczasu przyszłość. „Tak samo — pisał doktor Pelkins w subtelnym swym traktacie — tak samo, jak widząc w jednym miocie prosię większe niż inne prosięta, wiemy, że na mocy jakiegoś niezmiennego prawa Nieznanej Siły stanie się ono większe niż słoń, tak samo, jak widząc zielska i żółte mleczce, zagłuszające ogród, wiemy, że pomimo wszystkich naszych wysiłków przerosną one kiedyś kominy i zasłonią cały dom, tak samo wiemy i przyznajemy z uszanowaniem, że jeżeli jakaś siła okazała się w sprawach polityki bardzo czynna podczas pewnego przeciągu czasu, to siła ta będzie nadal się tak rozwijać, że kiedyś dosięgnie nieba”.

I stało się, że prorocy wprowadzili w niebywałe dotąd zakłopotanie ludzi, zajętych znaną grą w „oszukiwanie proroków”. Bo doprawdy, nie można było niczego zrobić, żeby nie spełnić przy tym jakiegoś proroctwa.

A jednak w oczach robotników na ulicy, w oczach wieśniaków w polu i marynarzy na morzu, w oczach dzieci, a zwłaszcza kobiet, był jakiś dziwny wyraz, który sprawiał, że nieraz proroków trapiło z wątpienie i gorączka niepewności. Najwięksi mędrzy nie umieli zgłębić źródła wesołości, jaka kryła się w tych spojrzeniach. Ludzie ci chowali widocznie jakąś tajemnicę w zanadrzu, ludzie ci nie przestali jeszcze bawić się w „oszukiwanie proroków”.

I mędrzy zaczęli szaleć, rzucać się tu i tam krzyżąc: „Co to jest? Co to może być? Czym będzie Londyn za sto lat? Czy jest jeszcze coś, o czym nie pomyśleliśmy? Może domy będą budować do góry nogami?... Jeszcze bardziej higienicznie niż teraz?... A może... jak myślicie?... może ludzie będą chodzić na rękach, a w nogach wyrobią sobie giętkość i zręczność rąk. A może księżyc... może samochody?... może bez głów?...” I tak gubili się w domysłach, aż w końcu przychodziła śmierć i grzebano ich przykładnie.

A potem ludzie rozchodzili się i robili, co im się podobało. Nie ukrywajmy dłużej przykryj prawdy. Ludzie oszukali proroków dwudziestego wieku. I dlatego w chwili, gdy się ta opowieść zaczyna, to jest za jakieś osiemdziesiąt lat od dziś, Londyn jest prawie taki sam jak teraz.

## Rozdział II

### ZIELONY CZŁOWIEK

Niewielu słów potrzeba, aby wyjaśnić, dlaczego Londyn za sto lat będzie prawie tym samym, czym jest dzisiaj, a raczej, ponieważ muszę użyć proroczego czasu przeszłego, dlaczego Londyn w chwili, gdy się rozpoczyna ta opowieść był prawie tym samym, czym był w owych szczęśliwych czasach, gdy ja jeszcze żyłem.

Powód tego można określić jednym zdaniem: ludzie utracili zupełnie wiarę w rewolucję. Każda rewolucja jest doktrynerska, jak na przykład Rewolucja Francuska, lub ta, która

wprowadziła chrześcijaństwo. Jasne bowiem jest dla zdrowego rozsądku, że nie można burzyć istniejącego porządku rzeczy, wraz z pewnymi nieodłącznymi obyczajami i kompromisami, o ile się nie wierzy w jakąś inną rzecz poza nimi, w coś pozytywnego i świętego. Otóż w owym wieku Anglicy nie wierzyli w nic podobnego. Wierzono natomiast w inną rzecz, którą nazywano ewolucją. I mówiono: „Wszelkie zmiany, podejmowane w imię jakiejś teorii, doprowadzały do rozlewu krwi i kończyły się źle i smutnie. Jeżeli mamy się zmieniać, musimy to robić powoli a pewnie, tak jak to robią zwierzęta. Rewolucje w naturze są jedynymi, które się udają. Nigdy na przykład nie zauważono, aby się ujawniła jakaś reakcja konserwatywna w obronie ogonów”.

To i owo jednak się zmieniło. Rzeczy, których nie brano poważnie poznikały z widowni. Inne rzeczy, które zdarzały się rzadko, przestały zdarzać się zupełnie. I tak na przykład rzeczywista siła fizyczna, która rządziła krajem, to jest wojsko i policja, zmniejszały się coraz bardziej, aż wreszcie znikły prawie zupełnie. Ludzie, zmówiwszy się, mogliby w dziesięć minut zniszczyć tych kilku pozostałych policjantów, a jeżeli tego nie robili, to dlatego, że nie widzieli w tym żadnej korzyści dla siebie. Stracili zupełnie wiarę w rewolucję.

Demokracja przestała istnieć i nikt się tym nie przejmował, że rządząca klasa rządzi. Anglia była teraz ustrojem despotycznym, ale nie dziedzicznym. Ktoś z kół rządowych zostawał królem. Nikt nie dbał o to, w jaki sposób to się odbywało, nikt nie dbał o to, kto to był. Król był tylko czymś w rodzaju generalnego sekretarza.

W ten sposób w owym czasie życie w Londynie toczyło się bardzo spokojnie. To trochę nieokreślone i przygnębiające poleganie na tradycyjnym biegu rzeczy, jakie jest nastrojem właściwym Londyńczykom stało się teraz zaakceptowanym stanem. I rzeczywiście nie było żadnych powodów, by ktoś nie robił dzisiaj tego, co robił wczoraj.

Nie było też żadnego powodu, aby trzej młodzi ludzie, którzy mieli zwyczaj co rano udawać się razem do swego ministerstwa, nie udali się tam jak zwykle i w ten właśnie zimowy i chmurny poranek. Wszystko w tej epoce stało się automatyczne a zwłaszcza urzędnicy ministerialni: wszyscy regularnie zjawiali się w swych biurach. Trzej z nich zawsze razem chodzili do pracy. Wszyscy w sąsiedztwie znali ich: dwaj byli wysocy a trzeci niski. Tego właśnie ranka niski urzędnik spóźnił się o kilka sekund, aby dołączyć się do dwóch przyjaciół, gdy ci przechodzili koło jego furtki. Mógł ich dopędzić w trzech susach, mógł z łatwością na nich zawołać. Jednak nie uczynił tego dla jakiegoś niezrozumiałego powodu, którego nikt nie pozna, chyba że dusze nasze powołane zostaną na sąd, jeżeli w ogóle kiedykolwiek będą sądzone (w owym czasie ideę tę stawiano w jednym rządzie z fetyszyzmem), najmniejszy więc urzędnik nie połączył się ze swymi dwoma towarzyszami, lecz wciąż trzymał się w tyle za nimi. Dzień był posępny, ubrania ich były również posępne, wszystko było posępne, a on, powodując się jakimś dziwnym impulsem, szedł ulica za ulicą, dzielnica za dzielnicą nie odrywając oczu od tych dwóch ludzi, którzy natychmiast odwróciliby się, gdyby tylko na nich zawołał. Otóż istnieje pewne prawo, zapisane w najciemniejszej Księdze Życia, a brzmi ono: „Możesz patrzeć na jakąś rzecz dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć razy i nic nie zamąci twego spokoju, lecz gdy spojrzysz na nią po raz tysięczny, grozi ci to straszne niebezpieczeństwo, że zobaczysz ją po raz pierwszy”.

Toteż niski urzędnik ministerialny patrzył na poły płaszczy dwóch wysokich urzędników ministerialnych i skręcał z ulicy w ulicę, wciąż widząc tylko przed sobą poły płaszczy, poły płaszczy i poły płaszczy, gdy nagle — nie wiadomo dlaczego — coś stało się z jego oczyma.

Dwa czarne smoki szły przed nim cofając się tyłem. Dwa czarne smoki patrzyły na niego złośliwymi oczami. Prawda, że smoki szły tyłem, lecz mimo to nie przestawały patrzeć na niego. W rzeczywistości te dwie pary oczu, patrzących na niego, były guzikami przytwierdzonymi do patki z tyłu i może jakieś tradycyjne wspomnienie ich bezużytecznego charakteru nadało ich spojrzeniu tyle obłądnej wyrazistości. Rozcięcie pomiędzy połami było linią nosa

potwora, a ile razy wiatr rozwiewał poły, potwory oblizywały się. Było to chwilowe złudzenie, lecz niski urzędnik już na zawsze zachował w swej duszy pamięć o tym. Nie mógł już nigdy odtąd spojrzeć na ludzi w krótkich paltach, by mu nie przyszły na myśl te smoki idące tyłem. Kiedyś później, bardzo taktownie i grzecznie wyjaśnił swoim przyjaciółom, że zachowując dla każdego z nich niewypowiedziany szacunek, nie może myśleć o ich twarzach inaczej, jak o pewnego rodzaju ogonach. Były to zresztą, przyznawał, ogony bardzo piękne, ogony wzniesione w górę. Ale, dodawał, gdyby jakiś prawdziwy przyjaciel zechciał zobaczyć ich twarze i zajrzeć w oczy, poznać ich duszę, powinien obejść obydwu z szacunkiem i spojrzeć na nich z tyłu. Wtedy zobaczy dwa czarne smoki o ślepych oczach.

Lecz kiedy wówczas dwa czarne smoki po raz pierwszy wyskoczyły jakby z mgły na niskiego urzędnika, wywołały skutek, jaki sprawiają wszystkie cuda — po prostu zmieniły cały świat. I wtedy odkrył on to, co tak dobrze znane było wszystkim romantykom, że przystępy zdarzają nam się zwykle w dni pochmurne a nie w słoneczne. Gdy struna jednostajności jest naciągnięta do ostatnich granic, wówczas pęka z dźwiękiem, który brzmi jak śpiew. Do tej chwili nie zwracał uwagi na pogodę, ale zmuszony do tego spojrzeniem czworga martwych oczu, rozejrzał się i zdał sobie sprawę, jak dziwnie martwy jest ten dzień.

Był to ciemny poranek zimowy, ale niezbyt mglisty, omroczony owymi cieniami śnieżnych chmur, które pogrążają świat w jakimś miedzianym lub zielonawym półmroku. W takie dni wydaje się, że owa odrobina światła pochodzi nie tyle z nieba, ile jest raczej jakąś fosforescencją, wydzielaną przez same rzeczy. Ciężar nieba i chmur można porównać do ciężaru wody, a ludzie poruszają się niby ryby na dnie morza. I wszystko, co spotyka się na ulicach Londynu, składa się na to, żeby dopełnić ten fantastyczny obraz, nawet powozy i dorożki ze swymi płonącymi ślepiami wyglądają jak głębinowe potwory. Mały urzędnik był z początku zdziwiony widokiem dwóch smoków. Teraz spostrzegł, że jest otoczony smokami, które królują na dnie morskim.

Dwaj młodzieńcy idący na przodzie byli dobrze ubrani, tak samo jak niski młodzieniec, idący z tyłu, Linie ich płaszczy i cylindrów miały w sobie tę nadmierną surowość, która sprawia, że współcześni eleganci, pomimo całej swej brzydoty, są ulubionym tematem dla naszych rysowników; miały one w sobie ten element, który doskonale określił pan Max Beerbohm, mówiąc o „harmonizowaniu czarnego sukna z nieskazitelną doskonałością bielizny”.

Chód ich był chodem pretensjonalnego ślimaka; odzywali się w rzadkich odstępach czasu, wypowiadając jakąś sentencję, mniej więcej co szóstą mijaną latarnię.

Powoli mijali te latarnie, a twarze ich były tak nieruchome, że komuś obdarzonemu odrobiną wyobraźni mogło się wydawać, iż to raczej szeregi latarni mijają ich jak we śnie. Nagle mały człowieczek podbiegł do nich i rzekł:

— Muszę kazać sobie ostrzyć włosy. Czy nie znacie jakiegoś zakładu, gdzieby przystwoicie strzygli włosy? Ciągłe strzygę włosy i wciąż mi odrastają.

Jeden z wysokich młodzieńców spojrzął na niego z miną zmartwionego naturalisty.

— Ach, przecież właśnie tutaj jest taki mały zakład — wykrzyknął mały człowieczek z niemądrą radością, gdy spostrzegł elegancki salon fryzjerski, którego jasno oświetlona wystawa zabłysła nagle wśród mgły. — Wiecie, w czasie mych przechadzek po Londynie często napotykam zakłady fryzjerskie. Zjem z wami lunch u Cicconaniego. Szalenie lubię zakłady fryzjerskie. Są sto razy miłsze niż te wstrętne sklepy rzeźnicze. — I zniknął za drzwiami.

Ten, który się nazywał James, popatrzył za nim przez monokl wetknięty w oko.

— Co, u diabła, myśleć o tym gościu — zapytał swego towarzysza, bladego młodzieńca z zadartym nosem.

Blady młodzieniec namyślał się sumiennie przez kilka minut i rzekł:

— Myślę, że musiał upaść na głowę, kiedy był małym dzieckiem.

— Nie, nie sądzę, by tak było — odpowiedział czcigodny James Barker. — Mam czułym wrażenie, Lambercie, że jest on czymś w rodzaju artysty.

— Bzdura! — krótko uciął Lambert.

— Wyznaję, że sam nie wiem, jak go określić — mówił Barker z zamyśleniem. — Usta otwiera rzadko, chyba tylko po to, by powiedzieć coś tak nieprawdopodobnie głupiego, że nazywanie go wariatem byłoby jeszcze zbyt słabym określeniem. Ale ma on jeszcze jedną zabawną słabostkę. Czy wiesz, że posiada jedyną w Europie kolekcję japońskich wyrobów z laki? A widziałeś jego książki? Sami poeci greccy, średniowieczni Francuzi i tak dalej. A oglądałeś kiedy jego mieszkanie? Czujesz się tam, jakbyś był we wnętrzu ametystu. A on chodzi pomiędzy tym wszystkim i gada jak głupiec.

— Niech diabli wezmą wszystkie książki. I twoje sprawozdania z przemówień w parlamencie także — rzekł z przyjacielską prostotą Lambert. — Powinieneś przecież znać się na takich rzeczach. Co ty myślisz o nim?

— Zupełnie go nie pojmuję — odparł Barker. — Ale jeżeli pytasz o moje zdanie, to muszę powiedzieć, że jest to człowiek z upodobaniem do nonsensów, dotknięty, jak to mówią, artystycznym błazeństwem i wszelkimi temu podobnymi dolegliwościami. I myślę zupełnie serio, że tym bezustannym gadaniem głupstw naruszył już równowagę swego umysłu i teraz sam nie zna różnicy pomiędzy zdrowym rozsądkiem a obłąkaniem. Można powiedzieć, że odbył podróż naokoło umysłowego świata i znalazł punkt, gdzie Wschód i Zachód tworzą jedno, czyli gdzie krańcowy idiotyzm jest tyleż wart, co rozum. Ale ja nie potrafię wyjaśnić tych psychologicznych igraszek.

— Przynajmniej nie umiesz mnie ich wyjaśnić — rzekł szczerze pan Wilfrid Lambert.

Gdy szli długą ulicą w kierunku swej restauracji, miedzianorudy mrok począł się rozjaśniać i przechodzić w odcień bladoczerwoty, a kiedy stanęli u celu, można było ich wyraźnie dostrzec w zupełnie znośnym świetle dnia zimowego. Czcigodny James Barker, jeden z najbardziej wpływowych współpracowników rządu angielskiego (w tym czasie już wyłącznie reprezentacyjnego), był młodzieńcem szczupłym i eleganckim z przystojną bez wyrazu twarzą i bladoniebieskimi oczyma. Został obdarzony intelektualnymi zdolnościami tego szczególnego rodzaju, które sprawiają, że człowiek nimi obdarzony wspina się z tronu na tron i umiera obsypany zaszczytami, chociaż przez całe życie nie zabawił i nie oświecił ani jednego człowieka. Wilfrid Lambert, młody człowiek, którego nos rozwinął się, jak się zdawało, ze szkodą dla reszty twarzy, również mało przyczynił się do tego, żeby rozszerzyć granice umysłowości ludzkiej, lecz można było powiedzieć na jego usprawiedliwienie, że był głupcem. O Barkerze, wraz z całą jego inteligencją, można było powiedzieć, że jest tępy. Ale i głupawość jednego, i tępotą drugiego traciły zupełnie na znaczeniu wobec tych imponujących i tajemniczych skarbów idiotyzmu, nagromadzonych widomie w małym cielem tego, który czekał na nich przed restauracją Cicconanigo. Mały ów człowieczek, który nazywał się Oberon Quin, swym wyglądem przypominał zarówno małe dziecko jak i sowę. Zdawało się, że jego okrągłą głowę i okrągłe oczy Natura zakreśliła cyrklem w przystępie dobrego humoru. Z czarnymi gładko przyczesanymi włosami, w groteskowo długim palcie robił wrażenie przebranego dziecka. Kiedy wchodził do pokoju, gdzie byli obcy ludzie, brano go za małego chłopca, a nawet czasem chciano sadzać na kolanach, ale tylko dopóki się nie odezwał, bo wówczas spostrzegano, że mały chłopiec byłby znacznie mądrzejszy.

— Czekałem na was bardzo długo — zauważył Quin łagodnie. — To strasznie zabawne, że w końcu zobaczyłem was nadchodzących ulicą.

— Dlaczego? — spytał Lambert zaskoczony. — Czyż sam nie naznaczyłeś nam tutaj spotkania?

— Moja matka nieraz naznaczała ludziom spotkania w rozmaitych miejscach — odrzekł na to mędrzec.

Mieli już, zrezygnowawszy ze zrozumienia go, wejść do restauracji, gdy coś na ulicy zwróciło ich uwagę.

Choć było zimno, choć pogoda wciąż posępna, w tej chwili jednak rozjaśniło się nagle i

na ponurym brunatnym tle drewnianego bruku, pomiędzy dwoma szeregami smutnych i ponurych szarych domów zobaczono coś, czego w promieniu wielu mil — a może i w całej ówczesnej Anglii nie podobna było zobaczyć — mianowicie mężczyznę, ubranego w jaskrawe kolory. Małe zbiegowisko podążało za nim.

Był to człowiek wysoki i postawny, ubrany w mundur wojskowy jaskrawozielonego koloru, bogato zdobiony srebrem. Z ramienia zwieszał mu się krótki, zielony płaszczyk, bramowany futrem, podobny do tych, jakie noszą huzarzy. Podszewka, która ukazywała się od czasu do czasu, była ciemnoszkarłatnego koloru. Na piersiach jego lśniły liczne medale, dokoła szyi nosił czerwoną wstążkę i gwiazdę jakiegoś zagranicznego orderu. Szpada długa i prosta, o rękojeści mocno błyszczącej, ciągnęła się i podskakiwała, szczękając po bruku. W tych czasach rozwoju pacyfizmu i utylitaryzmu wszelkie tego rodzaju akcesoria zostały przekazane do muzeów. Jedyna formacja, jaka jeszcze pozostawała, to jest nieliczna, lecz dobrze zorganizowana policja, ubrana była w sposób ponury i higieniczny. Ale ci, co pamiętali ostatnich gwardzystów królewskich i lansjerów, którzy od roku 1912 przestali istnieć, poznali na pierwszy rzut oka, że to nie był i nigdy nie mógł być mundur angielski. A przekonanie to potwierdziło spojrzenie na orli profil i na twarz ciemną, niby twarz Dantego, wykutą w brązie i wychylającą się z zielonego kołnierza w aureoli siwych włosów; była to twarz energiczna i dystygnowana, lecz nie była to twarz Anglika.

Trudno ludzką mową wyrazić ów majestat, z jakim pan w zielonym stroju kroczył środkiem ulicy. Była to wrodzona mieszanina prostoty i arogancji; było w jego sposobie trzymania głowy i w ruchach coś, co sprawiało, że zwykli przechodnie przystawali i oglądali się za nim, ale nie miało to nic wspólnego z jego gestami czy wyrazem twarzy. Jeżeli mowa zresztą o wyrazie twarzy, to wydawało się raczej, że ów jegomość jest stroskany i wyczekuje na coś, ale to wyczekiwanie było wyczekiwaniem despoty, a troska odpowiedzialnością boga. Ludzie, którzy wlekli się za nieznanym i podziwiali go, poszli za nim po trosze zdumieni jego jaskrawym uniformem, to znaczy po trosze ulegając instynktowi, który sprawia, że zawsze idziemy za kimś, kto wygląda jak wariat, ale w daleko większej mierze ulegając temu instynktowi, który wszystkim każe iść za człowiekiem, zachowującym się jak król, i ubóstwiać go. A ten właśnie człowiek posiadał w tak wysokim stopniu ową właściwość królewską — nieświadomość wszystkiego, nieświadomość tego, że ludzie szli za nim, jak idą za królem, aby zobaczyć na co albo na kogo pierwszego zwróci uwagę. Jakiś to już powieździeli, przez cały czas mimo swej spokojnej wspaniałości zdawał się kogoś szukać, coś badać.

Nagle ten badawczy wyraz zniknął, nie wiadomo dlaczego, i ustąpił miejsca wyrazowi zadowolenia. Wśród zachwyty gapiów, wspaniały zielony pan zmienił dotychczasowy kierunek i ze środka ulicy przeszedł na jeden z chodników. Tam stanął przed wielkim plakatem zachwalającym musztardę Colmana a przybitym na parkanie, który osłaniał budowę domu. Przyglądający się zatrzymali niemal dech w piersiach. Nieznajomy z kieszonki swego uniformu wyjął mały scyzoryk, zrobił nim rysę na naciągniętym papierze i, pomagając sobie palcami, oddarł nierówny kawał żółtego papieru. Wtedy po raz pierwszy zwrócił się do adorujących go widzów.

— Czy ktoś — zapytał z przyjemnym cudzoziemskim akcentem — czy ktoś mógłby pożyczyć mi szpilki?

Lambert, który przypadkiem znajdował się najbliżej i który zawsze nosił niezliczoną ilość szpilek, żeby zastąpić niezliczoną ilość oberwanych guzików, podał mu szpilkę, która została przyjęta z przesadnymi, choć pełnymi godności ukłonami, i nadmiarem podziękowań.

Wtedy pan w zielonym z miną zadowoloną, a nawet dumną, przypiął kawałek żółtego papieru do zielonego jedwabiu i srebrnych galonów, zdobiących jego pierś. Potem rozejrzał się dokoła niecierpliwie, jakby wciąż szukając czegoś na próżno.

— Czy mógłbym coś uczynić dla pana? — zapytał Lambert z tą głupawą grzecnością, właściwą każdemu Anglikowi, gdy czuje się zakłopotany.

— Czerwonego — odrzekł niejasno cudzoziemiec — czegoś czerwonego.

— Słucham? Przepraszam pana, ale... .

— To ja przepraszam pana, senior — powiedział cudzoziemiec, składając ukłon. — Pytałem się tylko, czy pan nie ma przy sobie czegoś czerwonego.

— Czy nie mam przy sobie czegoś czerwonego? Doprawdy, nie wiem sam, zdaje mi się, że nie... Kiedyś miałem jedwabną chustkę czerwoną, ale teraz...

— Barker — zapytał nagle Oberon Quin — a gdzie jest twoja czerwona papuga? Co zrobiłeś ze swoją czerwoną papugą?

— Jaka czerwona papuga? — zapytał zrozpaczony Barker. — Nigdy nie widziałeś u mnie czerwonej papugi.

— To prawda — przyznał uspokojony Quin — więc gdzie się podziała?

Barker urażony odwrócił się do niego plecami.

— Bardzo żałuję, mój panie — rzekł chłodno, lecz grzecznie — ale zdaje mi się, iż żaden z nas nie będzie mógł panu użyczyć nic czerwonego. Ale po co to panu, jeśli wolno spytać?

— Dziękuję, senior, to nic. Ponieważ nie ma nic odpowiedniego, potrafię sam sobie zaradzić w potrzebie.

I zastanowiwszy się chwilę, nagle scyzorykiem trzymanym w ręku skaleczył się w lewą dłoń.

Krew trysnęła tak gwałtownie, że aż strumieniem oblała chodnik. Cudzoziemiec wyciągnął z kieszeni chustkę i oderwał z niej kawałek zębami. Oddarty strzęp natychmiast zabarwił się na czerwono.

— Skoro pan tak łaskawy, senior, czy mógłbym prosić o jeszcze jedną szpilkę — spytał.

Lambert, któremu oczy wyłaziły na wierzch jak u żaby, podał mu szpilkę.

Czerwony gałganek został przypięty obok żółtego papierka, a cudzoziemiec uchylił kapelusza.

— Pozostaje mi tylko podziękować wam wszystkim, panowie — rzekł zawiązując resztką chustki skrwawioną rękę, po czym z niezwykłą godnością ruszył w dalszą drogę.

I podczas gdy wszyscy, zaskoczeni nieco, zostali w miejscu, mały Oberon Quin zaczął biec za cudzoziemcem i zdjawszy kapelusz zatrzymał go. Ku wielkiemu zdumieniu wszystkich przemówił najczystszy hiszpańskim językiem.

— Senior — zaczął w tym języku — przepraszam, że występuję z zaproszeniem, być może niedyskretnym względem kogoś, kto wydaje się być w Londynie gościem znakomitym, lecz samotnym. Czy zechce pan uczynić ten zaszczyt mnie i moim przyjaciółom, z którymi rozmawiałeś przed chwilą, i zjeść z nami lunch w pobliskiej restauracji?

Człowiek w zielonym mundurze mocno zaczerwienił się z zadowolenia, słysząc dźwięk rodzinnej swej mowy, i przyjął zaproszenie z obfitością ukłonów, które u ludzi ras południowych tak często udowadniają fałszywość poglądu, że ceremonie nie mają nic wspólnego ze szczerością uczuć.

— Senior — odparł — język, którym mówisz, jest moim językiem, ale cała miłość, jaką mam dla kraju mojego, nie przeszkadza mi uznać, iż pański kraj posiada w panu gospodarza jak najbardziej rycerskiego. Pozwoli mi pan powiedzieć sobie, iż język jego jest hiszpański, ale serce angielskie. — I wraz z trzema młodymi przyjaciółmi wszedł do Cicconaniego.

Kiedy byli już przy rybie i sherry, Barker, jak zwykle nadzwyczajnie grzeczny, lecz płonący ciekawością spytał:

— Wybacz pan, to co powiem jest może niedyskretnie, lecz pozwoli mi pan zapytać się, po co pan to zrobił?

— Co zrobił, senior? — zapytał gość, który mówił doskonale po angielsku, lecz w sposób niedostrzegalnie amerykański.



— A więc — odrzekł Anglik, cokolwiek zmieszany — mam na myśli to oderwanie kawałka plakatu i... hm... to skaleczenie się... i...

— Aby odpowiedzieć panu, senior — odrzekł tamten z pewnego rodzaju smutną dumą — wystarczy tylko powiedzieć panom kim jestem. Jestem don Juan del Fuego, prezydent Nikaragui.

Sposób, w jaki prezydent Nikaragui wyprostował się i wypróżnił swoją szklanę sherry świadczył, że to wyjaśnienie uważał za dostatecznie usprawiedliwiające wszystkie zaobserwowane fakty i wiele innych jeszcze. Jednak czoło Barkera było wciąż jeszcze lekko ściągnięte.

— A ten żółty papier — spytał znów z pełnym życzliwości niepokojem — i ten czerwony gałganek?

— Żółty papier i czerwony gałganek — odpowiedział del Fuego z wyrazem nieopisanej dumy — są to barwy Nikaragui.

— Ależ Nikaragua — zaczął Barker, wahając się — Nikaragua nie jest już...

— Nikaragua została zwyciężona i zdobyta jak Ateny, Nikaragua została zaanektowana jak Jerozolima! — zawołał stary człowiek ze zdumiewającym ogniem. — Jankesi i Niemcy, i brutalne potęgi współczesności zdeptały ją swymi kopytami. Ale Nikaragua nie umarła! Nikaragua jest idea!

Oberon Quin poddał nieśmiało:

— Promienną idea.

— Tak — zgodził się cudzoziemiec, podchwyciwszy z zadowoleniem to słowo — masz rację, wspaniałomyślny Angliku. Promienną idea, płonąca myślą. Zapytałeś mnie, senior, dlaczego pragnąc zobaczyć kolory mego kraju, oderwałem ten żółty papier i umoczyłem chustkę we krwi? Czyż nie możesz pan pojąć odwiecznej świętości barw? Kościół też ma swoją symbolikę barw. A pomyśl pan, czym te barwy są dla nas? Pomyśl pan, jakie jest położenie człowieka takiego jak ja, który nic nie może widzieć oprócz tych dwóch kolorów, nic tylko tę barwę czerwoną i żółtą. Dla mnie wszystkie formy mają tę samą wartość, wszystkie rzeczy wzniosłe, zarówno jak pospolite, dadzą się połączyć ze sobą w całkiem demokratycznej równości. Ale wszędzie, gdzie czerwona spódnica starej wieśniaczki zajaśnieje wśród ładu żółtych nagietek, tam jest dla mnie Nikaragua. Jeżeli zobaczę pole szkarłatnych maków i żółtą plamę piasku, tam jest dla mnie Nikaragua. Ile razy zobaczę żółtą cytrynę i czerwony zachód słońca, widzę moją ojczyznę. Ile razy zobaczę czerwoną skrzynkę na listy i żółty zachód słońca, widzę moją ojczyznę i serce mi bije mocno. Krew i kleks musztardy mogą być moim herbem. Jeżeli w jakimś rowie napotkam żółtawe błoto i czerwone błoto, to rów ten będzie dla mnie droższy niż jaśniejące gwiazdy.

— A jeżeli — dokończył Quin z równym entuzjazmem — znajdzie się przy jednym śniadaniu wino czerwone i żółte, nie będzie pan, mam nadzieję, obstawał przy samym tylko sherry. Pozwoli mi pan zamówić butelkę burgunda, aby dopełnić w żołądku pańskim barwy Nikaragui.

Barker bawił się nożem i widocznie przygotowywał się do wypowiedzenia czegoś z całą nerwowością, właściwą uprzejmemu Anglikowi.

— A więc, o ile dobrze pojąłem — rzekł wreszcie, odkaszlnąwszy lekko — był pan... hm!... był pan prezydentem Nikaragui wtedy właśnie, gdy... ee... Nikaragua stawiała... trzeba to naturalnie przyznać... stawiała heroiczny opór... tym... ee...

Ex-prezydent Nikaragui machnął ręką.

— Nie potrzebuje pan tak się wahać mówiąc do mnie — rzekł. — Wiem doskonale, że opinia świata w obecnej chwili zwraca się przeciwko Nikaragui i przeciwko mnie. Nie będę tego uważał za najmniejsze uchybienie pańskiej oczywistej kurtuazji, jeżeli powie pan szczerze, jakie jest pańskie zdanie o nieszczęściach, które spowodowały upadek mojej ojczyzny.

Barker spojrział na niego z wdzięcznością i widoczną ulgą.

— Jest pan bardzo wspaniałomyślny, panie prezydencie — odparł, zawahawszy się chwilkę przed użyciem tytułu — i skorzystam z pańskiej wspaniałomyślności, aby wyrazić wątpliwości, jakie my, ludzie współcześni, miewamy w stosunku do czegoś takiego, jak... hm... niepodległość Nikaragui.

— A więc sympatie pańskie — powiedział zupełnie spokojnie del Fuego — są po stronie wielkich narodów, które...

— Przepraszam pana, przepraszam pana, panie prezydencie — przerwał Barker gorąco — moje sympatie nie są po stronie żadnego narodu. Pan, zdaje się, nie pojmuje współczesnego intelektu. Jeżeli potępiamy zapał i ekstrawagancje takich państw jak pańskie, to nie dlatego, żeby stać się sami ekstrawaganckimi na jeszcze większą skalę. I nie dlatego potępiamy Nikaraguę, byśmy mieli chcieć, żeby Wielka Brytania stała się bardziej podobna do Nikaragui. Nie dlatego odbieramy nadzieję małym narodom, żeby wielkie narody przyswoiły sobie ich małość, ich jednostronność poglądów i przesadę ducha. Jeżeli, mimo całego szacunku, nie podzielam pańskiego nikaraguańskiego entuzjazmu, to nie dlatego, że jakiś naród czy dziesięć narodów było przeciwko wam, tylko dlatego, że przeciwko wam była cywilizacja. My, ludzie nowocześni, wierzymy w wielką kosmopolityczną cywilizację, która będzie zawierała wszystkie talenty wszystkich wchłoniętych narodów.

— Proszę mi wybaczyć, senior — powiedział prezydent. — Czy mogę teraz zapytać pana, w jaki sposób w normalnych warunkach łapie pan dzikiego konia?

— Nie łapię nigdy dzikich koni — odpowiedział z godnością Barker.

— Otóż właśnie — odrzekł tamten — i tu kończy się owo pańskie wchłanianie talentów. Oto co zarzucam waszemu kosmopolityzmowi. Gdy mówicie, że pragniecie połączyć wszystkie narody, to w rzeczywistości pragniecie tego połączenia po to, żeby nauczyć je sposobów waszego narodu. Beduin arabski nie umie czytać, więc posyłacie mu jakiegoś misjonarza angielskiego czy nauczyciela, żeby go nauczyć czytać, ale nikt z was nie powie: „Ten nauczyciel nie umie jeździć na wielbłądzie, najmiemy Beduina, aby nauczył go”. A przecież mówicie, że wasza cywilizacja będzie zawierała wszystkie talenty. Czy naprawdę? Czy naprawdę chcecie powiedzieć, że kiedy Eskimosi nauczą się wybierać radę hrabstwa to wtedy i wy już będziecie umieli polować z harpunem na morsa? Powracam do mego pierwotnego przykładu. My, w Nikaragui, umieliśmy łapać dzikie konie zarzucając lasso na przednie nogi, sposób ten uchodził za najlepszy w Ameryce Południowej. Jeśli chcecie w swej cywilizacji pomieścić wszystkie umiejętności, to idźcie i nauczcie się tej. Jeśli nie, pozwólcie mi powiedzieć to, co twierdziłem zawsze, że z chwilą gdy ucywilizowaliście Nikaraguę, świat utracił coś na zawsze.

— Coś, być może — odpowiedział na to Barker — lecz to coś było tylko zręcznością barbarzyńców. Nie wiem, czy potrafiłbym obrabiać kamienie tak wprawnie jak człowiek pierwotny, ale wiem, że moja cywilizacja umie wyrabiać takie noże jak te na przykład, które są lepsze, i dlatego ufam cywilizacji.

— I ma pan po temu słuszne powody — odrzekł prezydent Nikaragui. — Wielu mądrych ludzi tak jak pan wierzyło cywilizacji. Wielu mądrych Babilończyków, wielu mądrych Egipcjan i wielu mędrców pod koniec istnienia państwa rzymskiego. A więc ponieważ żyjemy na świecie, który widział już upadek tylu wspaniałych cywilizacji, czy może mi pan powiedzieć, co takiego jest w waszej cywilizacji, co czyni ją nieśmiertelną.

— Widzę, że pan niezupełnie zdaje sobie sprawę z tego, czym jest nasza cywilizacja, panie prezydencie — odpowiedział Barker. — Mówi pan o niej, tak jak gdyby Anglia była wciąż jeszcze ubogą i wojowniczą wyspą, zbyt długo przebywał pan poza Europą. Wiele rzeczy wydarzyło się.

— A jaki jest wynik tych rzeczy — spytał tamten — w którym streściłyby się te zmiany?

— Wynikiem tych rzeczy — odrzekł Barker z wielkim ożywieniem — jest to, żeśmy

się pozbyli przesądów, a pozbywając się ich, pozbyliśmy się nie tylko tych, które najczęściej i najenergiczniej obdarzano tym mianem. Przesąd wielkich narodów jest zły, ale przesąd małych narodów jest jeszcze gorszy. Przesąd czczenia własnej ojczyzny jest zły, ale przesąd czczenia cudzych krajów jest jeszcze gorszy. I to samo odnosi się do stu innych spraw. Przesąd monarchii jest zły i przesąd arystokracji jest zły, ale przesąd demokracji jest najgorszy ze wszystkiego.

Stary pan otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

— Więc wy tu, w Anglii, nie jesteście już demokratami? — zapytał.

Barker roześmiał się.

— Naszą sytuację można określić tylko paradoksem. W pewnym sensie jesteście najczystsza demokracją: staliśmy się despotyzmem. Czy nie zauważył pan, jak regularnie w historii demokracja zamienia się w despotyzm. Ludzie nazywają to upadkiem demokracji. A to jest po prostu jej uwięzieniem. Po cóż mieć kłopot z rejestrowaniem i nadawaniem praw wyborczych niezliczonym Johnom Robinson, kiedy daleko prościej jest wziąć jednego Johna Robinson, równie inteligentnego, albo raczej równie pozbawionego inteligencji jak wszyscy inni, i mieć sprawę załatwioną? Starcy i idealisci republikańscy opierali demokrację na tej idei, że wszyscy ludzie są jednakowo mądrzy, ale niech mi pan wierzy, prawdziwie zdrowa i trwała demokracja opiera się na zasadzie, że wszyscy ludzie są jednakowo głupi. Dlatego więc nie mielibyśmy wybrać spośród nich jednego, wszystko jedno kogo. Rząd nasz potrzebuje człowieka, który by nie był ani nienormalnym, ani kryminalistą, który potrafiłby prędko przejrzeć pewną ilość petycji i podpisać pewną ilość proklamacji — to wszystko. Pomyśleć tylko, ile czasu tracono na debaty w Izbie Lordów! Torysi utrzymywali, że trzeba ją zachować, bo jest urządzeniem mądrym, a radykałowie, że trzeba ją znieść, ponieważ jest urządzeniem głupim, a nikt nie rozumiał tego, że Izba Lordów miała rację bytu właśnie dlatego, że była instytucją głupią, gdyż to zebranie ludzi bardzo pospolitych, zgromadzonych tam tylko dzięki przypadkowi urodzenia się w danej sferze, było wielkim demokratycznym protestem przeciwko Izbie Gmin i jej odwiecznej, zuchwałej arystokracji talentów. Zaprowadziliśmy teraz w Anglii ustrój taki, ku któremu dążyły nieświadomie wszystkie dawniejsze systemy, zaprowadziliśmy tępy, powszechny despotyzm bez żadnych złudzeń. Potrzeba nam jednego człowieka na czele państwa, nie dlatego żeby był wyjątkowo utalentowany lub cnotliwy, ale po prostu dlatego, że jest on jednym człowiekiem, a nie całym wrzeszczącym tłumem. Aby uniknąć możliwości dziedzicznych chorób, albo czegoś podobnego, znieśliśmy monarchię dziedziczną. Król angielski jest wybierany z oficjalnej listy zapisanych na ten urząd, zupełnie jak sędzia przysięgły. Poza tym cały system rządzenia jest spokojnie despotyczny i nie mieliśmy dotąd żadnych szemrań.

— Czy pan tak myśli naprawdę? — zapytał prezydent z niedowierzaniem. — Czyż wy naprawdę bierzecie pierwszego lepszego człowieka, przypadkiem wybranego z listy alfabetycznej i dajecie mu despotyczną władzę? Ufacie przypadkowi...?

— A dlaczegożby nie? — zawołał Barker. — Czyż większa część znanych w historii narodów nie ufała też przypadkowi, oddając władzę najstarszym synom najstarszych synów? I czyż przynajmniej połowa z tych narodów nie wyszła na tym zupełnie możliwie? Wymyślić doskonały system rządzenia jest niemożliwe, ale jakiś system trzeba mieć koniecznie. Wszystkie monarchie dziedziczne były kwestią szczęścia, zupełnie to samo jest z monarchiami, których władcy wybierani są wedle listy alfabetycznej. Czyż może pan doszukać się jakiejś filozoficznej treści w różnicy pomiędzy Stuartami a dynastią Hanowerską? Niech mi pan wierzy, że potrafię znaleźć filozoficzną treść w różnicy pomiędzy smutną tragedią nazwisk zaczynających się od A i solidnym powodzeniem tych nazwisk, które rozpoczynają się od B.

— I wy zgadzacie się na takie ryzyko, chociaż ten człowiek mógłby okazać się tyranem, cynikiem, albo kryminalistą?

— Zgadzamy się na to ryzyko — odpowiedział Barker z doskonałym spokojem. —

Przypuśćmy, że jest tyranem — przynajmniej będzie umiał walczyć z tyranią stu innych tyranów. Przypuśćmy, że jest cynikiem — przecież w jego interesie leży, aby rządzić dobrze. Przypuśćmy, że jest kryminalistą — wydobywając go z ubóstwa i dając mu władzę, możemy liczyć na to, że pozbedziemy się jednego kryminalisty. Dzięki temu, że stał się despota pozbyliśmy się jednego zbrodniarza, a częściowo wszystkich innych.

Stary pan z Nikaragui oparł się o krzesło, a oczy jego przybrały jakiś dziwny wyraz.

— Mój kościół, proszę pana — rzekł — nauczył mnie szanować wiarę. Nie chcę więc mówić bez uszanowania o pańskiej wierze, chociaż tak bardzo fantastycznej. Ale czy pan na serio będzie mieć zaufanie do człowieka pospolitego, do pierwszego lepszego, który przypadkiem zostanie wybrany, i czy pan wierzy, że taki człowiek będzie mógł zostać dobrym despotycznym władcą?

— Wierzę — odrzekł Barker z prostotą. — Może to nie będzie dobry człowiek, ale na pewno będzie dobrym despota. I gdy raz wejdzie w urzędową rutynę spraw państwowych, będzie usiłował być sprawiedliwym w pospolitym znaczeniu tego słowa. Czyż tego samego nie oczekujemy od sądu przysięgłych?

Stary prezydent uśmiechnął się.

— Nie wiem — powiedział — czy mam jakieś szczególne zarzuty przeciwko waszemu doskonałemu systemowi rządzenia. Mój jedyny zarzut jest czysto osobisty. Otóż, gdyby mnie zapytano, czy chciałbym do niego należeć, zapytałbym wpieryw, czy nie wolno mi obrać innej z dwóch możliwości i zostać ropuchą w rowie. Oto wszystko. Nie można przecież dyskutować z wyborem duszy.

— Przepraszam — odrzekł Barker, marszcząc brwi — nie mogę nic sądzić o duszy, ale jeżeli chodzi o dobro publiczne...

Pan Oberon Quin nagle wstał z miejsca.

— Przepraszam was, panowie — odezwał się — jeżeli mi pozwolicie, wyjdę na chwilkę zaczerpnąć powietrza.

— Cóż ci to, Oberonie? — zapytał dobrodusznie Lambert. — Czy czujesz się niedobrze?

— Właściwie nie czuję się niedobrze — odrzekł Oberon opanowując się. — Czuję się nawet bardzo dobrze. Dziwnie wspaniale dobrze. Faktem tylko jest, że muszę trochę zastanowić się nad tymi pięknymi słowami, które zostały przed chwilą wypowiedziane. „Jeżeli chodzi — tak zostało przecież powiedziane — jeżeli chodzi o dobro publiczne...” Ileż słodczy można wydobyć z podobnych słów, zastanawiając się nad nimi w samotności.

— Czy mu się przypadkiem trochę nie pomieszało w głowie? — zapytał po jego wyjściu Lambert.

Stary prezydent popatrzył w ślad za nim z dziwnie czujnym wyrazem oczu.

— Wydaje mi się, że to jest człowiek, który nie dba o nic z wyjątkiem żartów — rzekł. — To jest człowiek niebezpieczny.

Lambert roześmiał się podnosząc do ust widelec z makaronem.

— Niebezpieczny! — zawołał — pan nie zna małego Quina, łaskawy panie!

— Każdy człowiek — odparł starzec, siedząc wciąż nieruchomo — każdy człowiek, który dba tylko o jedną rzecz jest niebezpieczny, ja też kiedyś byłem niebezpieczny.

I dokończywszy z miłym uśmiechem swej kawy, powstał, skłonił się głęboko, wyszedł i zniknął we mgle, która znowu stała się teraz gęstsza i posepniejsza. W trzy dni potem dowiedziano się, że umarł spokojnie w swym mieszkaniu na Soho.

A tymczasem mały człowieczek, zgubiony gdzieś w gęstym morzu mgły, trząsł się i zataczał, i mogło się zdawać na pierwszy rzut oka, że miota nim straszna trwoga albo konwulsje, lecz w rzeczywistości przyczyną była ta dziwna choroba — samotny śmiech. I bez ustanku powtarzał sobie z naciskiem: „Ale jeżeli chodzi o dobro publiczne... jeżeli chodzi o dobro publiczne...”

## Rozdział III

### PAGÓREK HUMORU

— W małym kwadratowym ogródku, pełnym żółtych róż, nad brzegiem morza — opowiadał Oberon Quin — przebywał pewien duchowny nonkonformistów, który nigdy nie był w Wimbledon. Rodzina jego nie mogła pojąć dlaczego się martwi i ma tak dziwny wyraz oczu. Ale pewnego dnia gorzko pożałowali swego niedbalstwa, gdyż dowiedzieli się, że znaleziono trupa, zgruchotanego przez fale morskie, mającego na nogach lakierowane buty. Ale jak się okazało, nie był to wcale trup owego duchownego. Lecz w kieszeni nieboszczyka znaleziono bilet powrotny do Maidstone.

Nastąpiła krótka pauza w opowiadaniu, podczas której Quin oraz jego przyjaciele Barker i Lambert przechadzali się po wilgotnej trawie Ogródów Kensingtonskich. Po chwili Quin podjął znowu:

— Ta historyjka — rzekł z nabożeństwem — jest kamieniem probierczym humoru.

Szli coraz dalej i coraz prędzej, a gdy poczęli się wdrapywać na zbocze wzgórza, trawa stała się wyższa.

— Widzę — mówił dalej Oberon — że wytrzymałicie tę próbę, i że moja historyjka wydaje się wam zabójczo śmieszna, ponieważ nic nie mówicie. Tylko ordynarny humor jest przyjmowany z wulgarnym aplauzem. Anegdotę w wielkim stylu przyjmuje się w milczeniu, jak błogosławieństwo. Czujesz się zupełnie tak, jak gdybyś otrzymał błogosławieństwo, prawda Barker?

— Tak, zrozumiałem pointę — odrzekł Barker z pewną wyniosłością.

— Ale czy wiecie — mówił Quin z idiotycznym jakimś rozradowaniem — że znam całą masę anegdotek równie dobrych. Posłuchajcie tej jeszcze.

Odchrząknął, ażeby oczyścić sobie gardło.

— Doktor Polikarp był, jak wiecie, żółtoblady bimetalista. Ludzie doświadczeni, którzy go znali, mówili nieraz: „Oto idzie najbardziej żółtoblady ze wszystkich bimetalistów w Cheshire!” Pewnego dnia ktoś wypowiedział te słowa tak głośno, że Polikarp usłyszał je. A powiedział to pewien księgowy, podczas liliwoszarego zachodu słońca. Polikarp odwrócił się z dumą i zawołał: „Żółtoblady, żółtoblady! *Quis tulerit Gracchos de seditione quaerentes*”. Zdaje się, że od tej pory już żaden księgowy nie robił żartów z doktora Polikarpa.

Barker skinął głową z miną człowieka rozumiejącego wszystko. Lambert chrząknął tylko.

— A oto jeszcze jedna — ciągnął niezmordowany Quin — w dżdżystej Irlandii, w dolinie wśród zielonych wzgórz żyła pewna stara, bardzo stara kobieta, której wuj podczas wielkich regat zawsze stawał na Cambridge. Lecz ona w swej szarozielonej dolinie nie miała o tym pojęcia. Nie wiedziała nawet, że odbywają się jakieś regaty. Tak samo nie wiedziała, że ma wuja. Nie słyszała nic o tym wszystkim, słyszała tylko o królu Jerzym I (nie wiem dlaczego) i ta postać była uosobieniem jej historycznych wspomnień i naiwnej wiary. Z czasem odkryto, że ten wuj nie był właściwie wcale jej wujem, i przyszli do niej ludzie i powiedzieli jej o tym. A ona uśmiechnęła się przez łzy i rzekła tylko: „Cnota jest swoją własną nagrodą”.

Znowu zapanowała cisza, aż wreszcie Lambert powiedział:

— To jest cokolwiek zagadkowe.

— Zagadkowe! — wykrzyknął tamten. — Prawdziwy humor jest zawsze zagadkowy. Czyż wy sobie nie zdajecie sprawy, co było najważniejszym zdarzeniem w dziewiętnastym i dwudziestym stuleciu?

— Cóż takiego? — zapytał krótko Lambert.

— Ależ to bardzo proste — odpowiedział tamten. — Dawniej, gdy żartu nie rozumiano, znaczyło to, że żart był zły. Obecnie wzniosłe zwycięstwo żartu objawia się w tym, że go nikt nie rozumie. Humor, moi przyjaciele, jest jedyną świętością, jaka jeszcze ludziom pozostała. Jest to jedyna rzecz, której się jeszcze naprawdę boicie. Spójrzcie na to drzewo.

Towarzysze jego spojrzeli niepewnie na rozłożysty buk, który ze wzgórza nachylał się ku nim.

— Otóż — zaczął pan Quin — gdybym wam powiedział, że nie potraficie dojrzeć wielkich prawd nauki, wyobrażanych przez to drzewo, jakkolwiek rzucają się one w oczy każdemu inteligentnemu człowiekowi, co byście pomyśleli lub powiedzieli? Uważalibyście mnie po prostu za pedanta, zajętego jakąś mało ważną teorią odnoszącą się do komórek roślinnych. Gdybym powiedział wam, że nie widzicie w tym drzewie dowodu zła gospodarki polityki miejscowej, odesłalibyście mnie do licha, jako socjalistę znikowanego na punkcie parków publicznych. Gdybym wam powiedział, że popełniacie najwyższe świętokradztwo, jeżeli patrząc na to drzewo, nie widzicie w nim objawienia nowej religii, szczególnego objawienia Boga — to powiedzielibyście po prostu, że jestem mistykiem i przestalibyście się mną zajmować. Ale jeżeli... — i tu z uroczystym kapłańskim gestem podniósł rękę w górę — jeżeli wam powiem, że ja w tym drzewie widzę humor, a wy go nie widzicie, to, na Boga, upadniecie przede mną na kolana.

Umilkł na chwilę, a potem ciągnął dalej:

— Tak, poczucie humoru, ten zmysł delikatny i przedziwny jest nową religią ludzkości. Ludzie będą się starali pozyskać ów dar z ascetyzmem świętych. Obmyślą w tym celu specjalne ćwiczenia duchowe. Jedni drugich będą pytać: „Czy odczuwasz humorystyczny pierwiastek żelaznych prętów tej kraty?” Albo: „Czy widzisz humor w tym łanie żyta?” „Czy odczuwacie humor gwiazd? Czy rozumiecie humor zachodu słońca?” Ileż razy ja sam zasypiałem zmęczony śmiechem z powodu fioletowego zachodu słońca.

— Rzeczywiście — potwierdził Barker udając, że rozumie o co chodzi.

— Pozwólcie, że wam opowiem jeszcze jedną historyjkę. Czyż nie zdarza się aż nazbyt często, że deputowani z hrabstwa Essex nie są tak punktualni, jakby się tego można było spodziewać. Ostatnim punktualnym deputowanym z hrabstwa Essex był James Wilson, który w czasie zrywania pałowego maku wyraził się...

Nagle Lambert spojrział mu prosto w twarz i z gniewną miną uderzył laską w ziemię.

— Oberonie! — zawołał — przestań już. Nie zniosę tego dłużej. To wszystko jest bzdurą!

Tamci obaj spojrzeli na niego — w tym, co mówił, była tak wielka siła wybuchowa, jak gdyby słowa wyleciały nagle z mozołnie korkowanego przez dłuższy czas naczynia.

— Ależ ty mnie nie... — zaczął Quin.

— Wszystko mi jedno — krzyknął Lambert gwałtownie — wszystko mi jedno, czy mam delikatne poczucie humoru, czy nie. Mam dosyć tego. To wszystko jest przeklętym oszukaństwem. Nie ma żadnego dowcipu w twoich wstrętnych historyjkach. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

— Dobrze — odrzekł Quin powoli — przyznaję, że ja z powodu mego zbyt powolnego procesu myślenia nie znalazłem w nich żadnego dowcipu. A jednak Barker obdarzony subtelniejszym umysłem doszukał się go.

Barker mocno poczerwieniał, lecz nie przestał uważnie przyglądać się niebu.

— Ty ośle — powiedział wtedy Lambert — dlaczego nie możesz być taki jak wszyscy? Dlaczego nie możesz powiedzieć czegoś prawdziwie dowcipnego, albo trzymać język za zębami? Człowiek, który siada na własnym kapeluszu tak, jak to pokazują w pantominie, jest daleko zabawniejszy od twoich historyjek.

Quin uporczywie wpatrywał się w niego. Doszli teraz do szczytu wzgórza i wiatr dał im prosto w twarz.

— Lambercie — rzekł Oberon — jesteś dobrym i wielkim człowiekiem, chociaż niech mnie powiesz, jeśli wyglądasz na to. Nawet więcej jeszcze. Jesteś wielkim rewolucjonistą, może oswobodzicielem świata i oczekuję, że kiedyś wykuty w marmurze stać będziesz pomiędzy Lutrem i Dantonem i, jeśli to będzie możliwe, to w takiej pozie, jak teraz właśnie, z kapeluszem nieco na bakier. Kiedyśmy wchodzili na ten pagórek, mówiłem, że ostatnią religią ludzkości jest nowy rodzaj humoru. Lecz wy zrobiliście zeń ostatni z przesądów. Ale pozwól mi dać sobie pewne bardzo ważne ostrzeżenie: nie waż się więcej namawiać mnie do postępów tak wyzywających, jak to uczyniłeś przed chwilą; nie każ mi naśladować człowieka z pantominy i siadać na własnym kapeluszu. Bo ja jestem człowiekiem, którego dusza została ogołocona ze wszystkich radości, oprócz szaleństwa. I jestem prawie gotów zrobić to.

— A więc zrób to! — zawołał Lambert wywijając niecierpliwie laską. — W każdym razie będzie to zabawniejsze niż bzdury, o których ty i Barker mówicie.

Stanąwszy na samym szczycie wzgórza, Quin wyciągnął rękę i wskazał na główną aleję Ogrodów Kensingtonskich.

— O dwieście jardów stąd znajdują się wszyscy nasi wytworni znajomi, którzy nie mają nic lepszego do roboty, jak tylko przyglądać się sobie nawzajem lub nam. Stoimy na wzniesieniu, pod otwartym niebem; jest to niby szczyt wolnej fantazji, góra Synaj humoru. Jesteśmy jakby na wielkiej platformie, na trybunie oświetlonej słońcem i połowa Londynu może nas widzieć. Bądź więc ostrożny w namawianiu mnie do takich rzeczy. Bo czuję w sobie teraz szaleństwo, przewyższające szaleństwo męczenników, szaleństwo człowieka doskonale bezczynnego.

— Nie wiem zupełnie o czym mówisz — odrzekł Lambert pogardliwie. — Wiem tylko jedno, wolałbym, żebyś stanął raczej na swojej głupiej głowie, niż gadał tak wiele.

— Oberonie! Na miłość Boską! — krzyknął w tej chwili Barker, rzucając się naprzód. Ale było już za późno. Ze wszystkich alei i ławek ludzie patrzyli w ich stronę. Zebrały się mniejsze i większe grupy, ostre światło słoneczne ukazało całą scenę w kolorach błękitnym, zielonym i czarnym, tak jak na dziecinnych obrazkach. A na szczycie pagórka pan Oberon Quin stał na głowie z wdziękiem dobrego gimnastyka i wymachiwał w powietrzu swymi lakierowanymi bucikami.

— Na miłość Boską, Quin, przestań, nie róbże z siebie idioty — wołał Barker, załamując ręce — ściagniemy tu całe miasto.

— Tak, wstań już, wstań, człowieku — powiedział Lambert ubawiony i zagniewany. — Ja tylko żartowałem, stań na nogi.

Oberon posłuchał go, jednym skokiem znalazł się na nogach i, wyrzuciwszy kapelusz ponad szczyty drzew, zaczął skakać na jednej nodze z bardzo poważnym wyrazem twarzy. Barker z wściekłością tupnął nogą.

— Chodźmy do domu, Barkerze — i zostawmy go — rzekł Lambert. — Któryś z naszych policjantów, tak zawsze poprawnych i przyzwoitych zajmie się nim. O, właśnie już nadchodzą.

Dwu poważnych mężczyzn, w dyskretnych uniformach, wchodziło powoli na wzgórze kierując się ku nim. Jeden z nich trzymał w ręku jakiś papier.

— Oto on, panie posterunkowy — rzekł Lambert wesoło. — My za niego nie odpowiadamy.

Policjant spokojnie popatrzył na podskakującego Quina.

— Myśmy tu, proszę pana, nie przyszli — rzekł — w tej sprawie, o której pan wspominał. Przybyliśmy tu z głównej dyrekcji policji, aby zawiadomić o wyborze Najjaśniejszego Pana, nowego króla. Istnieje ustawa odziedziczona jeszcze po starym porządku, że nowemu władcy należy przynieść wiadomość o wyborze natychmiast, bez względu na to, gdzie się znajduje: dlatego też udaliśmy się za panami przez Ogrody Kensingtonskie.

Oczy Barkera zapłonęły w bladej twarzy. Przez całe bowiem życie pożerała go ambicja.

Z pewną smutną wielkodusznością uznawał metodę, według której wybór władców powierzano losowi, za słuszną. Ale obecnie niespodziewana możliwość, że wybór mógł paść na niego, oszołomiła go.

— I któryż z nas... — zaczął, lecz pełen uszanowania policjant przerwał mu natychmiast:

— Bardzo żałuję, ale to nie pan, proszę pana. Jeżeli wolno nam się wyrazić, to powiem, że dobrze nam są znane pańskie zasługi wobec rządu i osobiście bylibyśmy bardzo radzi, gdyby... ale wybór padł...

— Boże, zlituj się nade mną! — krzyknął Lambert, odskakując dwa kroki w tył. — Tylko nie na mnie! Nie mówcie mi, że jestem samowładcą Wszechrosji.

— Nie, proszę pana — odrzekł funkcjonariusz policji z lekkim chrząknięciem i ukosnym spojrzeniem na Oberona, który właśnie w tej chwili wsunął głowę między swoje nogi i ryczał jak krowa — dżentelmen, któremu mamy pogratulować wyboru, jest w tej chwili, zdaje się... hm, hm... cokolwiek zajęty...

— Chyba nie Quin! — krzyknął Barker, rzucając się do niego — to niemożliwe! Oberonie, na miłość Boską, opanuj się. Wybrano cię na króla!

Pan Quin z wykręconą głową wciąż jeszcze wetkniętą pomiędzy nogi, odpowiedział skromnie:

— Nie jestem godzien. Nie mogę naprawdę mieć pretensji, bym potrafił dorównać wielkim ludziom, którzy w przeszłości dzierżyli berło Wielkiej Brytanii. Być może jedyną oryginalnością, jaką się mogę pochwalić, jest ta, że jestem pierwszym monarchą, który przemówił z głębi swej duszy do ludu angielskiego w tej właśnie pozycji. Zacytuję kilka słów z poematu, jaki napisałem:

*Nie mogli dawni — królowie wojownicy  
Mieć praw do bardziej zaszczytnych tytułów,  
Jak mądrość, zacność i szlachetny ród.*

Intelekt mój, rozjaśniony dzięki trwaniu w tej pozycji...

W tej chwili Barker i Lambert przyskoczyli do niego.

— Czyż ty nie rozumiesz? — krzyknął Lambert. — To nie jest żart. Oni naprawdę zrobili cię królem. Do licha! Muszą mieć dziwny gust.

— Wielcy biskupi w średniowieczu — mówił tymczasem Quin, wymachując nogą w powietrzu, podczas gdy usiłowano go wyprostować — gdy zostali wybrani, mieli zwyczaj odmawiać trzykrotnie i dopiero za czwartym razem przyjmowali wybór. Ja zaś trzykrotnie przyjmę, a za czwartym razem odrzucę. Ten szczegół tylko różni mnie od tamtych wielkich ludzi. Och, będę trudził się dla ciebie, mój wiemy narodzie! Będziecie mieć prawdziwy bankiet humoru!

Tymczasem udało się postawić go na nogi i dwaj przyjaciele w dalszym ciągu na próżno usiłowali go natchnąć zrozumieniem powagi chwili.

— Czyż mi sam nie powiedziałaś, Wilfrydzie Lambert — rzekł — że oddam większe usługi społeczeństwu, jeżeli obiorę sobie bardziej popularną formę humoru. A kiedyż ta popularna forma humoru może być silniej ze mną spojona, jak teraz, gdy stałem się ulubieńcem całego narodu? Mój panie — zwrócił się do zdumionego wysłannika — jakie ceremonie są przewidziane z okazji mojego wejścia do miasta?

— Ceremonie — odpowiedział tamten cokolwiek zmieszany — zostały już od dość dawna zarzucone i...

Tymczasem Oberon Quin zaczął powoli zdejmować marynarkę.

— Wszystkie ceremonie — rzekł — polegają na odwróceniu uznanego zwyczaju. Gdy na przykład ludzie chcą być sędziami lub kapłanami ubierają się jak kobiety. Proszę mi pomóc włożyć to — powiedział podając policjantom swoją marynarkę.



— Ależ, Najjaśniejszy Panie — rzekł jeden z nich po chwili zdumienia, pomagając Oberonowi. — Wasza Królewska Mość wkłada marynarkę tyłem na przód.

— Odstąpienie od oczywistości — rzekł król spokojnie — jest przy naszych skromnych możliwościach wszystkim, co możemy zrobić w dziedzinie rytuału. Proszę prowadzić.

Cała reszta tego popołudnia i wieczór wydawały się Lambertowi i Barkerowi jakąś zmorą senną, której ani mogli dobrze zrozumieć, ani sobie przypomnieć. Król w ubraniu włożonym tyłem na przód szedł ulicami, gdzie go oczekiwano, ku staremu pałacowi Kensingtonskiemu, który teraz był królewską rezydencją. Gdy mijał małe gromadki ludzi, gromadki te rosły w tłum, a z tłumu dochodziły głosy dziwne, jeżeli się weźmie pod uwagę, że witano w ten sposób władcę autokratycznego. Barker szedł z tyłu zupełnie oszołomiony, a im bardziej tłum stawał się zwarty, tym niezwyklejsze stawały się jego okrzyki. A gdy król doszedł do wielkiego placu przed kościołem, na którym zwykle odbywał się targ, Barker, chociaż został już daleko w tyle, przekonał się o tym, że król już jest na placu, z okrzyku, jaki wstrząsnął powietrzem, a był to okrzyk, jakim dotychczas nie witano jeszcze żadnego z królów tej ziemi.

# CZEŚĆ DRUGA

## Rozdział I

### PRZYWILEJ MIAST

Zmieszany Lambert z miną człowieka ogłuszonego piorunem stał przed drzwiami apartamentu królewskiego wśród zgiełku zdumienia i szyderstwa. Miał już zamiar odejść stąd i wyjść na ulicę, gdy James Barker przebiegł obok niego.

— Gdzież ty idziesz? — zapytał Lambert.

— Idę położyć kres tym szaleństwom — odpowiedział Barker i zniknął w drzwiach pokoju królewskiego.

Wpadł tam jak wichur i zatraskując z hałasem drzwi za sobą rzucił swój niezrównany kapelusz na stół. Otwierał już usta, gdy król przemówił:

— Proszę uprzejmie podać mi ten kapelusz.

Młody polityk, prawie nie wiedząc co robi, podał go drżącymi palcami.

Król położył kapelusz na swoim krześle i usiadł na nim.

— Osobliwy stary zwyczaj — wyjaśnił uśmiechając się nad zrujnowanym kapeluszem. — Gdy król przyjmuje przedstawiciela rodu Barkerów, kapelusz Barkera musi być niezwłocznie zniszczony w taki sposób. Ma to oznaczać, że akt hołdu, rozpoczynający się zdjęciem kapelusza, został ostatecznie wypełniony. Jest to przy tym symbol, a znaczenie jego jest takie, że dopóki kapelusz ten nie zjawi się z powrotem na głowie członka rodu Barkerów (co jest według mego mocnego przekonania mało prawdopodobne), dopóty rodzina ta nie podniesie buntu przeciwko Koronie angielskiej.

Barker stał z zaciśniętymi pięściami i drżącymi wargami.

— Twoje żarty... — zaczął — i moja własność — potem wybuchnął jakąś klątwą i znowu urwał.

— Proszę cię, mów dalej — prosił król skinąwszy ręką.

— Co to wszystko ma znaczyć? — zawołał tamten z gwałtownością człowieka rozsądnego, doprowadzonego do rozpacz. — Czyś ty oszalał?

— Bynajmniej — odpowiedział król uprzejmie. — Wariaci są zawsze poważni. — Wariują właśnie z powodu braku humoru. A ty właśnie wyglądasz bardzo poważnie, James.

— Dlaczego nie ograniczysz swego humoru do prywatnego życia? — przedkładał mu tamten. — Masz teraz pod dostatkiem pieniędzy i pod dostatkiem domów, w których możesz się zamykać i bawić się w wariata, ale gdy chodzi o dobro publiczne...

— Znowu epigramaty — przerwał król, grożąc mu palcem ze smutną miną. — Nie pozwalaj sobie teraz na swoje błyskotliwe śmiałe uwagi. I zresztą, nie rozumiem dobrze, o co ci chodzi, gdy radzisz mi ograniczać mój humor do życia prywatnego. Moja odpowiedź będzie względnie jasna. Nie robię tego prywatnie, ponieważ daleko zabawniej jest robić to samo publicznie. Zdaje się, sądzisz, że to właśnie byłoby zabawne, gdybym się zachowywał z powagą i godnością w sali bankietowej i na ulicy, a przy moim własnym kominku (mógłbym teraz sprawić sobie kominek) doprowadzał do ataków śmiechu grono najbliższych przyjaciół! Ależ tak postępują wszyscy! Wszyscy są poważni w miejscach publicznych, a żartują tylko między swoimi. Mój zmysł humoru sugeruje odwrócenie tego, radzi on mi stać się uroczystym w życiu prywatnym, a zabawnym w publicznym. Pragnę uczynić ze wszystkich obcho-

dów i obrzędów, ze wszystkich funkcji urzędowych, z instytucji, parlamentu, koronacji i tym podobnych jakąś przezabawną, staromodną pantominę. Z drugiej zaś strony, będę się zamykał co dzień na jakieś dwie godziny w małej spiżarni i tam będę tak poważny, tak pełen godności, że będę wychodził stamtąd zupełnie chory.

Przez ten czas Barker chodził tam i na powrót, a długie poły jego surduta powiewały za nim jak czarne skrzydła ptaka.

— Dobrze, doprowadzisz kraj do ruiny, oto wszystko — oświadczył krótko.

— Zdaje mi się — rzekł Oberon — że zrywa się tradycję dziesięciu stuleci i że ród Barkerów buntuje się przeciwko Koronie angielskiej. Stanie się to z wielkim moim żalem (bo twoje oblicze zachwyca mnie szczerze), lecz będę zmuszony ozdobić twoją głowę szczątkami tego kapelusza i...

— Czego nie mogę zrozumieć — przerwał Barker, podnosząc do góry wszystkie pięć palców gorączkowym gestem, właściwym raczej Amerykanom — to tego, czemu ty nie troszczysz się o nic w świecie poza swymi żartami?

Król, który właśnie podnosił szczątki kapelusza, zatrzymał się, upuścił je na ziemię i podszedł do Barkera, uporczywie wpatrując się w niego.

— Zrobiłem rodzaj ślubu — rzekł — że nie będę nigdy rozmawiać poważnie, czyli, że będę zawsze odpowiadać na głupie pytania. Ale człowiek silny zawsze będzie łagodny z politykami,

*Istota, którą pogardzam z uśmiechem,  
Potrzebowała Boga, aby ją stworzył...*

jeżeli mi wolno wyrazić się tak teologicznie. I dla pewnego powodu, z którego sam nawet nie umiem zdać sobie dobrze sprawy, czuję się zmuszony odpowiedzieć ci na twoje pytanie i to w taki sposób, jak gdyby na świecie istniały naprawdę poważne kwestie. Pytałeś mnie, dlaczego o nic innego się nie troszczę. Czy możesz mi powiedzieć, w imię wszystkich bogów, w których nie wierzysz, dlaczego miałbym się troszczyć jeszcze o coś więcej?

— Czyż nie uznajesz żadnych wymagań dobra publicznego? — krzyczał Barker. — Czyż podobna, aby człowiek tak inteligentny jak ty, nie wiedział, że w interesie każdego leży...

— Czyż nie wierzysz w Zaratustrę? Czyż podobna, żebyś nie doceniał Mumba-Jumbo? — odpowiedział ze zdumiewającym ożywieniem król. — Czyż człowiek z twoją inteligencją powinien przychodzić do mnie uzbrojony w taką zacofaną etykę z epoki młodości królowej Wiktorii? Jeżeli studiując moje rysy, czy mój sposób bycia, doszedłeś do wniosku, że przypominam w czymś Księcia Małżonka, to zapewniam cię, że się mylisz. Czyż Herbert Spencer przekonał cię kiedykolwiek — czyż on w ogóle przekonał kogokolwiek — czyż przekonał bodaj samego siebie w jakiejś chwili szaleństwa, że w interesie jednostki leży poszanowanie dobra publicznego? Czy skłonny jesteś wierzyć, że spełniając źle funkcje urzędowe w twoim departamencie, masz jedną szansę, albo pół szansy więcej, że zostaniesz zgilotynowany, aniżeli ma jej rybak, że zostanie wciągnięty do rzeki przez mocnego szczupaka? Herbert Spencer powstrzymywał się od kradzieży dla tego samego powodu, dla którego nie nosił piór we włosach, a mianowicie dlatego, ponieważ był dżentelmenem angielskim i miał zupełnie inne gusta. I ja jestem angielskim dżentelmenem, ale mam inne gusta. On lubił filozofię, ja lubię sztukę. Jemu podobało się napisać dziesięć książek o naturze społeczeństw ludzkich. Mnie podoba się patrzeć na lorda Chamberlaina, kroczącego poważnie przede mną z kawałkiem papieru, przypiętym z tyłu do pół fraka. Taki jest rodzaj mojego humoru. Czy zadowolony jesteś z mojej odpowiedzi? W każdym razie są to ostatnie poważne słowa, wypowiedziane dziś przeze mnie, a mam nadzieję, że to są ostatnie poważne słowa, wypowiedziane przeze mnie w życiu, które mam spędzić w tym raju szaleńców. Co do reszty rozmowy, jaką będę miał jeszcze dzisiaj z tobą (a spodziewam się, że będzie ona długa i pobudzająca nas obu), to

mam zamiar podtrzymać ją, posługując się nowym językiem mego własnego wynalazku, polegającym na szybkich i symbolicznych ruchach lewej nogi. — I zaczął powoli wykonywać różne piruety dokoła pokoju, zachowując przy tym wyraz twarzy pełen uroczystej powagi.

Barker biegał za nim po pokoju, zarzucając go prośbami i błaganiami. Ale otrzymywał jedynie odpowiedzi, sformułowane w nowym języku. Wybiegł więc z pokoju, znowu zatrzymując drzwi za sobą i czując się niedobrze jak człowiek, który wychodzi na ład. Kiedy szedł bez celu ulicami, znalazł się niespodzianie przed restauracją Cicconanigo i nagle przypomniał sobie zieloną fantastyczną postać generała hiszpańskiego, stojącego, jak go ostatni raz widział, we drzwiach, i jego słowa: „Nie można przecież dyskutować z wyborem duszy”.

A tymczasem król przerwał taniec z miną człowieka naprawdę zmęczonego pracą, po czym włożył palto, zapalił cygaro i wyszedł na przechadzkę w fioletowy wieczór.

— Pójdę — rzekł sobie — i poobcuję z ludem moim.

Szybko szedł przez ulicę sąsiadującą z Notting Hill, gdy nagle uczuł, że w kamizelkę jego wciska się jakiś twardy przedmiot. Zatrzymał się więc, włożył monokl i spostrzegł małego chłopca z drewnianą szablą, w papierowym hełmie; miał on minkę na wpół zadowoloną, a na wpół trwożną, jaką zwykle miewają dzieci, gdy uderzyły kogoś bardzo mocno i przypatrują się swemu dziełu. Król, zamyślony, patrzył przez chwilę na małego napastnika i powoli wyciągnął notatnik z kieszeni na piersi.

— Mam tu parę notatek — rzekł — do mojej mowy przedśmiernej — począł przewracać kartki. — Mowa przedśmiertna na wypadek, gdyby popełniono na mnie zabójstwo polityczne. Ditto, jeżeli morderstwo to zostało popełnione przez dawnego przyjaciela — hm! hm! Mowa przedśmiertna na śmierć z rąk skrzywdzonego małżonka (wyrzuty sumienia). Mowa przedśmiertna na ten sam wypadek (cyniczna). Ale nie jestem pewny, jakiej użyć w obecnych okolicznościach...

— Ja jestem królem tego zamku — rzekł chłopiec zuchwale; wydawał się bardzo zadowolony nie wiadomo z czego. Król miał dobre serce i bardzo lubił dzieci, jak wszyscy ludzie, którzy przepadają za śmiesznością.

— Dziecko — rzekł — cieszę się, że jesteś tak odważnym obrońcą swego Notting Hillu. Spójrz na wieżę na szczycie tego pagórka, który samotnie wznosi się pod gwiazdami, tak starożytny, tak odosobniony, takie prawdziwe Nic \*. Bądź gotów umrzeć za to święte wzgórze, choćby zostało ono otoczone przez wszystkie armie Bayswateru...

Król umilkł nagle i oczy mu zabłyśły.

— Być może — rzekł — być może, jest to najwspanialsza z moich koncepcji. Wskrzeszenie hardości starych, średniowiecznych miast w zastosowaniu do naszych sławnych przedmieść! Clapham i jego gwardia miejska, Wimbledon i mur średniowieczny, Surbiton bijące w dzwon, aby zaalarmować swoich mieszkańców, Zachodnie Hampstead wyruszające z własnym sztandarem do walki. Tak musi być. Ja, król, tak powiedziałem. — I szybko dał chłopcu pół korony, dodając: — Na skarb wojenny Notting Hillu. — Po czym pobiegł do domu tak szybko, że towarzyszące mu tłumy biegnęły za nim wiele mil. Dotarłszy do swego gabinetu, kazał podać filiżankę kawy i zagłębił się w medytacjach nad nowym projektem. Wreszcie kazał zawołać ulubionego adiutanta, kapitana Bowlera, do którego czuł głęboką sympatię, opartą głównie na podziwie dla kształtu jego wąsów.

— Bowler — rzekł król — czy nie ma jakiegoś towarzystwa badań historycznych lub czegoś w tym rodzaju, którego jestem członkiem honorowym?

— Owszem, Najjaśniejszy Panie — odrzekł Bowler, pocierając nos. — Jest Wasza Królewska Mość członkiem Towarzystwa Zachęty do Odrodzenia Egiptu, Klubu Grobowców Teutońskich i Towarzystwa dla Przywrócenia Starożytnych Zwyczajów Londyńskich, i...

— To doskonale — rzekł król. — Starożytne Zwyczaje londyńskie! Oto czego mi po-

\* Gra słów: Notting Hill — nothing = nic.

trzeba. Niech więc tak będzie. Idź pan do Towarzystwa dla Przywrócenia Starożytnych Zwyczajów Londyńskich, rozmów się z ich sekretarzem i podsekretarzem, prezesem i wiceprezesem i powiedz im tak: „Król angielski dumny jest z tego, że jest królem Anglii, lecz bardziej dumny jest z tego, że został honorowym członkiem Towarzystwa dla Przywrócenia Starożytnych Zwyczajów Londyńskich! Chce wam powiedzieć o pewnych swoich odkryciach, dotyczących niektórych zaniedbanych tradycji i przedmieść londyńskich. Odkrycia te mogą wywołać pewne wzburzenie, gdyż poruszają palące wspomnienia i dotkną starych ran w Shepherd's Bush i w Bayswater, w Pimlico i w Południowym Kensingtonie. Król waha się, ale członek honorowy jest nieugięty. Zwraca się więc do was, ponawiając zaklęcia swego wtajemniczenia na Siedem Świętych Kotów, na Pogrzebacz Doskonałości i na Próbę Nieopisaną Chwili (przebaczcie mi, jeśli was miesza z Clan-na-Gael lub którymś innym klubem, do którego należę) i prosi was, żebyście mu pozwolili wygłosić na najbliższym zebraniu odczyt o „Wojnach przedmieść londyńskich”. Powiedz to wszystko temu Towarzystwu, Bowler. Zapamiętaj tylko sobie wszystko bardzo dokładnie, bo jest to rzecz niesłychanie ważna, a ja już zapomniałem wszystko, co mówiłem i... każ mi podać jeszcze jedną filiżankę kawy, a także parę cygar z tych, jakie zachowujemy dla ludzi pospolitych, którzy zdobyli powodzenie w życiu. A ja tymczasem napiszę mój odczyt.

Towarzystwo dla Przywrócenia Starożytności Londyńskich zebrało się w miesiąc później na krańcach jednego z południowych przedmieść londyńskich w hali zbudowanej z blachy falistej. Już wiele osób czekało w sali oświetlonej prymitywnymi, migocącymi lampami gazowymi, gdy wszedł król, zgrzany i w doskonałym humorze. Kiedy zdjął palto, spostrzeżono, że jest w stroju wieczorowym i nosi order Podwiązki. Zjawienie się jego przy małym stoliku, zdobnym tylko w szklanekę wody, zostało przyjęte z pełnym uszanowaniem aplauzem.

Przewodniczący (pan Huggins), oświadczył, że już niejednokrotnie w Towarzystwie tym słuchano z przyjemnością prelegentów, którzy zaszczycali to grono swymi odczytami (tak jest, tak jest!), pan Burton (tak jest, tak jest!), pan Cambridge, profesor King (głośnie i przeciągłe oklaski), nasz stary przyjaciel Piotr Jessop, sir William White (głośny śmiech) oraz inni wybitni mężowie zrobili zaszczyt naszej skromnej organizacji (oklaski). Lecz są inne okoliczności, które wyróżniają okazję, mającą dziś miejsce, spośród wszystkich innych (potakiwania). Jak daleko sięgają jego wspomnienia, a jeżeli chodzi o Towarzystwo dla Przywrócenia Starożytności Londyńskich, to wspomnienia te sięgają bardzo daleko (grzmiące oklaski), nie przypomina sobie, aby który z przemawiających tu prelegentów nosił tytuł królewski. A więc oddaje głos królowi Oberonowi, aby przemówił do zebranych. Król zaczął od oświadczenia, że przemówienie jego może być uważane za pierwszą deklarację jego nowej polityki wobec narodu.

— W tej kulminacyjnej chwili mego życia czuję, że powinienem serce moje otworzyć właśnie członkom Towarzystwa dla Przywrócenia Starożytności Londyńskich (oklaski). Jeżeli świat zwróci się przeciwko mej polityce, jeżeli zerwie się powszechna burza wrogości (nie, nigdy!), czuję, że mogę spotkać ją z mieczem w rękę tutaj, otoczony dzielnymi Obrońcami Starożytności (głośnie oklaski).

Następnie Jego Królewska Mość wyjaśnił, że teraz, gdy zbliża się do niego starość, pragnie poświęcić resztę sił na rozwinięcie silnego poczucia lokalnego patriotyzmu licznych przedmieść Londynu. Jakże mało mieszkańców Londynu zna legendy swoich dzielnic! Jakże wiele z nich nie słyszało nigdy o prawdziwym początku powitania wardsworthkiego. Wśród młodego pokolenia mieszkańców Chelsea jakże bardzo zaniedbano wykonywanie starego tańca z Chelsea! Pimlico nie wie już, co to są „Pimlies”. Battersea zapomniało już nazwiska Blicka!

Nastąpiła krótka przerwa, potem jakiś głos pojedynczy odezwał się: „Wstyd!”

Król mówił dalej:

— Powołany na to wysokie stanowisko, aczkolwiek niegodny tego, postanowiłem starać się, o ile to w mej mocy, aby to zaniedbanie ustało. Nie pragnę sławy wojennej. Nie mogę równać się z Justynianem lub Alfredem na polu prawodawstwa. Jeżeli przejdę do historii jako człowiek, który uratował od wygaśnięcia parę starych obyczajów angielskich, jeżeli potomkowie nasi powiedzą, że dzięki temu człowiekowi, choć tak skromnemu, w Fulham jedzą jeszcze Dziesięć Brukwi, a radny gminy w Putney jeszcze goli sobie połowę głowy, to skoro stanę przed wielkimi ojcami moimi w ostatnim przybytku królów, spojrzę im w twarz z szacunkiem ale bez trwogi.

Tu król urwał, widocznie wzruszony, lecz opanowawszy się, mówił dalej:

— Jestem pewny, że dla większości spośród was nie potrzebuję nawet mówić o wzniosłym początku owych legend; stwierdzają to same nazwy owych przedmieść. Dopóki Hammersmith będzie się nazywało Hammersmith, dopóty mieszkańcy jego będą żyć w cieniu bohaterskiego ich przodka Blacksmitha, który poprowadził do walki lud z Broadway, przepędził rycerzy z Kensingtonu i rozniósł ich na miejscu, które na pamiątkę szlachetnej krwi przelanej na nim przez zwyciężoną arystokrację Kensingtonu, nosi nazwę Kensington Gore \*. Ludzie z Hammersmith nie zapomną, że prawdziwa nazwa Kensingtonu wyszła po raz pierwszy z ust ich bohatera. Otóż podczas wielkiego bankietu pojednawczego, jaki odbył się po skończeniu wojny, gdy dumni oligarchowie odmówili zaintonowania śpiewów ludowych z Broadway (które do dziś dnia zachowały swój prymitywny, popularny charakter), znakomity przywódca republikański odezwał się rubasznie w słowa, które złotymi literami zostały wyryte na jego pomniku: „Małe ptaszki, które umieją śpiewać, a śpiewać nie chcą, trzeba zmusić, aby śpiewały”. I do tego czasu rycerze ze wschodu zostali nazwani Cansings czyli Kensings \*\* i tak nazywają się po dziś dzień. Ale wy także macie wielkie wspomnienia, mężowie z Kensingtonu! Pokazaliście, że umiecie śpiewać i to śpiewać potężne pieśni wojenne. Nawet po ciemnym dniu bitwy na Kensington Gore historia nie zapomni o tych trzech rycerzach, którzy osłaniali wasz bezładny odwrót z Hyde Parku, nazwanego tak dlatego, żeście się w nim ukrywali \*\*\*, nie zapomną w Londynie tych trzech rycerzy, od których otrzymał swą nazwę Knightsbridge \*\*\*\*. I nie zapomną o dniu waszego odrodzenia, gdy oczyszczeni w ogniu klęski, wolni od waszych dawnych korupcji oligarchicznych, z mieczem w rękę wypieraliście imperium Hammersmithu, mila za milą, aż wypędziliście napastników za ich własny Broadway i w końcu zadaliście im klęskę ostateczną po walce tak długiej i tak krwawej, że ptaki drapieżne nadały nazwę polu, na którym się odbywała. Z gorzką ironią nazwano je Ravenscourt \*\*\*\*\*. Przytaczając te dwa szczególne przykłady, które wybrałem spośród wielu innych, mam nadzieję, że nie zraniłem patriotyzmu Bayswateru lub samotnej dumy Bromptonu albo jakiejś innej części miasta. Jeżeli wybrałem te właśnie przykłady, to nie dlatego, że są chwalebniejsze od innych, lecz częściowo ze względu na osobiste więzy (sam pochodzę od jednego z tych trzech bohaterów z Knightsbridge), a częściowo ze świadomości, że jestem historykiem-amatorem i nie mogę podjąć się omówienia czasów i okolic więcej odległych i tajemniczych. Nie do mnie należy rozstrzyganie sporu pomiędzy dwoma takimi powagami, jak profesor Hugg i sir William Whisky, którzy, spierając się o to, czy nazwa Notting Hill brzmiała pierwotnie Nutting Hill \*\*\*\*\*, z racji bogatych gajów leszczynowych, niegdyś je pokrywających, a obecnie już nieistniejących, czy też jest to wykoślawienie nazwy Nothing Ill \*\*\*\*\*, odnoszącej się do reputacji, jaką miało w dawnych czasach Notting Hill, jako raj

\* Kensington Gore — hańba Kensingtonu.

\*\* Can sing — móc śpiewać.

\*\*\* To hide — ukrywać się.

\*\*\*\* Knightsbridge — most rycerski.

\*\*\*\*\* Ravenscourt — dwór kruków.

\*\*\*\*\* Nutting Hill — wzgórze orzechowe.

\*\*\*\*\* Nothing Ill — nic złego.

ziemski. Gdy tacy specjaliści jak Podkins i Jossy wyznają swe wątpliwości co do granic zachodniego Kensingtonu (które, jak mówią, naznaczone były krwią wołów), to i ja nie potrzebuję się wstydzić podobnej wątpliwości. Proszę więc, żebyście mnie zwolnili z dalszych szczegółów historycznych i swą zachętą dopomogli do zgłębienia problemu, który stoi obecnie przed wami. A mianowicie: czy ten duch, jaki ożywiał niegdyś przedmieścia Londynu, ma zniknąć? Czy nasi konduktorzy autobusów i nasi policjanci mają stracić ten błysk, który widzimy tak często w ich oczach, ten marzycielski błysk, zdający się mówić:

*O dawnych rzeczach, odległych, nieszczęsnych  
O dawnych walkach w zamierzchłej przeszłości,*

jeżeli wolno mi zacytować słowa pewnego, mało znanego poety, który był mi przyjacielem w młodości. Postanowiłem więc, w miarę możliwości, starać się zachować ten marzycielski wyraz w oczach konduktorów autobusów i policjantów. Bo czymże jest prawo bez marzeń! I oto w tym celu proponuję:

Jutro rano, o godzinie 10 minut 25, jeżeli niebo zachowa mnie przy życiu, wydam Proklamację. To dzieło mojego życia jest już w połowie skończone. Przy pomocy whisky z wodą sodową wykończę tej nocy drugą połowę i lud mój pozna jutro rano mą wolę. Wszystkie dzielnice, w których urodziliście się, i w których macie nadzieję złożyć wasze kości, powstaną na nowo w całej swej prastarej wspaniałości — a więc Hammersmith, Kensington, Bayswater, Chelsea, Battersea, Clapham, Balham i sto innych. Każda z tych dzielnic powinna niezwłocznie wybudować wokół swych granic mur miejski z bramami, które będą zamykane o zachodzie słońca. Każda z nich będzie miała straż miejską, uzbrojoną po zęby. Każda z nich będzie miała własny sztandar, tarczę herbową i, o ile zajdzie potrzeba, własny okrzyk wojenny. Nie mogę w tej chwili roztrząsać drobniejszych szczegółów, serce moje jest zanadto przepełnione wzruszeniem. Szczegóły te znajdziecie w samej proklamacji. Wy wszyscy podlegać będziecie zaciągowi do lokalnych oddziałów straży miejskiej, a zwoływani będziecie przez coś, co nazywa się „tocsin”, moje dociekania historyczne skierowałem właśnie na badanie etymologii tego wyrazu. Ja osobiście jestem mniemania, że tocsin jest rodzajem wysoko płatnego urzędnika. Jeżeli ktoś z was posiada w domu coś w rodzaju halabardy, to radzę odbywać nią ćwiczenia w ogrodzie.

W tym miejscu król zakrył twarz chustką i śpiesznie opuścił estradę, widocznie przejęty wzruszeniem.

Członkowie Stowarzyszenia dla Przywrócenia Starożytności Londyńskich powstali z miejsc w stanie nieopisanej niepewności. Niektórzy z nich byli czerwoni z oburzenia. Inni, mniej liczni, intelektualiści, byli czerwoni ze śmiechu; ogromna większość nie wiedziała, co myśleć. Lecz zachowała się z tych czasów legenda o bladej twarzy i dwojgu płonących niebieskich oczach, które przez cały czas utkwione były w mówcy, i o tym, że po skończeniu przemowy króla jakiś rudowłosy chłopak wybiegł z sali.

## Rozdział II

### NARADA BURMISTRZÓW

Na drugi dzień król wstał wcześniej i zaraz zszedł na dół, przeskakując po trzy stopnie jak uczeń. Zjadł śniadanie pośpiesznie, ale z apetytem, wezwał do siebie jednego z najważniejszych urzędników pałacowych i rzekł, dając mu szylinga:

— Idź i kup mi za szylinga pudełko z farbami do malowania. Dostaniesz je, o ile mnie

pamięć nie zawodzi, w sklepie na rogu drugiej ulicy, najbrudniejszej z tych, jakie prowadzą do Rochester Row. Już poleciłem wielkiemu Mistrzowi Psów Gończych, aby mi dostarczył papieru rysunkowego. Wydaje mi się bowiem, sam nie wiem dlaczego, że to leży w zakresie jego funkcji.

I przez cały ranek tego dnia król był szczęśliwy ze swoim papierem rysunkowym i farbami. Rysował uniformy i tarcze herbowe dla poszczególnych dzielnic Londynu. Praca ta wprawiła go w nastrój poważny, i wzniosły, gdyż czuł ciężar odpowiedzialności, spoczywający na nim.

— Nie mogę zrozumieć — mówił do siebie — dlaczego ludzie uważają nazwy miejscowości na wsi za poetyczniejsze niż nazwy w Londynie. Płytcy romantycy jeżdżą pociągiem, aby się napawać urokiem takich miejscowości, jak Mysia Dziura, albo Żabia Kałuża. A tymczasem tutaj mogliby mieszkać w dzielnicy o cudownej nazwie: St. John's Wood \*. Nigdy nie byłem w St. John's Wood. Nie śmiem. Bałbym się znaleźć w tej niezmiernej nocy, utworzonej przez gęste sosny, bałbym się natknąć na krwawoczerwony kwiat i posłyszeć szum skrzydeł orła. Ale wszystko to można sobie przecież wyobrażać, siedząc w pociągu idącym do Harrow.

I zamyślony, poprawił rysunek nakrycia głowy dla halabardników z St. John's Wood, kompozycję czarnego i czerwonego, opartą na motywach gałązek sośniny i orlich piór. Potem zabrał się do innej kartki. — Pomyślmy o łagodniejszych rzeczach — rzekł sobie. — Lavender Hill \*\*. Wątpię, czy jakieś wiejskie łąki i doliny mogły stworzyć tak wonny pomysł? Pomyślcie tylko o tej całej górze lawendy, wznoszącej się liliową falą ku srebrnemu niebu i napełniającej nozdrza ludzkie nowym tchnieniem życia — pomyślcie o tej liliowej górze aromatu. To prawda, że w żadnej z moich badawczych wycieczek tramwajem nie udało mi się natrafić na właściwe miejsce. Ale gdzieś ono być musi, przecież jakiś poeta tak je nazwał. Jest to dostateczna podstawa dla uroczyście liliowych pióropuszy (mówiąc stylem botanicznych opisów lawendy), jakie każę nosić ludziom, mieszkającym w pobliżu Clapham Junction. I ze wszystkim jest mniej więcej tak samo. Nie byłem nigdy w Southfields \*\*\*, lecz sądzę, że kombinacja cytryn i gałęzi oliwnych dobrze oddaje ich południowe skłonności. Nigdy nie odwiedziłem Parson's Green \*\*\*\*, i nigdy nie widziałem ani łąki, ani proboszcza, ale na pewno jasnozielone kapelusze kształtu noszonego przez księży, które zaprojektowałem, będą tu odpowiednie. Muszę pracować na ślepo i kierować się raczej instynktem, lecz mam nadzieję, że wielka miłość dla mego ludu, jaką noszę w sercu, ustrzeże mnie od strapienia jego szlachetnego ducha i pogwałcenia jego wielkich tradycji.

Gdy oddawał się takim myślom, otworzyły się drzwi i jakiś urzędnik zaanonsował panów Lamberta i Barkera.

Ani pan Barker, ani pan Lambert nie zdziwili się zanadto, zobaczywszy króla siedzącego na ziemi pośród swoich akwarelowych szkiców. Nie zdziwili się zanadto, ponieważ, gdy go odwiedzali ostatnim razem, zastali go siedzącego na ziemi i otoczonego stosami dziecięcych klocków do budowania, a jeszcze innym razem, również w tej samej pozycji, tylko wśród mnóstwa zupełnie nieudanych strzał papierowych, jakie usiłował zrobić. Ale tym razem rodzaj uwag, jakie zostały wypowiedziane przez królewskie dziecko w tym chaosie papieru był cokolwiek inny.

Pozwolili mu gadać przez pewien czas, przekonani, że jego wypowiedzi nie mają żadnego sensu. Ale wkrótce okropne podejrzenie zaświtało w głowie Jamesa Barkera. Zaczął bowiem rozumieć, że wypowiedzi króla bynajmniej nie są pozbawione sensu.

— Na miłość boską, Oberonie — krzyknął nagle mącąc spokój sali — czy ty na serio zamierzasz utworzyć strażę miejskie, wznieść mury i tak dalej?

\* St. John's Wood — las św. Jana.

\*\* Lavender Hill — wzgórze lawendowe.

\*\*\* Southfields — południowe pola.

\*\*\*\* Parson's Green — łąka proboszcza.



— Owszem, taki właśnie jest mój zamiar — odparło łagodnym głosem dziecko. — Bo dlaczegożbym nie miał tego zrobić? Ułożyłem wszystko dokładnie według twoich zasad politycznych. Czy wiesz, co zrobiłem, Barker? Postąpiłem zupełnie, jak prawdziwy „barkerzysta”, bo... Ale może nie będzie ciebie interesować opowiadanie o moim barkerowskim postępowaniu.

— Mów dalej — zawołał Barker — mówże dalej.

— Widzę, że opowiadanie o moim barkerowskim postępowaniu zdaje się was nie tylko interesować, lecz nawet niepokoić — ciągnął król spokojnie — jednak jest ono bardzo proste. Pomysł polega tylko na tym, by wybrać nowych burmistrzów według tej samej zasady, jaką zastosowaliście przy wyborze głównego despoty. Każdy burmistrz dzielnicy będzie według mego kodeksu wybierany przez losowanie. Śpij więc snem spokojnym, mój drogi Barkerze.

Dzikie oczy Barkera pałały.

— Ależ na miłość boską, Quin, czyż nie widzisz, że to jest zupełnie coś innego? Nie ma znaczenia, co się dzieje u szczytu, gdyż głównym celem despotyzmu jest osiągnięcie jakiejś jedności... Ale jeżeli pierwsza lepsza gmina będzie mogła wybierać jakieś pierwsze lepsze indywiduum...

— Rozumiem twoje zastrzeżenia — rzekł spokojnie Oberon. — Obawiasz się, by twoje talenty nie pozostały ukryte w cieniu. A więc słuchaj — tu podniósł się z niezmiernym dostojeństwem: — udzielam memu lennikowi i poddanemu, Jamesowi Barkerowi, za specjalną łaską swoją i specjalnym przywilejem, prawo obejścia Przywileju Miast i objęcia prawem dziedzicznym godności Lorda Burmistrza Południowego Kensingtonu. A teraz, mój drogi Jamesie, wszystko już jest w porządku. Żegnam cię.

— Ależ... — zaczął Barker.

— Audiencja skończona, burmistrzu — odrzekł król z uśmiechem.

Aby wyjaśnić na ile decyzja króla była usprawiedliwiona, musimy zapaść się w rozważanie nieco skomplikowane. Wielka proklamacja Przywileju Wolnych Miast ukazała się tego ranka, a rozlepiacze afiszów wykleili nią całą fasadę pałacu królewskiego; sam król stojąc na środku ulicy, pomagał im swymi wskazówkami i przechyliwszy głowę na bok, oceniał rezultat. Żywe plakaty przechadzały się również po głównych arteriach miejskich i z trudem odwiedziono króla od zamiaru wyjścia na miasto w tym samym charakterze. Rycerz Królewskiego Płaszczka i kapitan Bowler przyłapali Oberona jak się mocował z dwiema tablicami od afiszów i musieli go uspokajać tak, jak się uspokaja rozkapryszone dziecko.

Co się tyczy przyjęcia przez publiczność proklamacji o Przywileju Miast, to można je określić łagodnie jako niezdecydowane. Pod jednym względem proklamacja była dość popularna. W niejednej szczęśliwej rodzinie, w której umiano już na pamięć dzieła staromodnego lecz nieśmiertelnego klasyka, W. W. Jacobsa, czytano ten wybitny dokument prawodawczy w wieczory zimowe wśród głośnych okrzyków uznania. Ale gdy się przekonano, że król ma stanowczy zamiar wprowadzić w czyn artykuły Przywileju i stworzyć naprawdę groteskowe miasta z dzwonami alarmowymi i ze strażą miejską, sprawa przeobraziła się w gniewne zamieszanie. Londyńczycy nie mieli specjalnych zastrzeżeń przeciwko temu, aby ich król robił błazna sam ze siebie, ale oburzyli się, gdy już nie mogło być wątpliwości, że chciał zrobić błaznów także i z nich. Zaczęły napływać protesty.

Lord Wysoki Burmistrz Szlachetnego i Dzielnego Miasta Zachodniego Kensingtonu napisał do króla w wyrazach pełnych szacunku, że o ile chodzi o uroczystości państwowe, to obowiązek jego nakazuje mu zachować wszystkie ceremonie, jakie uznał za słuszne król, ale że dla spokojnego mieszczanina jakim jest, przykrą jest bardzo rzeczą nie móc, na przykład, pójść wrzucić list do skrzynki pocztowej inaczej, jak pod eskortą pięciu heroldów, którzy przy dźwięku trąb ogłaszają, że Lord Burmistrz pragnie wysłać list.

Lord Burmistrz Północnego Kensingtonu, zamożny kupiec towarów łokciowych, napisał krótki list w stylu handlowym, jak człowiek skarżący się np. na zarząd kolei, i stwierdził,

że obecność halabardników, których musi zabierać wszędzie ze sobą sprawia mu wiele kłopotów. Na przykład, gdy chce wsiąść do omnibusu, aby udać się do City, okazuje się zwykle, że jest wolne miejsce dla niego, ale nie ma go dla pięciu halabardników. Proszę przyjąć wyrazy... itd.

Lord Wysoki Burmistrz Shepherd's Bush skarżył się, że żona jego nie lubi, gdy obcy ludzie cały dzień kręcą się po jej kuchni.

Król zawsze słuchał z zachwytem tych żalów i udzielał na nie łagodnych, prawdziwie królewskich odpowiedzi, lecz nalegał, jako na warunek *sine qua non*, aby ustne skargi były mu przedkładane z całą galą w asyście pióropuszy, trąb, halabard; toteż tylko najwięksi, najodważniejsi rezoluci decydowali się na to, by wystawić się na drwiny małych uliczników.

Na czoło burmistrzów wysuwał się właśnie energiczny, rzeczowy pan, który władał Północnym Kensingtonem. Znalazł on wkrótce okazję do zainterpelowania króla w sprawie daleko ważniejszej i bardziej pilnej niż problem halabardników i omnibusów. Chodziło tu o ważną kwestię, która wówczas i przez długi jeszcze czas później wzburzała krew i rozpaliała twarze wszystkich spekulantów budowlanych i agentów mieszkaniowych od Shepherd's Bush aż po Marble Arch i od Westbourne Grove po Kensington High Street. Chęć tu mówić o wielkiej sprawie przebudowy Notting Hillu. Głównie zainteresowanymi w tej sprawie byli pan Buck, szorstki potentat Północnego Kensingtonu i pan Wilson, burmistrz Bayswateru. Pragnęli oni przeprowadzić wielką arterię przez trzy dzielnice: przez Północny i Zachodni Kensington, i przez Notting Hill, ulica ta jednym końcem miała wychodzić na Hammersmith Broadway, a drugim na Westbourne Grove. Dziesięć lat zużyli na doprowadzenie do końca różnych transakcji kupna i sprzedaży, przekupstw i szantażu, aż wreszcie Buck, kierujący prawie sam tym wszystkim, okazał się człowiekiem najmocniejszego gatunku, trzeźwej energii i trzeźwej dyplomacji. I właśnie teraz, gdy jego wspaniała cierpliwość i jeszcze bardziej wspaniała niecierpliwość przyniosły mu w końcu zwycięstwo, w chwili, gdy już robotnicy burzyli domy i mury wzdłuż całego Hammersmithu, pojawiła się niespodziewana przeszkoda, taka, z którą nie liczone się, i o której nawet nie myślano, przeszkoda dziwna, mała, która niby ziarnko piasku w ogromnej maszynie wstrząsnęła całym przedsięwzięciem i zatrzymała je. I natychmiast pan Buck, znany sukiennik niecierpliwie przywdział w ogromnym pośpiechu szaty ceremonialne i z nieopisanym niesmakiem przyzwawszy swoich halabardników pośpieszył, aby rozmówić się z królem. Po dziesięciu latach król jeszcze nie znudził się swym żartem. Mógł przecież patrzeć na coraz to nowe twarze, twarze ludzi, którzy nosili symboliczne przykrycia głowy jego pomysłu i spoglądali na niego bądź to spod sielankowych wstążek Shepherd's Bush \*, bądź to spod ponurych kapturów Blackfriar's Road \*\*. A po rozmowie, jaką miał odbyć z burmistrzem Północnego Kensingtonu, obiecywał sobie przyjemność specjalną, bo, jak mówił: „Najwięcej rozkoszuję się całą wspaniałością ubiorów średniowiecznych, gdy są one z musu noszone przez ludzi rzeczowych i bardzo przy tym rozgniewanych”.

A pan Buck właśnie był i rzeczowy, i rozgniewany. Na rozkaz króla otworzyły się drzwi od sali przyjęć i ujrzano wchodzącego herolda we fiolecie dzielnicy pana Bucka, z Wielkim Orłem na piersi, którym to herbem król wyposażył Północny Kensington, być może dla upamiętnienia Rosji, gdyż zawsze upierał się przy poglądzie, że Północny Kensington jest okolicą niemal podbiegunową. Herold zaanonsował, że burmistrz tej dzielnicy pragnie użyć posłuchanie u króla.

— Północny Kensington? — zapytał król łaskawie, powstając. — Jakież wiadomości przynosi nam z tej krainy wysokich wzgórz i pięknych kobiet? Mile będzie przez nas widziany.

Herold postąpił naprzód, a za nim natychmiast weszło dwunastu gwardzistów, odzia-

\* Shepherd's Bush — krzak pasterza, zarośla pasterza.

\*\* Blackfriar's Road — droga czarnego mnicha.

nych we fiolet; następnie szedł dostojnik, który niósł chorągiew z orłem, i drugi, niosący na poduszce klucze od miasta, a dopiero na końcu ukazał się w wielkim pośpiechu pan Buck. Skoro król ujrzał jego mocną brutalną twarz, oraz pewne siebie spojrzenie, nie miał już wątpliwości, że stoi przed nim wielki człowiek interesów, toteż świadom tego zebrał swe siły.

— Tak, tak — rzekł uprzejmie schodząc dwa czy trzy stopnie z podwyższenia, na którym stał tron, i zacierając ręce: — cieszę się bardzo, że pana widzę. Proszę nie zwracać uwagi... Ceremonie nie są wszystkim.

— Nie rozumiem Waszej Królewskiej Mości — odparł spokojnie burmistrz.

— Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi — mówił wciąż król wesoło. — Znajomość zwyczajów dworskich jest sztuką trudną. Niezawodnie następnym razem lepiej się zachowasz.

Człowiek interesu spojrział dumnie spod swych czarnych brwi na króla i powiedział znowu bez zachowania etykiety.

— Nie rozumiem, o co panu chodzi.

— Dobrze, dobrze — odrzekł król dobrotliwie — a więc, jeżeli zależy ci na tym, aby wiedzieć, to z przyjemnością objaśnię cię, ale nie dlatego, abym przywiązywał wielką wagę do tych formalności, gdyż wyżej od nich stawiam szlachetność serca. Lecz zwyczaj — powtarzam zwyczaj i nic więcej — otóż zwyczaj chce, aby znajdując się w obecności majestatu królewskiego położyć się na plecach, podnosząc nogi ku niebu, które jest źródłem władzy królewskiej, i powtórzyć trzy razy: „Monarchia doskonali obyczaje”. Ale co tam, więcej jest godności w twej serdecznej prostocie niż w tej całej ceremonii.

Burmistrz poczerwieniał z gniewu, lecz zachował milczenie.

Lekko nieznośnym tonem człowieka, który łagodzi daną przez siebie nauczkę, król zauważył:

— Jaką piękną pogodę mamy dzisiaj! Musi ci być gorąco milordzie w tej szacie ceremonialnej, obmyśliłem ją taką, a nie inną, mając na względzie wasz podbiegunowy klimat.

— Gorąco mi w niej jak w piekle — odrzekł Buck. — Przybyłem tu w interesie.

— Racja — rzekł król, kiwając głową niezliczoną ilość razy z powagą zupełnie niepojętą w tym wypadku — racja, racja, racja. Interes, jak powiedział pewien stary, jary, szary Pers, interes jest interesem. Trzeba być punktualnym. Wstawać wcześniej. Kierować koniec pióra ku ramieniu, bo nie wiesz, skąd przyszedłeś ani dlaczego. Kierować koniec pióra ku ramieniu, bo nie wiesz dokąd pójdziesz ani kiedy.

Burmistrz wyciągnął z kieszeni plik papierów i gestem pełnym wściekłości rozwinął je.

— Może Wasza Królewska Mość słyszał — rozpoczął sarkastycznie — o Hammer-smith i o czymś, co nazywa się ulicą. Pracowaliśmy przez dziesięć lat, skupując place i uzyskując przymusowe nakazy wykonawcze, wypłacając odszkodowania, wykupując apanaże i oto teraz, kiedy wszystko gotowe, staje nam na drodze szaleniec. Stary Prout, który był burmistrzem Notting Hillu, znał się na interesach i załatwiliśmy z nim wszystko jak najlepiej. Ale umarł, a przekłety los padł na młodego człowieka nazwiskiem Wayne, który rozpoczyna jakąś grę zupełnie dla mnie niezrozumiałą. Ofiarowaliśmy mu lepszą cenę, niż mógł kiedykolwiek marzyć, a on nam nie pozwala przeprowadzić ulicy. I zdaje się, że jego Rada popiera go w tym. To szczyt obłędu.

Król, który w roztargnieniu właśnie rysował palcem na szybie okna nos burmistrza, usłyszał ostatnie słowa.

— Jakież to piękne i silne wyrażenie — zawołał. — Szczyt obłędu!

— Zasadniczo chodzi o to — kontynuował uparcie Buck — że kluczem do zagadnienia jest jedynie część Notting Hillu, mała, nędzna uliczka, która nazywa się ulicą Pompy \*, a mieści się na niej tylko szynk, sklep z tanimi zabawkami i parę innych spelunek w tym rodzaju. Wszyscy poważni mieszkańcy Notting Hillu zgodzili się na nasze odszkodowanie, lecz ten

\* Pomp Street.

niemożliwy Wayne upiera się. Mówi, że jest burmistrzem Notting Hillu, ale właściwie jest tylko burmistrzem ulicy Pompy.

— Dobry pomysł — odpowiedział Oberon — burmistrz ulicy Pompy! To mi się podoba! Dlaczego nie zostawić go w spokoju?

— I wyrzec się całego projektu, nieprawdaż? — wybuchnął Buck z oburzeniem. — Prędzej skonam niż to zrobię. Nie! Zamierzam wysłać robotników i kazać rozbijać mury bez dalszych ceregieli!

— Uderzaj, uderzaj, w imię fioletowego orła — zawołał król, rozentuzjasmowany historycznymi wspomnieniami.

— A ja zaraz powiem, co mi leży na wątrobie — zawołał Buck, który zaczynał zupełnie tracić cierpliwość. — Gdyby Wasza Królewska Mość mniej czasu poświęcał na obrażanie poważnych ludzi idiotycznymi tarczami herbowymi, a więcej zajmował się sprawami państwa...

Król ściągnął brwi z wyrazem zamyślenia.

— Wcale niezła sytuacja — rzekł. — Dumny mieszczanin, stawiający czoła królowi w jego własnym pałacu. Dumny mieszczanin powinien w tym miejscu odrzucić głowę w tył i wyciągnąć prawe ramię; mógłby też lewe ramię skierować ku niebu, lecz zostawiam to pańskim osobistym uczuciom religijnym. Ja zaś powinienem wtulić się w to krzesło, drżąc z bezsilnego gniewu. Proszę jeszcze raz, powtórzmy.

Buck otworzył usta niby pies, chcący kogoś ugryźć, lecz zanim zdążył przemówić, inny herold zjawił się na progu.

— Lord, Wysoki Burmistrz Bayswateru prosi o posłuchanie — rzekł.

— Niech wejdzie — odpowiedział Oberon. — Oto prawdziwie dobry dzień dzisiaj.

Halabardnicy z Bayswater nosili uniformy, w których przeważał kolor zielony, a na niesionej za nimi chorągwi wyhaftowany był wieniec z zielonych gałązek laurowych na srebrnym tle; miała to być stara i dowcipna odznaka, harmonizująca z nazwą Bayswater \*, którą król obmyślił badając zawartość butelki szampana.

— Oto słuszny symbol — rzekł król — wasz nieśmiertelny wieniec laurowy. Niech Fulham goni za bogactwami i niech Kensington pielęgnuje sztuki, lecz czyż Bayswater dbało kiedy o coś innego jak o sławę?

Tuż za chorągwią, prawie zupełnie ukryty za nią, kroczył burmistrz przedmieścia Bayswater, ubrany we wspaniałe, zielone, wyszywane srebrem suknie, bramowane białym futrem; na głowie miał wieniec laurowy. Był to mały bojaźliwy człowieczek z czerwonymi wąsami, ongiś właściciel sklepiku ze słodyczami.

— A, witaj, kuzynie z Bayswater — zawołał król uradowany. — Czym możemy ci służyć?

Wyraźnie posłyszano też, jak król mruknął: „Zimny rozbef, zimna szynka, zimne kurczęta”, po czym głos jego roztopił się w ciszy.

— Przychodzę, aby pomówić z Waszą Królewską Mością w sprawie ulicy Pompy — rzekł burmistrz Bayswateru, który nazywał się Wilson.

— Właśnie przedstawiłem tę sprawę Jego Królewskiej Mości — rzekł Buck jeszcze cokolwiek szorstko, ale już grzeczniej. — Jednak nie wiem, czy Jego Królewska Mość zdaje sobie sprawę, do jakiego stopnia rzecz ta również dotyczy i pana.

— Interesuje nas obu, Najjaśniejszy Panie, ponieważ projekt nasz miał na celu dobro wszystkich sąsiadujących dzielnic. Tak pan Buck jak i ja połączyliśmy, że się tak wyrażę, nasze głowy.

Król aż złożył ręce z zachwytem.

— Wspaniale! — zawołał. — Połączyliście swoje głowy! Zdaje mi się, że to widzę! Czy nie moglibyście tego zrobić przede mną? Och, proszę was, zróbcie to teraz!

\* Bayswater — laurowa woda.

Ożywione szepty, podobne do stłumionego śmiechu, przeleciały pomiędzy halabardnikami, lecz pan Wilson miał minę zdziwioną, a pan Buck minę ponurą.

— Myślę — zaczął gorzko, lecz król nakazał mu milczenie gestem człowieka, który pilnie nasłuchuje.

— Pst! — rzekł — zdaje mi się, że ktoś nadchodzi. Musi to być jakiś herold, którego buty skrzypią.

Zaledwie skończył mówić, gdy nowy głos zaanonsował na progu:

— Lord, Wysoki Burmistrz Południowego Kensingtonu prosi o posłuchanie.

— Lord, Wysoki Burmistrz Południowego Kensingtonu! — wykrzyknął król. — Ależ to mój stary przyjaciel, James Barker! Ciekawy jestem, czego on może chcieć ode mnie? Jeśli tkliwe wspomnienia przyjaźni nie mylą mnie, to sądzę, że będzie prosił o jakąś łaskę osobistą, prawdopodobnie o pieniądze. Jak się masz, James?

Pan James Barker, którego straż przyboczna odziana była w piękny niebieski kolor, a na błękitnej chorągwi wyhaftowane były złotem trzy śpiewające ptaki, wpadł jak bomba w swych uroczystych szatach niebieskich i złotych. Pomimo bezsensowności tych pompatycznych strojów łatwo było zauważyć, że wyglądał w nich lepiej niż reszta towarzystwa, choć tak samo nienawidził ich jak wszyscy inni. Był to bowiem prawdziwy dżentelmen, a prócz tego bardzo przystojny mężczyzna, który nieświadomie umiał nosić nawet swój niedorzeczny kostium tak właśnie, jak go nosić przystało. Zaczął mówić szybko, lecz z początku z pewnym lekkim wahaniem, które zjawiało się u niego zawsze, ilekroć zwracał się do króla, a które pochodziło stąd, że musiał opanować impuls zwrócenia się do starego znajomego w dawny, bezceremonialny sposób.

— Niech Wasza Królewska Mość raczy mi wybaczyć moje wtargnięcie tutaj. Chodzi o tego człowieka z ulicy Pompy. Widzę, że i Buck jest tutaj, więc zapewne powiedział Ci już, Najjaśniejszy Panie, co potrzeba. Ja...

Król niespokojnym wzrokiem powiódł po sali, mieniającej się teraz herbowymi kolorami trzech dzielnic.

— Potrzeba tylko jednej rzeczy — rzekł.

— Tak, Najjaśniejszy Panie — podchwycił skwapliwie pan Wilson z Bayswateru. — A co Wasza Królewska Mość uważa za potrzebne?

— Potrzeba trochę żółtego koloru — rzekł król stanowczo. — Poślijcie po burmistrza Zachodniego Kensingtonu.

Pomimo pewnych protestów, posłano po niego i nadszedł wkrótce ze swymi żółtymi halabardnikami w szafranowych sukniach, ocierając spocone czoło chustką. Ostatecznie z racji stanowiska miał dużo do powiedzenia w danej sprawie.

— Witaj Zachodni Kensingtonie! — rzekł król. — Oto już dawno chcę rozmówić się z tobą w sprawie tego gruntu w Hammersmith na południe od Rowton House. Czy chcesz go otrzymać jako ziemię lenną od burmistrza Hammersmithu? W tym celu wystarczy tylko złożyć mu hołd, to znaczy wsunąć jego lewe ramię w rękaw jego pałta i uroczystie odprowadzić go do domu.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, wolę tego nie robić — odrzekł burmistrz Zachodniego Kensingtonu, błydy młodzieniec z jasnymi wąsikami i baczkami, który był właścicielem dobrze prosperującej mleczarni.

Król serdecznie poklepał go po ramieniu.

— Poznaję — rzekł — starą, gorącą krew Zachodniego Kensingtonu. Nikomu nie radziłbym nakłaniać tego miasta do złożenia hołdu komukolwiek.

I znowu powiódł wzrokiem po sali. Mieniła się ona bujną tęczą kolorów i król w tej chwili cieszył się widokiem, jakim cieszy się niewielu artystów — widokiem swoich własnych marzeń, ucieleśnionych w obrazie żywym i barwnym. Na pierwszym planie żółte uniiformy Zachodniego Kensingtonu odcinały się na tle ciemnoniebieskich mundurów Południo-

wego Kensingtonu, które z kolei przechodziły nagle w zieleń, ponieważ za nimi piętrzyły się prawie leśne kolory Bayswateru. A z tyłu nad wszystkim ogromne fioletowe pióropusze Północnego Kensingtonu tworzyły plamę niemal ciemną i żalobną.

— Brakuje jeszcze czegoś — mówił król — jeszcze czegoś brakuje. Co to może być? Ale oto jest! Oto jest!

Na progu ukazała się nowa postać — herold w płomiennoszkarłatnym stroju, który głosem doniosłym, lecz nie zdradzającym wzruszenia, zawołał:

— Lord, Wysoki Burmistrz Notting Hillu prosi o posłuchanie!

### Rozdział III

#### WARIAT UKAZUJE SIĘ NA SCENIE

Król Ćwiczek z kraju bajek i wrózek, który przypuszczalnie był chrzestnym ojcem Oberona, okazał się tego właśnie dnia niezwykle przychylny dla swego chrzestnego syna, gdyż przy wejściu gwardii z Notting Hill zachwyty króla przeszedł w jakąś nie dającą się określić ekstazę. Dawniej, by zadowolić fantazję króla, wynajmowano na dniówki wynędzniałych robotników czy nosicieli plakatów i przebierano w mundury bądź Bayswateru, bądź Południowego Kensingtonu. Gdy zmieszani biedacy wchodzili niezgrabnie do sali tronowej, wtedy król najwięcej się cieszył kontrastem ich aroganckich mieczów i pióropuszy z potulnym wyrazem twarzy. Ale ci halabardnicy z Notting Hill, obciśnięci złotymi pasami na czerwonych tunikach, wyglądali raczej absurdalnie poważnie. Zdawało się, że biorą udział w tym żarcie królewskim. Przedefilowali uroczyście i zajęli miejsca z zadziwiającą powagą i sprawnością. Nieśli chorągiew żółtą z ogromnym czerwonym lwem, którego król uznał za emblemat Notting Hillu, gdyż takie godło miał pewien mały szynk w tej dzielnicy, do którego król kiedyś uczęszczał.

A wtedy pomiędzy dwoma szeregami swoich towarzyszy, zbliżył się do tronu wysoki człowiek o płomienistych włosach, dumnych rysach i zuchwałych niebieskich oczach. Można by go nazwać pięknym, gdyby nie nos za duży w stosunku do twarzy, i stopy za duże w stosunku do nóg, co wszystko razem nadawało mu wygląd niezręczny i zarazem niedojrzały. Suknie miał czerwone, według heraldyki króla i jedyny ze wszystkich burmistrzów miał przypasany do boku wielki miecz. Takim był Adam Wayne, uparty burmistrz z Notting Hill.

Król usadowił się wygodnie na tronie i zatarł ręce.

— Co to za dzień! — rzekł sobie. — Co za dzień! Ale będzie kłótnia. Nigdy nie przypuszczałem, że to będzie aż tak zabawne. Ci burmistrzowie są tacy oburzeni, tacy rozsądni, tacy pewni siebie! A ten, sądząc z wyrazu jego oczu, jest jeszcze bardziej oburzony niż tamci. W każdym razie te wielkie niebieskie oczy zdradzają, że młodzieniec nie umie żartować. Będzie im czynił wymówki, a oni jemu, a potem wszyscy z najwyższym zadowoleniem zaczną czynić wymówki mnie.

— Witaj, milordzie — rzekł głośno. — Jakież wieści przynosisz nam ze Wzgórza Stu Legend? Cóż masz donieść uszom twego króla? Wiem, że powstały nieporozumienia pomiędzy tobą a naszymi przyjaciółmi tutaj obecnymi, ale będziemy szukać zasługi w złagodzeniu tego sporu. I nie wątpię, nie mogę wątpić, że twoja miłość dla mnie jest nie mniej tkliwa, nie mniej gorąca niż ich miłość.

Pan Buck skrzywił się gorzko, a nozdrza Jamesa Barkera zdrzały z oburzenia; Wilson zaczął chichotać z cicha, a burmistrz Zachodniego Kensingtonu jeszcze ciszej poszedł za jego przykładem. Lecz wielkie błękitne oczy Adama Wayne nie zmieniły wyrazu i głosem dziwnie

młodzieńczym zawołał tak, że słyhać go było we wszystkich kątach sali.

— Przynoszę hołd mojemu królowi. Składam u stóp najdroższą rzecz, jaką posiadam — mój miecz.

Szerokim ruchem rzucił miecz do stóp królewskich i przyklęknął. Nastąpiła martwa cisza.

— Co takiego? — zapytał król w zdumieniu.

— Słusznie powiedziałeś, Najjaśniejszy Panie — mówił Adam Wayne — tak jak zawsze, gdy mówisz, że miłość moja dla ciebie nie jest mniejsza od miłości tych panów. Lecz byłaby bardzo mała, gdyby była tylko taka. Ja bowiem jestem dziedzicem twego zamysłu, ja jestem niejako dziecięciem twego wielkiego Edyktu. Staję tutaj w obronie praw tego przywileju, jakie mi nadał i przysięgam na twoją świętą koronę, że niezłomnie trwać będę na swym stanowisku.

Wszystkim pięciu słuchaczom oczy wyłaziły z głowy.

I nagle usłyszano mocno ochryply głos Bucka:

— Czyż już cały świat zwariował?

Król skoczył na równe nogi, a oczy mu zabłyśły.

— Tak! — zawołał w zachwycie — tak, cały świat zwariował, oprócz Adama Wayne i mnie. To święta prawda, co ci już dawno mówiłem, Jamesie Barker, że powaga doprowadza ludzi do szaleństwa. Jesteś wariatem, bo zanadto zajmujesz się polityką, takim samym wariatem jak człowiek, który zbiera bilety tramwajowe. Buck jest wariatem, bo zanadto troszczy się o pieniądze; Wilson, który uważa, że ma rację, jest tak samo wariatem jak człowiek, który się uważa za Boga Wszchemogącego. Burmistrz Zachodniego Kensingtonu jest wariatem, gdyż myśli, że zasługuje na wielki szacunek, i jest takim samym wariatem jak człowiek, któremu się zdaje, że jest kurczęciem. Wszyscy ludzie są wariatami oprócz kpiarza, który nie dba o nic, a posiada wszystko. Sądziłem, że jeden jest tylko prawdziwy kpiarz w Anglii. Szaleńcy! Głupcy! otwórzcie swoje bezmyślne oczy! Jest dwóch prawdziwych kpiarzy! W Notting Hill — tej dzielnicy niezbyt obiecującej — urodził się artysta! Myśleliście, że zepsuje mój żart, że zmusicie mnie do wyrzeczenia się go, stając się coraz bardziej i bardziej współcześni, coraz bardziej rozsądni, praktyczni, coraz bardziej racjonalni i zajęci interesami. Och, jakaż to dla mnie była uciecha w odpowiedzi na to stawać się coraz bardziej wyniosłym i miłościwym, starożytnym i dojrzałym. Ale ten chłopiec zrozumiał, jak mnie zwyciężyć. Odpowiedział mi retoryką na retorykę, przechwałką na przechwałkę. Nadstawił w swej obronie jedyną tarczę, której złamać nie mogę. Tarczą tą jest jego nieprzenikniona pompatyczność. Słuchajcie go! A więc przybyłeś, milordzie, w sprawie ulicy Pompy?

— W sprawie dzielnicy Notting Hill — poprawił dumnie Wayne. — Ulica Pompy jest tylko jej częścią, żyjącą i szczęśliwą.

— Niezbyt wielką, co prawda, częścią — rzucił James Barker z pogardą.

— To co jest, jest dostatecznie duże, by wzbudzać pożądanie bogatych, jest też dostatecznie duże, aby tego bronili ubodzy — odrzekł Wayne, podnosząc dumnie głowę.

Król uderzył się po udach i przez chwilę wierzył nogami w powietrzu.

— Wszyscy poważni ludzie z Notting Hill — przerwał Buck swym zimnym i szorstkim głosem — są za nami i przeciwko tobie. Mam wielu przyjaciół w Notting Hill.

— Przyjaciółmi pańskimi, milordzie, są ci, którzy wzięli od pana złoto i za tę cenę gotowi są zburzyć ogniska rodzinne innych ludzi — odpowiedział Wayne.

— Wierzę bardzo, że ci są pańskimi przyjaciółmi.

— W każdym razie ludzie ci nie sprzedawali jakichś brudnych zabawek! — zawołał Buck, śmiejąc się szyderczo.

— Sprzedawali rzeczy daleko brudniejsze, bo samych siebie — odpowiedział Wayne spokojnie

— Nic nie pomoże, mój Buckuniu — wtrącił król wijąc się ze śmiechu na tronie. — Nie możesz rywalizować z tą rycerską elokwencją. Nie możesz iść w zawody z artystą. Nie

możesz iść w zawody z kpiarzem z Notting Hill. Och! *Nunc dimittis*, że dożyłem tego dnia. Burmistrz Wayne, obstajesz mocno przy swoim, nieprawdaż?

— Niech poczekają, to zobaczą — odpowiedział Wayne. — Jeżeli trzymałem się mocno poprzednio, to miałbym zesłać teraz, kiedym zobaczył oblicze mojego króla? Wszak walczę o sprawę bardziej wzniosłą jeszcze niż ogniska rodzinne moich obywateli i władza Lwa. Ja walczę za twoją wizję królewską, Najjaśniejszy Panie, za twój sen o Lidze Wolnych Miast. Dałeś mi prawo walczyć o to, panie. Gdybym był żebrakiem, którego obdarowałaś jałmużną, gdybym był wiejskim tancerzem, któremu ofiarowałaś nagrodę, czy sądzisz, że dałbym sobie odebrać ten dar rabusiom na gościńcu. Przywództwo i wolność Notting Hillu to dar od Waszej Królewskiej Mości, i jeśli mi go chcą zabrać, to, na Boga! nie zabiorą bez walki, a odgłosy tej walki będzie słychać w mieszkaniach Chelsea i w pracowniach artystycznych w St. John's Wood!

— To za wiele, to za wiele — rzekł król. — Natura nasza jest zbyt słaba na takie wzruszenia. Artysto, bracie mój, muszę pomówić z tobą otwarcie. Pozwól mi zadać sobie pytanie uroczyste. Adamie Wayne, Lordzie Burmistrz Notting Hillu, czy nie uważasz, że to jest wspaniałe?

— Wspaniałe! — zawołał Adam Wayne. — Ależ to jest wspaniałość wprost boska!

— I znowu jestem zwyciężony! — rzekł król. — Więc zależy ci na utrzymaniu tej pozy. Śmieszne, ale jest to sprawa poważna, i mówiąc poważnie, czyż to nie jest śmieszne?

— Co jest śmieszne? — zapytał Wayne, którego oczy były w tej chwili zupełnie oczami dziecka.

— Daj już spokój temu, nie żartuj dłużej. No, mówię o całej sprawie, o Przywileju Miast i o wszystkim. Czyż to nie jest świetne?

— Świetne jest słowem godnym tego wspaniałego planu.

— Ach, żeby cię... No... tak, naturalnie, rozumiem. Chcesz, ażebym oczyścił salę z tych rozsądnych wieprzy. Chcesz, żeby dwóch kpiarzy pozostało sam na sam. Panowie, zostawcie nas samych.

Buck rzucił kwaśne spojrzenie Barkerowi, po czym na jego posępny znak z sali poczęły znikać przepyszne barwy niebieskie, zielone, czerwone, złote i fioletowe, aż wreszcie pozostał tylko król, siedzący na swym tronie na podwyższeniu i ubrany na czerwono młodzieniec, wciąż klęczący na jednym kolanie nad swym rzuconym na ziemię mieczem.

Król zbiegł ze stopni i poufale uderzył Wayne'a po ramieniu.

— Zanim Bóg stworzył gwiazdy — zawołał — my dwaj byliśmy już dla siebie przeznaczeni. To doprawdy zbyt piękne! Pomyśl no tylko o tej mężnej niezawisłości ulicy Pompy! To rzecz realna. To deifikacja śmieszności.

— Śmieszności! — krzyknął Wayne z pałającą twarzą.

— No, dobrze już, dobrze — mówił król niecierpliwie. — Nie potrzebujesz już udawać dłużej przede mną. Muszą i augurowie niekiedy mrugnąć oczyma, choćby dlatego, żeby dać wypoczynek zmęczonemu powiekom. Przyjrzyjmy się tej wybornej sytuacji i nacieszmy się nią, choć przez pół godziny, już nie jako aktorzy, ale jako krytycy dramatyczni. Czyż to nie wyborny żart?

Ale Adam Wayne wzrok miał wbity w podłogę jak mały chłopiec i odpowiedział zdławionym głosem:

— Nie rozumiem Waszej Królewskiej Mości. Nie mogę uwierzyć, aby teraz, gdy walczę za królewski Przywilej Wolności Miast, Wasza Królewska Mość opuścił mnie dla tych psów, które uganiają się tylko za złotem.

— Och! niech cię diabli wezmą! Ale cóż to ma znaczyć w końcu. Co to ma znaczyć, u licha?

Król spojrział w twarz młodemu burmistrzowi i pomimo zapadającego w pokój zmierzchu mógł dojrzeć, że blady jest jak płótno, a usta mu drżą.



— Co się stało, na miłość boską! — zawołał Oberon, chwytając go za rękę.

Wayne podniósł twarz, na której błyszczały łzy.

— Jestem tylko chłopcem — rzekł — ale to co powiem, jest prawdą. Namalowałbym Czerwonego Lwa na mojej tarczy, choćbym miał do tego tylko własną krew.

Król Oberon puścił jego rękę i stał nieruchomo, jak rażony piorunem.

— Wielki Boże na niebie! — zawołał. — Czyż podobna, by się znalazł wśród czterech mórz Brytanii chociaż jeden człowiek, który bierze Notting Hill na serio?

— A ja zawołam: wielki Boże na niebie! — krzyknął Wayne namiętnie — czyż podobna, by się znalazł wśród czterech mórz Brytanii chociaż jeden człowiek, który Notting Hillu nie bierze na serio?

Król nic nie odpowiedział, jak w transie wszedł po schodkach na podwyższenie, padł na tron i uderzył piętą o piętę.

— Jeżeli ten stan rzeczy ma trwać dalej — powiedział słabym głosem — to przestanę wierzyć w wyższość sztuki nad życiem. Ale, na miłość Boską, nie żartuj ze mnie. Czyż ty naprawdę uważasz się — niech nas Bóg ma w swojej opiece — za patriotę Notting Hillu i za...

Wayne zrobił gwałtowny gest, a król uspokoił go czym prędzej.

— Dobrze, dobrze, już widzę, że jesteś nim naprawdę. Ale pozwól mi zrozumieć to. Czyż doprawdy masz zamiar walczyć przeciwko postępowym udoskonalczom, z ich zarządami, inspektorami, inżynierami i tym podobnym?

— Czyż oni naprawdę są tak straszni? — zawołał Wayne z pogardą w głosie.

Król wciąż patrzył na niego, jak na jakiś niezwykle ciekawy okaz ludzki.

— Wyobrażasz sobie zapewne — powiedział wreszcie — że ci wszyscy dentyści i sklepikarze, wszystkie stare panny z Notting Hillu zgromadzą się pod twoim sztandarem, śpiewając hymny wojenne.

— Jeżeli mają krew w żyłach, to tak uczynią — odpowiedział burmistrz.

— Przypuszczam — mówił powoli król, opierając głowę o poduszki — że nigdy ci nie przeszła przez głowę myśl — tu głos jego zabrzmiał niepewnie — nigdy ci nie przeszła myśl, że ktoś może uważać ten cały idealizm nottinghillski za... hm... za cokolwiek śmieszny?

— Naturalnie, że wielu myśli tak — odparł Wayne. — Czyż po wszystkie czasy nie wyśmiewano się z proroków?

— Skądże ty, na miłość Boską — rzekł król pochylając się naprzód — skądże wzięłeś tę dziwnie niedorzeczną ideę?

— Tyś był moim nauczycielem, Najjaśniejszy Panie, we wszystkim co jest wzniosłe i zaszczytne.

— Hm? — mruknął król.

— Toś ty, Najjaśniejszy Panie, pierwszy rozdmuchał w płomień drzemiące we mnie uczucia patriotyczne. Dziesięć lat temu, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem (bo ja mam dopiero dziewiętnaście lat), bawiłem się na ulicy Pompy drewnianym pałaszem i papierowym hełmem, marząc o wielkich wojnach. W jakimś gniewnym zapamiętaniu uderzyłem kogoś moim mieczem, a wtem stanąłem jak wryty, bom spostrzegł, że to ciebie trafiłem, Najjaśniejszy Panie, gdyś się przechadzał we wspaniałej samotności, rozmyślając nad dobrem i pomyślnością twego ludu. Ale nie miałem powodu obawiać się. I wtedy nauczyłem się pojmować królewskość. Nie zmarszczyłeś czoła, nawet nie drgnąłeś. Nie zawołałeś straży. Nie zagroziłeś mi żadną karą. Tylko w słowach wzniosłych i płomiennych, które na zawsze zapisały się w mej duszy i nigdy się nie zetrą, nakazałeś mi, bym zawsze zwracał miecz przeciwko nieprzyjaciołom mego niezwykłego miasta. I jak kapłan wskazuje na ołtarz, tak ty wskazałeś na Notting Hill: „Bądź gotów umrzeć za to święte wzgórze, choćby zostało otoczone przez wszystkie armie Bayswateru!” Nie zapomniałem tych słów, a teraz mam prawo przypomnieć je sobie, bo oto nadeszła godzina, która ukoronuje twoje proroctwo. Święte wzgórze zostało otoczone armiami Bayswateru, a ja jestem gotów umrzeć!

Król, zdruzgotany oparł się na swoim tronie.

— Och, Boże, Boże — wyszeptał. — Co za życie, co za życie! I to wszystko moje dzieło! To chyba ja narobiłem tego wszystkiego. Więc to ty jesteś tym rudowłosym chłopakiem, który uderzył mnie w kamizelkę? Co ja zrobiłem, Boże, co ja zrobiłem! Chciałem urządzić sobie zabawę, a wzbudziłem zapał. Pragnąłem stworzyć burleskę, która już w połowie drogi przemienia się w epopeję. I cóż tu można zrobić z takim światem? Na miłość Boską, czy to nie był dosyć wyraźny, oczywisty żart? Wyrzekłem się na chwilę swego subtelного humoru, aby ciebie zabawić, a oto wycisnąłem łzy z twoich oczu. Co począć z takimi ludźmi, którzy, jeżeli się dla nich napisze farsę, upierają się, aby nazywać sznury serdelków klasycznymi festonami, a rozciętego na dwoje policjanta tragedią obowiązku społecznego? Ale po cóż ja to mówię? Dlaczego stawiam te pytania miłemu, młodemu dżentelmenowi, który jest skończonym wariatem? Na co się to przyda? Gdzie tu sens? O, Boże, o Boże!

Nagle wyprostował się.

— Czy ty naprawdę nie myślisz, że ten cały Notting Hill jest absurdem?

— Absurdem? — spytał Wayne w zdumieniu. — Dlaczegoż miałbym tak myśleć?

Król spojrział na niego również zdumiony.

— Nie rozumiem cię — rzekł cicho.

— Notting Hill — mówił burmistrz z prostotą — jest wzniesieniem ziemi, pagórkiem, na którym ludzie pobudowali sobie domy i żyją w nich, rodzą się, kochają, modlą, żenią i umierają. Dlaczego miałbym myśleć, że to wszystko jest absurdem?

Król uśmiechnął się.

— Dlatego, mój Leonidasie — zaczął, gdy nagle nie wiedząc dlaczego doznał wrażenia, że umysł jego jest zupełnie próżny. — Bo ostatecznie dlaczegooby to miało być absurdem? Dlaczegooby to miało być absurdem? Wydało mu się, że umysł jego stracił oparcie. Poczł to, co czują wszyscy ludzie, gdy ktoś jednym celnym pytaniem uderzy mocno w ich najważniejsze zasady. Barker musiał odczuwać coś podobnego, ilekroć król mówił: „Po co zawracać sobie głowę polityką?”

Myśli króla były w panicznym odwróceniu. Nie mógł ich pozbierać.

— Ogólnie myślą, że to jest cokolwiek śmieszne — odpowiedział niepewnie.

— Sądzę — zawołał Wayne, przerywając mu gwałtownie — sądzą, Najjaśniejszy Panie, że uważasz ukrzyżowanie za rzecz poważną.

— No, cóż — bąknął Oberon — na ogół uważałem, przyznaję, że to sprawa poważna.

— Otóż mylisz się — zawołał Wayne z niesłychaną gwałtownością. — Ukrzyżowanie jest komiczne, nadzwyczaj zabawne. Był to rodzaj absurdalnego, nieprzyzwoitego wbijania na pal, tortura przeznaczona dla ludzi, z których można się było śmiać: dla niewolników i dla prostaków, dla dentystów i drobnych sklepikarzy, jakby się Wasza Królewska Mość wyraził. Otóż ta śmieszna sylwetka pala z poprzeczką, która ulicznicy rzymscy swych czasów rysowali na wszystkich murach, strojąc sobie z niej wulgarne żarty, jest tym samym znakiem, który widzę teraz jaśniejący na wierzchołkach wszystkich świątyń kuli ziemskiej. I ja mam cofnąć się?

Król nic nie odpowiedział.

Adam Wayne ciągnął dalej dźwięcznym głosem, który odbijał się aż o sklepienie.

— Ten śmiech, którym ludzie tyranizują jedni drugich, nie jest tak wielką potęgą, za jaką ją uważasz, Najjaśniejszy Panie. Piotr został ukrzyżowany i to ukrzyżowany głową na dół, cóż może być śmieszniejszego, jak widok starego i szanowanego apostoła wiszącego głową na dół? Cóż może być bardziej w stylu twego współczesnego humoru? I co z tego? Piotr głową na dół czy do góry, pozostanie dla ludzkości zawsze świętym Piotrem. Głową na dół dziś jeszcze wisi nad Europą, a miliony ludzi żyje i oddycha życiem jego Kościoła.

Król Oberon wstał z roztargnioną miną.

— Jest coś w tym, co mówisz — rzekł. — Widocznie dużo myślałeś nad tym, mło-

dzieńce.

— Powoduję się tylko uczuciem, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Wayne. — Urodziłem się, jak każdy człowiek, w pewnym punkcie ziemi i pokochałem to miejsce, bo dzieckiem będąc, tutaj się bawiłem, tutaj byłem zakochany po raz pierwszy, tutaj spędzałem na rozmowach z przyjaciółmi całe noce, boskie noce. I wyczuwałem zagadkę. Dlaczego miałyby być niedorzeczne i pospolite małe ogródki, w których młodzi wyznają sobie miłość, te ulice, po których odprowadzamy naszych zmarłych? Dlaczego powiedzenie, że skrzynka do listów, umieszczona na słupku, jest poetyczna, ma być dziwaczne, skoro przez cały rok widok takiej ulicznej czerwonej skrzynki na tle złotawego nieba wieczornego, budził we mnie uczucie, którego sekret Bóg tylko posiada, ale które było silniejsze niż smutek, i niż radość? Dlaczego wystarcza powiedzieć: „sprawa Notting Hillu”, aby wywołać śmiech, skoro w Notting Hill żyje tysiące nieśmiertelnych dusz, które płoną kolejno to nadzieją, to obawą.

Oberon otrzępywał starannie z kurzu rękaw swego ubrania, z niezmierną powagą, niepodobną wcale do sowej miny, jaką przybierał w chwilach wesołości.

— Trudno to wyjaśnić — rzekł wreszcie — bardzo trudno. Wiem, co chcesz powiedzieć, zgadzam się z tobą nawet do pewnego stopnia, a raczej chętnie bym się zgodził z tobą, gdybym tylko był dostatecznie młody, aby stać się prorokiem i poetą. Czuję, że to wszystko co mówisz to prawda, ale to trwa do chwili, dopóki nie wypowiesz słowa „Notting Hill”. A wtedy — muszę z przykrością powiedzieć — budzi się we mnie stary Adam, wybucha śmiechem i bez ceregieli załatwia się z dziełem nowego Adama, nazwiskiem Wayne.

Po raz pierwszy burmistrz odpowiedział milczeniem i zamyślony patrzył w podłogę. Zapadał zmierzch i w pokoju robiło się ciemno. Wreszcie zaczął mówić głosem dziwnym, prawie sennym:

— Ja wiem, że jest prawdą również i to, co ty mówisz, Najjaśniejszy Panie. Człowiek ma ochotę śmiać się z takich pospolitych nazw. Mówię tylko, że nie powinniśmy. Wymyśliłem środek zaradczy, ale takie myśli są straszne.

— Jakie myśli? — spytał Oberon.

Burmistrz z Notting Hill zdawał się być w ekstazie, oczy jego jaśniały tajemniczym blaskiem.

— Znam pewną różdżkę czarodziejską — mówił — której używać właściwie potrafi tylko jeden albo dwóch ludzi i to rzadko. Jest to czarodziejska różdżka wielkiego strachu, mocniejszego od tych ludzi, którzy się nią posługują; czasami straszna, czasami zła. Ale czegokolwiek ona się dotknie, to przestaje już na zawsze być pospolite, bo temu, czego się dotknie, użycza czaru nie z tego świata. Jeżeli dotknę tą magiczną różdżką ulic i zaułków Notting Hillu, ludzie będą kochać je i bać się ich na zawsze.

— O czym ty mówisz, u diabła? — spytał król.

— Ta różdżka — mówi! dalej szaleniec — sprawiła, że ohydne krajobrazy stały się wspaniałe, a nędzne chałupy przetrwały katedry. Dłaczegóż więc nie miałyby nadać latarniom ulicznym uroku lamp greckich, a omnibusowi wspaniałości barwnej fregaty? Dotknięcie jej nadaje wszystkiemu osobliwą doskonałość.

— Cóż to za różdżka czarodziejska? — zapytał król niecierpliwie.

— Oto ona — rzekł Wayne, wskazując na podłogę, na której lśnił jego miecz.

— Miecz! — zawołał król i zerwawszy się, stanął wyprostowany na stopniach tronu.

— Tak! tak! — krzyknął ochryple Wayne. — To, czego on dotknie przestaje być pospolite. To, czego on dotknie...

Król Oberon otrząsnął się ze zgrozą.

— I dlatego rozlewałbyś krew — zawołał. — Dla tak przekłętą poglądu...

— Och, ci królowie, ci królowie! — zawołał Wayne z pogardą. — Jacyż wy jesteście ludzcy, słabi i pełni względów! Prowadzicie wojny dla zaokrąglenia granicy albo dla zdobycia bogactw jakiegoś odległego wybrzeża, rozlewacie krew z powodu cła na koronki, albo

dlatego, że jakiemuś admirałowi nie oddano salutu. Ale gdy chodzi o rzeczy, które decydują, czy życie jest godne czy nędzne, jacyż wy jesteście wówczas humanitarni! A ja powiadam i wiem dobrze, co mówię, że niezbędnymi wojnami były tylko wojny religijne. Nie było humanitarnych wojen oprócz wojen religijnych. Ci ludzie przynajmniej bili się za coś, co choć mieniło się być ludzkim szczęściem i cnotą. Rycerz z czasów Wypraw Krzyżowych był przekonany, że Islam gubi każdą duszę ludzką, którą zawładnie, czy to będzie dusza króla czy żebraka. A ja z całego serca wierzę, że Buck i Barker, i wszystkie te wzbogacone sępy gubią duszę każdego człowieka, gubią każdą piędź ziemi, każdą cegłę domu, którą mogą naprawdę zawładnąć. Uważasz, że ja nie mam prawa bić się za Notting Hill, Najjaśniejszy Panie, ty, przedstawiciel rządu angielskiego, który tak często prowadził wojny o bzdury? Jeśli naprawdę nie ma Boga, tak jak to utrzymują twoi bogaci przyjaciele, a niebo nad nami jest ciemne, to o co ma się bić człowiek, jeśli nie o ten zakątek, który był rajem jego dzieciństwa i niebem zbyt krótkich rozkoszy pierwszej miłości. Jeżeli żadne świątynie i żadne pisma nie są święte, to cóż jest święte, jak nie młodość człowieka?

Król z zaniepokojeniem przechadzał się tam i na powrót po podwyższeniu, na którym stał tron.

— Ciężka to rzecz — mówił przygryzając wargi — I zgodzić się na tak desperackie poglądy i taką odpowiedzialność...

Nie skończył, gdy drzwi od sali posłuchań uchyliły się i usłyszano, niby niespodziewane świergotanie ptaszka, wysoki, nosowy, ale przesadny głos Barkera.

— Wyłożyłem im to zupełnie jasno, że dobro publiczne...

Oberon gwałtownie zwrócił się do Wayne'a.

— Co to wszystko znaczy, u diabła? Co ja mówiłem? Co ty mówisz? Czy ty mnie zahipnotyzowałeś? Niech będą przeklęte te twoje niewinne, błękitne oczy. Puść mnie. I oddaj mi moje poczucie humoru. Oddaj mi je z powrotem, oddaj mi je, powiadam!

— Zapewniam cię uroczyście, Najjaśniejszy Panie — odrzekł zaniepokojony Wayne z gestem, jak gdyby szukał czegoś na sobie — że go nie mam.

Król upadł na krzesło, zanosząc się rabelaisowskim śmiechem.

— Rzeczywiście, wydaje mi się, że go nie masz — zawołał.

# CZEŚĆ TRZECIA

## Rozdział I

### STAN DUSZY ADAMA WAYNE

Niedługo po wstąpieniu na tron króla Oberona ukazał się w druku mały tomik poezji pod tytułem: „Hymny na wzgórzu”. Wiersze nie były zbyt dobre i książka nie miała powodzenia, zwróciła jednak na siebie uwagę pewnej specjalnej szkoły krytyków. Król, który sam należał do owej szkoły, zrecenzował tę książkę, jako krytyk literacki, w piśmie sportowym pod tytułem „Prosto ze stajni”. Szkoła ta miała przezwisko „szkoły hamakowej”, gdyż jak to złośliwie zauważył jakiś przeciwnik, co najmniej trzynaście subtelnych artykułów krytycznych zaczynało się od słów:

„Czytam tę książkę w hamaku i na wpół śpiący w leniwym słońcu...” od tego miejsca zaczynały się już różnice poważne. W tych warunkach krytycy ci lubili wszystko, a zwłaszcza wszystko, co było głupie.

— Jeżeli książka nie jest naprawdę dobra — mawiali — a to niestety jest rzeczą niespotykaną, wolimy już, żeby była wspaniale marna.

Toteż ich pochwały, podkreślające ową wspaniałą marność, nie cieszyły się uznaniem i autorowie doznawali lekkiego niepokoju, widząc zwróconą na siebie specjalną uwagę szkoły hamakowej. Osobliwością „Hymnów na wzgórzu” było wystawianie poetyczności Londynu w przeciwieństwie do poetyczności wsi. To uczucie czy afektacja nie była zbyt rzadka w dwudziestym stuleciu i, pomijając przesadę oraz sztuczny jej charakter, miała ona jednak racjonalną podstawę, bo pod jednym przynajmniej względem miasto jest stanowczo poetyczniejsze niż wieś — jest bliższe umysłowi ludzkiemu. Londyn, jeżeli nie jest jednym z arcydzieł człowieka, to jest przynajmniej arcydziełem jego grzechów. Ulica jest rzeczywiście poetyczniejsza niż łąka, ponieważ kryje w sobie tajemnicę. Ulica gdzieś prowadzi, a łąka nie prowadzi nigdzie. Ale w książce pt. „Hymny na wzgórzu” była jeszcze inna osobliwość, którą król podkreślił w swojej recenzji z wielką przenikliwością. Był on zrozumiałe zainteresowany w tej sprawie, ponieważ i sam wydał tomik liryków o Londynie pod pseudonimem „Daisy Marzycielka”.

Różnica, jak wykazywał król, polegała na tym, że podczas gdy marni rzemieślnicy tacy jak np. Daisy Marzycielka (dla której wypracowanego stylu król okazał się nieco zbyt surowy w swej recenzji, wydanej pod pseudonimem „Piorun”) wychwalali Londyn przez porównanie go ze wsią i używając natury niejako za tło, z którego czerpali wszystkie poetyckie obrazy, to jędrniejszy autor „Hymnów na wzgórzu” wychwalał, przeciwnie, wieś, porównując ją do miasta, i miasta samego używał jako tła.

»Proszę wziąć, na przykład — mówił krytyk — te typowo kobiece wiersze, skierowane do „Wynalazcy dorożki”:

*Poeto, którego geniusz  
Wyrzeźbił tę konchę miłości,  
Kolebkę marzeń dla dwojga.*

Na pewno — pisał król — nikt inny tylko kobieta mogła skreślić te wiersze, kobieta ma zawsze słabość do natury, dla niej sztuka jest piękna tylko jako echo albo cień natury. Wysła-

wia dorożkę treścią i formą, ale dusza jej pozostaje duszą dziecka, zbierającego muszelki na brzegu morskim. Kobieta nigdy całkowicie nie należy do miasta, jak to dość często bywa z mężczyznami. Czy nie mówimy ze świętą słusnością: „miejski lekkoduch”. Czy kto kiedy wyrazi się o kobiecie miejskiej jako o lekkoduchu. Choćby fizycznie kobieta ta jak najbardziej była „w mieście”, to przecież usiłuje ona zawsze naśladować naturę; stara się zawsze nosić naturę za sobą, rozkazując, ażeby kwiaty rosły na jej głowie, a zwierzątka futerkowe gryzły ją w szyję. W samym centrum ponurego miasta widzimy kobiety, nadające swym kapeluszom wygląd barwnego wiejskiego ogrodu, podczas gdy my w naszym szlachetnym umiłowaniu miasta nadajemy naszym kapeluszom wygląd kominów — symbolów cywilizacji. Kobieta woli dokonać rzezi niż zrezygnować z ptaszków, i będzie nosić swoje kapelusze w kształcie drzewa, na którym śpiewają martwe ptaszki.«

Król pisał w ten sposób przez kilka stronic, lecz wreszcie przypomniał sobie przedmiot swojego artykułu i powrócił do niego:

*Poeto, którego geniusz  
Wyrzeźbił tę konchę miłości,  
Kolebkę marzeń dla dwojga.*

»Osobliwością tych ładnych, aczkolwiek kobiecych wierszy — ciągnął Piorun — jest to, że pochwała dorożki oparta jest na porównaniu jej z konchą, produktem natury. Posłuchajmy teraz autora „Hymnów na wzgórzu”, i zobaczymy, jak on traktuje ten sam przedmiot. W pięknym swym nokturnie „Ostatni omnibus” bogata i chwytająca za serce melancholia tematu ożywia się na końcu nagłym przyspieszeniem tempa:

*Na rogu starej ulicy wiatr wieje,  
Tak nagły i zwiczny jak chyża dorożka.*

Tu różnica po prostu rzuca się w oczy. Daisy Marzycielka pragnęła powiedzieć komplement dorożce, porównując ją do konchy morskiej, produktu natury. Zaś autor „Hymnów na wzgórzu” sądzi, że prawi komplement nieśmiertelnej sile wiatru, porównując go do dorożki miejskiej. Z pewnością jest on prawdziwym wielbicielem Londynu. Brakuje nam miejsca, aby mówić o wszystkich subtelnych przejawach tej idei, na przykład o tym poemacie, w którym oczy damy są porównywane nie do gwiazd, lecz do dwóch doskonałych latarni, których światło prowadzi przechodnia. Brakuje nam miejsca, aby mówić o tym pięknym ustępie lirycznym, tak bardzo przypominającym ducha epoki elżbietańskiej, w którym poeta ożywiony czystym modernizmem, zamiast powiedzieć, że lilie i róże zdobią lica jego damy, wyraził się, że czerwony omnibus z Hammersmith rywalizuje z białym omnibusem z Fulham. Jakaż doskonałość kryje się w tej rywalizacji ze sobą dwóch omnibusów!«

Tutaj artykuł urywał się cokolwiek nagle, prawdopodobnie dlatego, że król potrzebował pieniędzy i musiał czym prędzej posłać rękopis do druku. Lecz król był bardzo dobrym krytykiem, niezależnie od tego jakim był królem, i bardzo często trafiał w sedno rzeczy. „Hymny na wzgórzu” nie przypominały zupełnie wydanych dawniej utworów, sławiących poetyczność Londynu. A powodem tej odrębności było przede wszystkim to, że zostały napisane przez człowieka, który nic nie widział oprócz Londynu, i który wskutek tego uważał Londyn za wszechświat. Książka została napisana przez niewyrobionego, rudego, siedemnastoletniego chłopca, nazwiskiem Adam Wayne, który urodził się w Notting Hill. Pewien wypadek, jaki mu się zdarzył w siódmym roku życia, przeszkodził mu wyjechać wraz z rodzicami nad morze i wskutek tego całe swe życie spędził na ojczyznej ulicy Pompy i w jej najbliższym sąsiedztwie. Konsekwencją tego faktu było, że latarnie uliczne wydawały mu się równie odwieczne jak gwiazdy; trwałość domów zdawała mu się dorównywać trwałości gór, i dlatego pisał o nich, jak pisze się o górach. Natura przybiera jakąś postać, gdy przemawia do człowieka. Dla niego natura przybrała postać Notting Hillu. Naturą dla poety zrodzonego pośród wzgórz

Cumberlandu będą przede wszystkim poszarpane skały oraz burzliwe niebo. Dla poety, zrodzonego na płaszczynach hrabstwa Essex, naturą będą przede wszystkim rozległe, spokojne wody i wspaniałe zachody słońca. I tak dla owego Adama Wayne naturą był szereg fioleto- wych dachów i żółtych lamp, gra świateł i cieni miasta. Nie zdawało mu się ani mądre, ani śmieszne opiewać cienie i barwy miasta; nie widział innych cieni i barw, toteż wychwalał te, które znał. Widział ich piękno, ponieważ był poetą, chociaż w praktyce był poetą marnym. Zbyt często zapominają ludzie o tym, że tak jak zły człowiek jest jednak człowiekiem, tak też zły poeta jest jednak poetą.

Mały tomik poezji pana Wayne nie miał żadnego powodzenia, autor poddał się wyrokowi losu z zupełnie rozsądną rezygnacją, powrócił do swej pracy jako subiekt w sklepie towarów łokciowych i nie pisywał już odtąd. Zachował jednak swoje dawne uczucia do dzielnicy Notting Hill, ponieważ po prostu nie mógł żywić innych uczuć, gdyż one to były całą podstawą i głębią jego umysłu. Ale odtąd nie próbował wyrażać głośno tych uczuć ani upierać się przy nich.

Był on urodzonym mistykiem, jednym z tych, którzy żyją na pograniczu zaczarowanego kraju, a przy tym może pierwszym człowiekiem, który zrozumiał, że granica zaczarowanego kraju często przechodzi przez sam środek ludnego miasta. O dwadzieścia stóp od niego (bo był bardzo krótkowzroczny) czerwone, białe i żółte słońca latarni gazowych mieszały się ze sobą i zamieniały w sad ognistych drzew, początek lasu królestwa elfów.

I, dziwna rzecz, dlatego właśnie, że był marnym poetą, doszedł do swego osobliwego, samotnego triumfu. Dlatego, że poniósł klęskę w literaturze stał się cudem w historii Anglii. Należał on do tych, których natura obdarzyła siłą pragnienia, nie dając im jednocześnie daru artystycznego wysłowienia się. Od kołyski więc był poetą marnym. I pozostałby takim aż do grobu i uniósłby ze sobą do grobu skarb nowej cudownej pieśni. Lecz urodził się pod szczęśliwą gwiazdą pomyślnego zbiegu okoliczności.

Zdarzyło się bowiem, że znalazł się na czele zarządu miejskiego swojej dzielnicy wtedy właśnie, gdy król wprowadził w czyn swój żart i niespodziewanie rozkazał, by we wszystkich dzielnicach wywieszono chorągwie i festony z kwiatów. I tak ze wszystkich poetów milczących, jacy się rodzili i umierali od początku świata, on właśnie znalazł się w samym sercu jakiejś wizji heraldycznej, gdzie mógł mówić, działać i żyć lirycznie. Podczas gdy wszyscy, zarówno autor żartu jak i jego ofiary, traktowali całą sprawę jako głupią publiczną maskaradę, on, biorąc wszystko na serio, znalazł się nagle na tronie artystycznej wszechmocy. Herby, zbroje, muzyka, sztandary, ognie straży, warczenie bębnow, wszystko to zostało mu dane. Biedny wierszokleta, który popalił swe rymy, poznał teraz życie szerokie, otwarte, pełne poezji czynu, o którym wszyscy poeci świata marzyli na próżno, to życie, którego Iliada nawet jest tylko nędzną namiastką.

Od roztrzępanego dzieciństwa w Adamie rozwijała się, choć w ciszy lecz potężna, pewna cnota lub zdolność, która w naszych miastach współczesnych staje się prawie całkiem sztuczna, a która właśnie u niego występowała z brutalną siłą — cnota lub zdolność patriotyzmu. Istnieje ona, jak wszystkie cnoty i wady, w pewnej nierozcieńczonej i czystej rzeczywistości. Nie daje się pomieszać z niczym innym. Dziecko, które mówi o swej wiosce lub o swoim kraju, zdolne jest popełnić wszystkie błędy Mandeville'a i wszystkie kłamstwa, którymi wślawił się Münchhausen, ale w słowach jego nie będzie fałszu psychologicznego, tak jak go nie może być w dobrej piosence. Adam Wayne, jako chłopiec, miał dla ponurych uliczek Notting Hillu uczucie najwyższe i odwieczne, jakie miewano dla Aten albo dla Jeruzalem. Znał tajemnicę namiętności, znał ową tajemnicę, która sprawia, że dawne ludowe pieśni brzmią tak dziwnie dla naszych cywilizowanych uszu. Wiedział, że prawdziwy patriotyzm skłonniejszy jest do opiewania smutków i utraconych nadziei niż zwycięstwa. Wiedział też, że połowa poezji wszystkich utworów patriotycznych zawiera się właśnie w słowach. A zwłaszcza znał ten fakt psychologiczny, dominujący nad patriotyzmem, tak samo jak delikatna

wstydlivość owiewa cały stosunek kochanków, mianowicie wiedział, że nigdy w żadnych okolicznościach patriota nie chełpi się wielkością swojej ojczyzny, lecz zawsze z konieczności chełpi się jej małością.

Wiedział to wszystko. Nie dlatego, żeby był filozofem lub człowiekiem genialnym, tylko po prostu dlatego, że był dzieckiem. Wystarczyło przejść się po paru nędznych uliczkach, takich jak ulica Pompy, aby spotkać małego Adama, utrzymującego, że jest królem jakiejś płyty chodnika. A najwięcej pysznił się wtedy, gdy płyta była tak mała, że zaledwie mieściła jego stopy.

I pewnego razu, kiedy był tak pogrążony w marzeniach o jakiejś heroicznej obronie, wyznaczając na jakichś schodkach czy chodniku granicę swoich dumnych roszczeń, spotkał go król i paroma słowami rzuconymi żartem uświęcił na zawsze dziwne marzenia jego duszy. Od tej pory urojona idea, że przyjdzie mu kiedyś bronić Notting Hillu od armii najeźdźców, stała się dla niego tak naturalna jak jedzenie, picie i palenie fajki. Do tej myśli dostosowywał czas swoich posiłków, zmieniał swoje plany; ta myśl nie dawała mu zasnąć w nocy, gdy znów ją rozważał. Dwa czy trzy sklepy były dla niego arsenałem, tylne podwórko fosą, zakątki na balkonach czy zakręty kamiennych schodów nadawały się wybornie do tego, aby kiedyś ustawić tam kolubrynę albo łuczników. Nie podobna w sposób dostępny dla przeciętnej imaginy ludzkiej wyobrazić sobie do jakiego stopnia szary, ołowiany pejzaż londyński zmienił się w jego oczach w romantyczny złoty kolor. Zaczęło się to wtedy, gdy ledwo wyszedł z pieluszek, a przeszło w istną manię. Jeszcze silniej odczuwał to w nocy, gdy Londyn jest naprawdę sobą, gdy światła jego migoczą w ciemnościach jak ślepia nieprzeliczonych kotów, a kształty ciemnych domów mają w sobie szlachetną prostotę posępnych wzgórz. Dla niego noc ujawniała piękno, a nie ukrywała i, można by się wyrazić paradoksalnie, w świetle tych ciemności odczytywał wszystkie ponure godziny ranka i popołudnia.

W każdym razie temu człowiekowi przydarzyła się rzecz niepojęta. Miasto — sztuczny twór człowieka — stało się dla niego uosobieniem natury, a latarnie gazowe i bruk wydawały mu się tak odwieczne jak niebo.

Wystarczy jeden przykład: gdy raz z przyjacielem przechadzał się po ulicy Pompy, rzucił nagle marzycielskie spojrzenie na żelazne sztachety małego ogródka i rzekł:

— Gdy patrzę na te żelazne pręty, burzy mi się krew.

Przyjaciel Wayne'a, który był jednocześnie wielbicielem jego inteligencji, patrzył na sztachety z zażenowaniem, ale bez specjalnego wzruszenia. Był tym tak zaniepokojony, że w ciągu całego szeregu wieczorów powracał do żelaznych sztachet, czekając, aby i jemu wzburyły one krew, lecz na próżno. W końcu szukając pomocy zwrócił się do Wayne'a, prosząc o wyjaśnienie. Dowiedział się wówczas, że ekstaza jego przyjaciela była wywołana pewnym szczegółem, którego on pomimo sześciokrotnego odwiedzania sztachet nie zauważył, a mianowicie, że miały one zakończenia podobne do ostrzy włóczni. Dzieckiem jeszcze Wayne porównywał je na w pół świadomie do włóczni, jakie widywał na obrazkach w rękach Lance-lota i świętego Jerzego i wzrastał razem z tą plastyczną asocjacją pojęć. Ile razy patrzył teraz na sztachety, zawsze widział zwarty sztyk, niby płot stalowy, wokół świętych domostw Notting Hillu. Nie mógł już odtąd nigdy pozbyć się tego wrażenia, nawet gdy próbował. Nie był to wytwór fantazji, broń Boże. Nieprawdą byłoby mówić, że sztachety przypominały mu włócznie, natomiast prawdą byłoby stwierdzenie, że włócznie czasami przypominały mu sztachety.

W kilka dni po spotkaniu z królem, Adam Wayne przechadzał się jak lew po klatce wzdłuż pięciu sklepów, zajmujących górną część uliczki, o którą toczył spór. Był tu handel korzenny, apteka, zakład fryzjerski, sklep handlarza starożytności i sklep z zabawkami, gdzie sprzedawano również dzienniki. Już w dzieciństwie jego nieomylny instynkt określił tych pięć sklepów jako najważniejszy punkt strategiczny Notting Hillu, jako rodzaj cytadeli tego miasta. Jeżeli dzielnica Notting Hill była sercem świata, a ulica Pompy sercem Notting Hillu,



to tutaj było serce ulicy Pompy. Sklepy, chociaż małe i słoczone jeden obok drugiego, jednak dlatego właśnie stwarzały to poczucie ogromnej pewności i spójności, które, jak wspominaliśmy, były duszą patriotyzmu Wayne'a i każdego patriotyzmu w ogóle. Kupiec kolonialny, który posiadał patent na sprzedaż win i spirytualii, był brany pod uwagę, ponieważ mógł wyżywić garnizon; handlarz starożytności, ponieważ posiadał tak dużo szpad, pistoletów, rusznic, arkebuzów i halabard, że wystarczyłoby do uzbrojenia całego nieregularnego pułku; sklep z zabawkami i gazetami, ponieważ Wayne uważał wolną prasę za niezbędną dla podniesienia ducha ulicy Pompy, potrzebował apteki do walki z epidemią, zawsze możliwą w obłożonym mieście; włączył do tego cyrulika, ponieważ jego sklep znajdował się w samym środku, a syn cyrulika był jego serdecznym przyjacielem i duszą pokrewną.

Był to wieczór październikowy pod bezchmurnym niebem, przechodzącym od purpury do najczystsze­go srebra, a na tym tle czerniały ostro, czarno i kontrastowo kominy i dachy małej, stromej uliczki. W mroku pięć wystaw sklepowych, oświetlonych gazem, jaśniało niby linia ognisk obozowych, a przed nimi, jak widziadło, to ukazujące się, to znikające na tle piekielnych płomieni, rysował się orli nos Wayne'a i jego wysoka ptasia postać.

Wymachiwał laską, od czasu do czasu rozmawiając ze sobą.

— Ostatecznie — mówił — nawet człowiek, który ma wiarę, napotyka zagadki. Bywają wątpliwości tak uparte, że pozostają nawet, gdy został ostatecznie stworzony system słusznej filozofii.

A oto jedna z tych wątpliwości: Czy normalne potrzeby i stan ludzki stoją wyżej czy niżej niż stany duszy, które przywołują sławę niebezpieczną i wątpliwą? Przebudzenie się tych niezwykłych sił wiedzy i poświęcenia jest przecież możliwe z powodu istnienia zła. Co powinniśmy kochać więcej i przede wszystkim, czy trwały rozsądek pokoju, czy na pół obłudne cnoty bojowe? Kogo czcić należy bardziej? Czy tego człowieka, który umie być wielkim w życiu codziennym, czy tego, który jest wielkim w ostateczności? Powracając do zagadki, która stoi przede mną, kto jest ważniejszy, czy kupiec korzenny, czy aptekarz? Kto jest pewniejszą podporą naszego miasta? Czy ten rycerski i szybki aptekarz, czy ten dobroduszny, wszystko nam dostarczający kupiec? W krańcowych intelektualnych wątpliwościach tego rodzaju można uczynić wybór tylko słuchając naszego najgłębszego instynktu i pogodzić się z rezultatem. W każdym razie mój wybór został już dokonany. Niech mi niebo wybaczy, jeżeli wybór jest niesłuszny, lecz wybrałem kupca korzennego.

— Dzień dobry panu — rzekł kupiec, człowiek w średnim wieku, porządnie łysy, ze sztywnymi, rudymi wąsami i rudą brodą, czołem pooranym wszelkimi troskami sklepi­karza.  
— Czym mogę panu służyć?

Wchodząc do sklepu, Wayne zdjął kapelusz gestem tak ceremonialnym, aczkolwiek dyskretnym, że kupiec zaczął mu się przyglądać z lekkim zdziwieniem.

— Przyszedłem tu — zaczął rozważnie Wayne — aby odwołać się do pańskiego uczucia patriotyzmu.

— Wie pan — rzekł na to kupiec — przypomina mi to czasy, kiedy byłem jeszcze młody, i kiedy odbywały się jeszcze wybory.

— Zostaną znów przywrócone — rzekł Wayne energicznie — i wybory, i inne rzeczy daleko ważniejsze. Słuchaj mnie pan, panie Mead. Wiem z jakimi pokusami musi walczyć kupiec korzenny, żeby nie zacząć zapatrywać się na świat z filozofią zbyt kosmopolityczną. Zdaję sobie sprawę, co to jest spędzać całe dnie pośród towarów pochodzących ze wszystkich zakątków ziemi, z obcych mórz, po których nigdy nie podróżowaliśmy, z głębi lasów dziewiczych, których nie potrafimy sobie nawet wyobrazić. Żaden monarcha wschodni nie miał takich statków, które by mu przywoziły towar wszystkich krajów wschodu i zachodu. Salomon w całej swojej sławie nie miał bogactw równie wspaniałych. Pod ręką masz pan Indie — zawołał, wskazując końcem laski szufladę pełną ryżu, podczas gdy kupiec, wystraszony cokolwiek, cofnął się o krok. — Chiny leżą przed panem, Demerara za panem, Amerykę masz pan

nad głową, a w tej chwili, niby jakiś dawny admirał hiszpański, trzyma pan Tunis w swych rękach!

Pan Mead upuścił pudełko z daktylami, które właśnie wziął do ręki, poczem znów je niepewnie uniósł.

Wayne ciągnął dalej z twarzą zaczerwienioną, lecz zniżając cokolwiek głos:

— Wiem zatem, jakie są pokusy, gdy człowiek ma stale przed oczami wizję bogactwa tak uniwersalnego, tak bardzo międzynarodowego. Wiem o tym, że panu nie grozi, tak jak wielu innym kupcom, zamknięcie się w zbyt tępej i mechanicznej ciasnocie, grozi panu raczej nadmiar liberalizmu, wszechstronności pojęć, wspaniałomyślności. Zbyt ciasny nacjonalizm pęta cukiernika, który pod niebem swojej własnej ojczyzny przygotowuje swoje wyroby; przeciwnie, kosmopolityzm czyha na kupca kolonialnego. Lecz ja przychodzę do pana w imię tego patriotyzmu, którego żadne nowe podróże, żadne poświęcenie nie powinno wygnąć z serc naszych i proszę pana, abyś nie zapominał o Notting Hill. Bo ostatecznie nawet wśród tej wspaniałości międzynarodowej, pośród której tronujesz, twoja dzielnica odegrała niepoślednią rolę. Być może, daktyle twoje rosły na wyniosłych palmach w krajach Północnej Afryki, cukier pochodzi z wysp tropikalnych, a herbata z tajemniczych wiosek państwa Żółtego Smoka. Być może, aby zaopatrzyć ten magazyn, trzeba było splądrować lasy podzwrotnikowe i polować z harpunem na morskie potwory pod gwiazdą polarną. Ale pan sam, pan, który przecież jesteś niemniej cenny, pan którego mózg rządzi tym ogromnym interesem, pan wzrósł w siłę i rozum pomiędzy tymi szarymi domami, pod tym dżdżystym niebem. Otóż to przedmieście, które pana stworzyło, i które pozwoliło panu zgromadzić te skarby, to przedmieście jest zagrożone wojną. Wystąp pan, opowiedz wszystkim na świecie o swoim doświadczeniu: olej pochodzi z północy, a owoce z południa; ryż jest z Indii, a korzenie z Ceylonu; owce są z Nowej Zelandii, lecz ludzie z Notting Hill!

Kupiec siedział przez parę chwil z błędnym wzrokiem i otwartymi ustami, wyglądał zupełnie jak ryba. Podrapał się za uchem i wreszcie powiedział:

— Czym mogę służyć?

Wayne, oszołomiony, rozejrzał się dokoła i, spostrzegłszy stos puszek z ananasem, wskazał na nie końcem swej laski.

— Tak — rzekł — wezmę to.

— Wszystko? — zapytał kupiec z o wiele większym zainteresowaniem.

— Tak, tak, wszystko — mówił Wayne, wciąż jeszcze trochę zdumiony jak człowiek, którego obłano zimną wodą.

— Proszę uprzejmie, dziękuję panu bardzo — odpowiedział kupiec z ożywieniem. — Proszę liczyć na mój patriotyzm, szanowny panie.

— Liczę też na niego — odpowiedział Wayne i zniknął w zapadającym zmroku.

Kupiec postawił na miejscu pudełko z daktylami.

— Cóż to za miły chłopiec — rzekł do siebie. — Ciekawa rzecz, jak często oni bywają mili, daleko bardziej niż ci, którzy są normalni.

Tymczasem Wayne stał przed wystawą apteki widomie wahając się, czy wejść.

— Cóż za słabość! — mruczał. — Nigdy nie mogłem się jej pozbyć od dzieciństwa — zawsze bałem się tego czarodziejskiego sklepu. Kupiec kolonialny jest bogaty, jest romantyczny, jest poetyczny w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu, lecz aptekarz jest... tak, jest nadprzyrodzony. Wszystkie inne sklepy leżą w Notting Hill, ale ten leży w zaczarowanej krainie. Wystarczy spojrzeć na te wielkie banie szklane, mieniące się wszystkimi odcieniami. Zdaje się, że Bóg musi maczać w nich pędzel, aby malować zachody słońca. To jest nadludzkie, a nadludzkie jest tym bardziej niesamowite, gdy jest źródłem dobrodziejstwa. W tym tkwi przyczyna tego strachu, jaki odczuwamy wobec Boga. Boję się. Ale muszę być mężczyzną i wejść.

Był mężczyzną i wszedł. Mały, czarny, młody człowiek, uzbrojony w binokle, stał za

kontuarem i pozdrowił go wesołym lecz całkiem kupieckim uśmiechem.

— Piękny wieczór, proszę pana — zauważył.

— Doprawdy piękny, tajemniczy ojczy — odrzekł Adam, wyciągając ręce ku niemu. — W takie właśnie pogodne, jasne noce apteka pańska nabiera wyglądu właściwego. Wtedy w całej okazałości ukazują się te zielone, złociste, szkarłatne księżycy, które z daleka wiodą pielgrzymy z krainy cierpienia i choroby ku temu domowi litościwego czarodziejstwa.

— Czym mogę panu służyć? — zapytał farmaceuta.

— Co to miało być? — odpowiedział Wayne tonem przyjaznym, lecz cokolwiek niepewnym. — Tak, proszę dać mi trochę soli trzeźwiących.

— Buteleczkę za osiem pensów, za dziesięć pensów czy za szylinga i sześć pensów? — spytał uprzejmie młody człowiek.

— Za szylinga i sześć, za szylinga i sześć — odrzekł Wayne z rozpaczliwą rezygnacją. — Pragnę zadać panu pewne straszne pytanie, panie Bowles.

Milczał przez chwilę, chcąc się opanować.

— Takt, takt jest tu rzeczą najważniejszą — szeptał do siebie. — Mój apel musi być dostosowany do każdej profesji po kolei.

— Przyszedłem tu — podjął głośno — zadać panu pewne pytanie, które sięga aż do korzeni pańskich znojných, cudotwórczych prac. Panie Bowles, czy całe to czarodziejstwo ma zniknąć? — i końcem łaski zatoczył krąg wokoło sklepu.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, ciągnął z coraz większym ożywieniem:

— My tu w Notting Hill odczuwaliśmy głęboko czarowną tajemnicę pańskiego zawodu. Ale oto teraz Notting Hill jest zagrożony w samym istnieniu swoim.

— Czym jeszcze mogę panu służyć? — spytał aptekarz.

— Och — odrzekł Wayne, cokolwiek zmieszany — cóż to aptekarze sprzedają? Chininę, zdaje mi się? A więc proszę o chininę. Dziękuję panu. Czyż Notting Hill ma być zburzony? Widziałem tych ludzi z Bayswater i Północnego Kensingtonu. To są materialisci, panie Bowles! Nie widzą żadnego czarodziejstwa w pańskiej pracy, nawet gdy sami z niej korzystają. Uważają aptekarza za istotę pospolitą! Uważają, że aptekarz jest tylko człowiekiem.

Aptekarz pomilczał chwilę, jak gdyby dając sobie czas na przełknięcie tej zniewagi, po czym spytał pośpiesznie:

— Czym jeszcze mogę panu służyć?

— Proszę ałunu — odrzekł burmistrz na chybił trafił. — Prowadzę rzecz dalej. Tylko w tej świętej dzielnicy pańskie kapłaństwo jest czczone. Toteż walcząc po naszej stronie, będzie pan walczyć nie tylko za siebie samego, ale za wszystko to, co pan reprezentuje. Będzie pan walczyć nie tylko za Notting Hill, ale za krainę czarów, bo w miarę tego jak Buck, Barker i ich adherenci panoszą się coraz bardziej, kraina czarów dziwnie traci swój sens.

— Czego jeszcze pan sobie życzy? — zapytał Bowles z niezmaconą pogodą.

— Tak, tak, poproszę jujuby, proszku na przeczyszczenie... i magnezji... Niebezpieczeństwo jest bliskie. W całej tej sprawie mam uczucie, że walczę nie tylko za moje miasto rodzinne, za które oddam całą swą krew, ale za wszystkie miejsca na ziemi, w których mogłyby odnieść zwycięstwo tak wielkie jak ta idea. Biję się nie tylko za Notting Hill, ale i za Bayswater i Północny Kensington. Bo jeśli odniosą zwycięstwo ci łowcy złota, to i tamte miasta utracą swoje dawne sentymenty i całą tajemniczość duszy swego ludu. Wiem, że mogę liczyć na pana.

— O tak, proszę pana — odrzekł farmaceuta z wielkim ożywieniem. — Jesteśmy zawsze bardzo radzi mogąc spełnić życzenia naszego klienta.

Adam Wayne opuścił sklep aptekarza z głębokim zadowoleniem najwyższego osiągnięcia.

— Jakie to szczęście, że mam takt — mówił do siebie — i umiem zagrać na swoistych zdolnościach i osobliwościach każdego, że umiem przemówić zarówno do kosmopolityzmu

kupca kolonialnego, jak do starego jak świat czarnoksiężnictwa aptekarza. Cóż ja bym począł bez taktu?

## Rozdział II

### OSOBLIWY PAN TURNBULL

Jednak po dwóch dalszych rozmowach z właścicielami sklepów wiara patrioty we własną psychologiczną dyplomację zaczęła jakoś słabnąć. Pomimo troski, z jaką traktował racjonalne poglądy i swoistą dumę każdego z poszczególnych właścicieli, kupcy byli powściągliwi. Czy była to tajona uraza do niewtajemniczonego, który ośmielił się podpatrywać ich masońską wspaniałość? Tego nie mógł odgadnąć.

W sposób dość zachęcający zaczęła się rozmowa z antykwariuszem, gdyż antykwariusz zachwycił go jednym zdaniem. Ten pomarszczony człowiek, z siwiejącą szpiczastą brodą, widocznie dżentelmen, któremu się nie powiodło w życiu, stał smutnie w drzwiach swego sklepu.

— Jakże idą twoje interesy, tajemniczy strażniku przeszłości? — zagadnął Wayne uprzejmie.

— Niezbyt dobrze, proszę pana — odpowiedział antykwariusz cierpliwym głosem, charakterystycznym dla ludzi swojej klasy, takim głosem, który jest jedną z najżałośniejszych rzeczy na świecie. — Wszędzie taki okropny spokój...

Przy tych słowach oczy Wayne'a rozbłyły.

— Wielkie słowa! — zawołał. — Godne człowieka, którego towarem jest historia świata. Okropny spokój! W tych dwóch słowach mieści się duch tego wieku, tak właśnie i ja to odczuwałem już od kołyski. I nieraz zastanawiałem się, czy są inni ludzie, którzy by odczuwali brzemień tego przerażającego spokoju. Widzę ulice równe, regularne, po których przechadzają się ludzie nieszkodliwi, pochmurni i odziani na czarno. Mija dzień po dniu i nic się nie zmienia, a mnie się zdaje, że śnię, że obudzę się z krzykiem. Życie nasze jest proste, tak proste, jak sznur bardzo mocno naciągnięty i bardzo cienki, jego bezruch jest straszny. Może pęknąć z hukiem gromu. A pan, który żyje pomiędzy szczątkami wielkich wojen, pan, który żyje niejako na polu bitwy, pan wie, że wojna jest mniej straszna niż ten złowieszczy spokój: pan wie, że ci próżnujący młodzieńcy, którzy nosili te szpady pod panowaniem Franciszka czy Elżbiety, albo też prostak szlachcic czy baron, który wywijał tą maczugą podczas walk w Pikardii lub w Northumberland, pan, powtarzam, wie dobrze, że ci ludzie byli okropnie hałaśliwi, ale nie byli, tak jak my, okropnie spokojni.

Czy to stróż przeszłości miał trochę nieczyste sumienie, co do pochodzenia i wieku broni, o których była mowa, czy też z natury był skłonny do przygnębienia, dosyć, że miał minę raczej trochę zakłopotaną.

— Ale — ciągnął Wayne — ja nie wierzę, żeby ta okropna cisza świata współczesnego mogła trwać długo, jakkolwiek sądzę, że na razie jeszcze się wzmoże. Cóż to za farsa ten cały liberalizm współczesny. Wolność słowa oznacza w naszej cywilizacji współczesnej, że musimy mówić tylko o mało ważnych rzeczach. Nie wolno nam mówić o religii, bo to nie jest liberalne; nie wolno nam mówić o chlebie i serze, bo to jest mówienie o osobistych sprawach; nie wolno mówić o śmierci, bo to przygnębia; nie wolno mówić o narodzinach, bo to jest niedelikatne. Tak dłużej być nie może. Coś musi przerwać tę dziwną obojętność, ten dziwny drzemiący egoizm, to dziwne osamotnienie milionów jednostek w tłumie. Coś musi to przerwać. Dlaczegoż nie mielibyśmy tego dokonać, pan i ja? Czyż pan nie potrafi robić nic

lepszego, niż strzec tych relikwii przeszłości?

Mina kupca powoli rozjaśniła się w sposób, który ludziom nie sympatyzującym ze sprawą Czerwonego Lwa mógł nasuwać przypuszczenie, że staruszek jedynie do ostatniego zdania przywiązuje jakąś wagę.

— Jestem już za stary na zmiany — odrzekł — i wyznaję, że nie wiem, jaki nowy zawód mógłbym sobie obrać.

— Dlaczego by pan, na przykład, nie miał zostać pułkownikiem? — spytał delikatnie Wayne, gdyż zdawało mu się, że osiągnął punkt przelomowy swych subtelnych perswazji.

Jest bardzo prawdopodobne, że od tej właśnie chwili rozmowy zaczęły przybierać obrót niezbyt pomyślny. Antykwariusz początkowo zdawał się skłaniać do poglądu, że sugestia, aby został pułkownikiem nie nadaje się w ogóle do natychmiastowej rzeczowej dyskusji. Zawiłe rozumowanie dowodzące nieuniknionej wojny o niepodległość, połączone z kupnem po wygórowanej cenie jakiejś wątpliwej szpady z szesnastego wieku, doprowadziły do poprawy stosunków. W każdym razie Wayne opuścił sklep nieco zarażony melancholią jego właściciela.

Melancholia ta pogłębiła się jeszcze podczas wizyty u fryzjera.

— Golenie, proszę pana? — zapytał ten artysta z głębi swego sklepu.

— Wojna, mój panie! — rzucił Wayne, stojąc na progu.

— Przepraszam, co pan powiada? — spytał tamten ostro.

— Wojna! — powtórzył Wayne z zapałem. — Ale wojna nie o ideały sprzeczne ze sztukami pięknymi i cywilizacją. Wojna o piękno! O społeczeństwo! O pokój! Nastręcza się panu wyborna sposobność, aby zadać kłam tym wszystkim oszczerstwom, które, wbrew życiu tylu artystów, przypisują tchórzostwo ludziom, którzy upiększają i wygładzają niejako powierzchnię naszego życia. Dlaczego fryzjerzy nie mieliby zostać bohaterami? Dlaczego...

— Proszę wyjść! — krzyknął cyrulik z wściekłością. — Nie potrzebujemy tutaj ludzi tego rodzaju. Proszę wyjść!

I postąpił naprzód z rozpaczliwą irytacją, jakiej ulegają ludzie łagodni a rozwścieczeni.

Na chwilę Adam Wayne położył dłoń na rękojeść szpady, lecz natychmiast opuścił ją.

— Notting Hill będzie potrzebować najdzielniejszych swych synów — powiedział i smutnie skierował się do kupca zabawek.

Sklep z zabawkami był jednym z tych dziwnych małych sklepików, w jakie obfitują boczne ulice Londynu, a które dlatego nazywają się sklepami zabawek, ponieważ na ogół biorąc dominują w nich zabawki. Reszta towaru zdawała składać się prawie z wszystkiego innego na świecie: tytoniu, podręczników szkolnych, słodyczy, powieści w tanich wydaniach, klamerek po pół pensa, temperówek, sznurowadeł do bucików i tanich fajerwerków. Sprzedawano tam również dzienniki, a przed samym sklepem wisiały rzędem przybrudzone plakaty.

— Obawiam się — szeptał do siebie Wayne wchodząc — że nie wychodzi mi z tymi kupcami tak dobrze jak powinno. Może dlatego, że nie potrafiłem w pełni zrozumieć ich pracy? Czy w ich sklepach kryje się jakaś tajemnica, której nie potrafi zgłębić zwyczajny poeta?

Zgnębiony podszedł do kontuaru. Jednak szybko potrafił się opanować, gdy zwrócił się do człowieka stojącego przed nim — a był to człowiek o przedwcześnie posiwiałych włosach, małego wzrostu i z twarzą dużego dziecka.

— Proszę pana — rzekł do niego Wayne — chodzę po naszej ulicy od domu do domu i staram się uświadomić ludziom niebezpieczeństwo, zagrażające naszemu miastu. Lecz nigdzie ten obowiązek nie wydał mi się trudniejszy do spełnienia niż tutaj. Bo człowiek, który utrzymuje sklep z zabawkami, jest stróżem tego, co nam pozostało z rajy, zanim rozpoczęły się pierwsze wojny. Przebywa pan tutaj w stanie ciągłej medytacji nad potrzebami tego cudownego wieku, w którym lada schodki prowadzą do gwiazd, a każda ścieżka w parku do nieistniejącej krainy bajki. Nie przyszedłem tu bez zastanowienia, niech mi pan wierzy; namyślałem się długo, czy uderzyć w ponury bęben alarmowy w tym rajy dziecięcym. Niech pan

zastanowi się i nie potępia mnie zbyt pochopnie. Nawet ten raj dziecięcy zawiera wieść albo początek tego niebezpieczeństwa, tak samo, jak w raju prawdziwym, stworzonym do doskonałości, istniało to straszne drzewo. Bo osądź pan dzieciństwo choćby tylko na podstawie twego własnego arsenału jego przyjemności. Sprzedaje pan klocki do budownictwa, a zatem jest pan niewątpliwie świadkiem instynktu budownictwa starszego niż instynkt destrukcyjny. Sprzedaje pan też lalki i staje się pan kapłanem tego boskiego bałwochwalstwa. Ma pan również Arki Noego i w ten sposób uwiecznia pamięć ocalenia życia, wszelkiego życia, które jest rzeczą najcenniejszą i niezastąpioną. Ale czyż pan już nic nie posiada, oprócz symbolów tego przedhistorycznego rozsądku, tego dziecinnego racjonalizmu? Czyż pan nie posiada rzeczy straszniejszych? Czym są te pudelka żołnierzy ołowianych tam, w tej oszklonej witrynie? Czyż nie są świadkami tej grozy i piękności, tego pragnienia zaszczytnej śmierci, której nie wyrugowano nawet z nieśmiertelności raju. Panie Turnbull, nie pogardzaj pan ołowianymi żołnierzami.

— Nie pogardzam nimi! — krótko, ale z dużym naciskiem odparł pan Turnbull, właściciel sklepu z zabawkami.

— Szczęśliwy jestem, że to słyszę — podjął Wayne. — Muszę wyznać, że ze względu na moje projekty militarne obawiałem się ogromnej niewinności pańskiego zawodu. Co ten człowiek — mówiłem sobie — który jest przyzwyczajony tylko do drewnianych szabel, które przynoszą radość, pomyśli o szablach stalowych, które przynoszą ból. Ale teraz jestem co najmniej częściowo uspokojony. Ton pański pozwala mi uwierzyć, że zdobyłem co najmniej klucz od jednej bramy, wiodącej do pańskiego kraju zaczarowanego — od tej mianowicie bramy, przez którą wchodzi żołnierze. Bo nie można już dłużej ukrywać i ja nie powinienem dłużej ukrywać, że przychodzę tu, aby pomówić z panem właśnie o żołnierzach. Niech łagodny zawód pański natchnie pana miłosierdziem dla zmartwień tego świata! Niech pańskie dojrzałe doświadczenie załagodzi nasze krwawe troski. Bo w Notting Hill będzie wojna!

Mały kupiec podskoczył nagle i klasnął otwartymi tłustymi rączkami w kontuar.

— Wojna! — wykrzyknął. — Czy to prawda, mój panie? Zupełna prawda? Co za pyszna zabawa! Co za wspaniały widok dla moich zmęczonych oczu...

Pan Wayne był prawie zmieszany tym wybuchem radości.

— Jestem zachwycony... — wybełkotał — nie miałem pojęcia...

W tej chwili uskoczył w bok, omal nie zderzając się z panem Tumbullem, który jednym skokiem przesadził kontuar i wybiegł przed sklep.

— Niech pan spojrzy na to! — zawołał. — Niech pan spojrzy!

Powrócił z dwoma podartymi plakatami, które poprzednio wisały przed jego sklepem.

— Niech pan to przeczyta! — zawołał, kładąc plakaty na kontuarze.

Wayne pochylił się i przeczytał jeden z plakatów:

OSTATNIA BITWA  
ZDOBYCIE GŁÓWNEGO MIASTA  
DERWISZÓW  
NADZWYCZAJNE... itd. itd.

a na drugim:

ANEKSJA OSTATNIEJ MAŁEJ REPUBLIKI  
STOLICA NIKARAGUI PODDAJE SIĘ  
PO MIESIĄCU OBŁĘŻENIA  
WIELKA RZEŻ!

Wayne wyraźnie zaskoczony spojrzął na daty. Dwa plakaty pochodziły z miesiąca sierpnia sprzed piętnastu lat.

— Dlaczego pan chowa tę starzyznę? — zapytał tracąc pod wpływem silnego zdziwienia swój mistyczny spokój. — Dlaczego je pan wywiesza przed sklepem?

— Dlatego — odpowiedział tamten z prostotą — że są to dzieje ostatniej wojny. Pan przyszedł pomówić ze mną o wojnie. Właśnie tak się składa, że wojna jest moją namiętnością. Wayne podniósł swe wielkie błękitne oczy, pełne dziecięcego zdumienia.

— Niech pan pójdzie ze mną — rzekł krótko pan Turnbull i poprowadził go do pokoiku za sklepem.

Cały środek tego pokoju zajmował duży stół z sosnowego drzewa. Stały na nim niezliczone szeregi żołnierzy ołowianych i cynowych — znaczna część towaru sklepowego. Na pierwszy rzut oka odwiedzający ów sklep nie spostrzegliby nic osobliwego, gdyby nie to, że żołnierze byli ugrupowani w pewien osobliwy sposób, który nie był ani zupełnie handlowy, ani zupełnie przypadkowy.

— Wie pan bez wątpienia — mówił pan Turnbull wlepiając w Wayne'a spojrzenie swych wielkich oczu — jakie było ugrupowanie wojsk Nikaragui i amerykańskich podczas ostatniej bitwy — i wskazał ręką na stół.

— Niestety, nie mam o tym pojęcia — odrzekł Wayne. — Ja...

— Ach, być może, w owej epoce interesował się pan głównie sprawą Derwiszów. Znajdzie ją pan w tym kącie... — i wskazał na część podłogi, na której stało inne ugrupowanie.

— Zdaje się pan bardzo interesować sprawami wojskowymi... — zauważył Wayne.

— Nie interesuję się w ogóle niczym innym — odrzekł sprzedawca zabawek z prostotą.

Wayne był dziwnie wzruszony.

— W takim razie — rzekł — mogę do pana zwrócić się z największą ufnością... Rzecz dotyczy obrony Notting Hillu i ja...

— Obrony Notting Hillu, powiada pan? Proszę pana tędy — rzekł na to pan Turnbull z ożywieniem. — Niech pan wejdzie do tego bocznego pokoju — i wprowadził Wayne'a do innego pokoju, w którym stół był znowu pokryty dziecinnymi klockami. Przyjrząwszy się im uważnie, Wayne spostrzegł, że tworzą one dokładny i doskonały plan Notting Hillu.

— Panie — przemówił dobitnie pan Turnbull — przypadkiem trafił pan w to, co stanowi cały sekret mojego życia. Dzieckiem będąc, wzrastałem w epoce ostatnich wojen tego świata, kiedy została zdobyta Nikaragua i kiedy zniszczono Derwiszów. I wojna stała się moją namiętnością, tak jak może się nią stać dla kogoś astronomia albo wypychanie ptaków. Nie żywiłem nienawiści do nikogo, ale interesowałem się wojną jak nauką czy sportem. I nagle straciłem cel życia. Wielkie potęgi połknęły wszystkie drobne narody, zawarły pomiędzy sobą ów przeklęty traktat i skończyło się z wojnami. Nie pozostało mi więc nic innego do roboty jak to, co robię dotychczas: czytanie opisów dawnych kampanii w starych, brudnych dziennikach i rozgrywanie bitew ołowianymi żołnierzami. Jeszcze jeden pomysł przyszedł mi do głowy. Mianowicie zabawiałem się układaniem planu obrony, jaki powinna by zastosować nasza dzielnica, gdyby kiedykolwiek została zaatakowana. Wydaje mi się, że i pana ten przedmiot interesuje.

— Gdyby kiedykolwiek została zaatakowana — powtórzył Wayne, a był tak zdumiony, że mówił to prawie machinalnie. — Panie Turnbull, już jest zaatakowana! Dzięki Bogu, że chociaż jednemu człowiekowi przynoszę nowinę, która w gruncie rzeczy jest dobra, naprawdę dobra dla wszystkich synów Adama. Życie pańskie nie poszło na marne. Praca pańska nie była tylko zabawą. Teraz, gdy włosy pańskie są już prawie siwe, panie Turnbull, teraz dopiero będzie pan prawdziwie młody; Bóg nie odebrał panu młodości, przeniósł ją tylko na czas późniejszy. Usiądźmy tutaj, a pan mi objaśni strategiczny plan obrony Notting Hillu. Bo musimy bronić Notting Hillu razem, pan i ja.

Pan Turnbull spojrział na niego, wahał się przez chwilę, aż wreszcie usiadł obok tego obcego człowieka, pośród swych klocków i żołnierzy. Wstał, aż w siedem godzin później, o świcie.

Główna kwatera wojskowa burmistrza Adama Wayne i jego szefa sztabu została umieszczona w pewnej mało uczęszczanej mleczarni na rogu ulicy Pompy. Szary i ponury poranek zaledwie zaczął oblewać bladym światłem gmachy Londynu, gdy Wayne i Turnbull siedzieli już w tym smutnym i niedbale utrzymanym zakładzie. Wayne miał coś kobiecego w swym charakterze; należał do tych ludzi, którzy, gdy ich coś mocno przejmuje, zapominają o jedzeniu. Od szesnastu godzin nic nie jadł oprócz paru pośpiesznie przełkniętych szklanek mleka i teraz, trącając łokciem pustą szklankę pisał wciąż, kreślił ołówkiem szkice i plany z niesłychaną szybkością. Turnbull natomiast należał do typu raczej męskiego, do ludzi, u których poczucie odpowiedzialności zwiększa apetyt, toteż odłożywszy na bok mapę wojenną, porał się dzielnie z górą kanapek leżących na papierze, i kuflem portera, który sobie przyniósł z piwiarni naprzeciwko, właśnie przed chwilą otwartej. Żaden z nich nic nie mówił i ciszę przerywał tylko szelest ołówka Wayne'a i miauczenie bezdomnego, wałęsającego się bez celu kota. Wreszcie Wayne przerwał milczenie mówiąc:

— Siedemnaście funtów, osiem szylingów i dziewięć pensów.

Turnbull kiwnął głową i podniósł kufel do ust.

— Nie licząc pięciu funtów, które pan wziął wczoraj — dodał Wayne. — Co pan z nimi zrobił?

— Ach! — odrzekł Turnbull z pełnymi ustami. — To bardzo ciekawa rzecz. Użyłem ich na uczynek miłosierny i filantropijny.

Wayne patrzył na niego z naiwnym zdumieniem.

— Tych pięć funtów wydałem — mówił Turnbull — na zapłacenie przejażdżki dorożkami dla czterdziestu chłopców londyńskich.

— Czyś pan oszalał? — zawołał burmistrz.

— Jest to tylko moja subtelna metoda — odrzucił Turnbull. — Te przejażdżki dorożką podniosą poziom jakości — tak, właśnie, mój drogi przyjacielu — podniosą poziom jakości naszej młodzieży londyńskiej; rozszerzą horyzonty myślowe tych chłopców, wzmocnią ich system nerwowy, zapoznają ze wspaniałymi pomnikami i gmachami publicznymi naszego wielkiego miasta. Wykształcenie, Wayne, wykształcenie! Iluż najznakomitszych myślicieli wskazywało nam, że na nic nie przydadzą się reformy polityczne, dopóki nie stworzymy oświeconego ludu! A zatem za dwadzieścia lat, gdy tych czterdziestu malców dorośnie...

— Szaleńcze! — przerwał mu Wayne, odkładając ołówek. — I znowu pięć funtów zmarnowanych.

— Mylisz się pan — przekładał mu Turnbull. — Wy, ludzie poważni nie zrozumiecie nigdy, jak prędko można czegoś dokonać przy pomocy nonsensu i dobrych posiłków. Oto mój dokładny raport pozbawiony ozdobnych upiększeń: wczoraj wieczorem dałem po pół korony czterdziestu małym chłopcom i rozesłałem ich po całym Londynie po dorożki. Pouczyłem każdego z nich osobno, aby kazali dorożkarzom odwieźć się tutaj. Za pół godziny ukaza się plakaty o wypowiedzeniu wojny. W tej samej chwili dorożki zaczną zjeżdżać się tutaj, pan wezwie w tym czasie straż, chłopcy odbędą uroczysty wjazd, następnie zarekwirujemy konie dorożkarzy dla kawalerii, z dorożek porobimy barykady, a woźnicom damy do wyboru: albo służba w naszych szeregach, albo areszt w naszych podziemiach i piwnicach. Mali chłopcy mogą zostać użyci jako wywiadowcy. Główna rzecz w tym, że rozpoczynając wojnę, będziemy mieć atut nieznanym we wszystkich innych armiach, a mianowicie konie. A teraz — dodał kończąc pić portera — idę przeprowadzić ćwiczenia z oddziałami.

I wyszedł z mleczarni, pozostawiając burmistrza w zdumieniu.

Po minucie czy dwóch burmistrz wybuchnął śmiechem. Śmiał się dotychczas zaledwie parę razy w życiu, robił to w jakiś dziwny sposób, jak gdyby śmiech był trudną sztuką, której jeszcze nie opanował. Ale nawet jemu śmieszny wydał się ten groteskowy pomysł z półkoronami i czterdziestu chłopakami. Nie widział monstrialnej bezsensowności planowanej wojny



i wszystkich przygotowań. Rozkoszował się tym poważnie niby wyprawą krzyżową, to jest rozkoszował się tym daleko więcej, niż można się rozkoszować jakimś żartem. Turnbull zaś rozkoszował się wojną częściowo jako żartem, a jeszcze więcej jako oderwaniem od rzeczy, których nie cierpiał, a więc współczesności, monotonii i cywilizacji. Złamać, zniszczyć wielką maszynę życia współczesnego, a szczątków użyć jako narzędzi wojennych, z omnibusów porobić barykady, a w kominach urządzić punkty obserwacyjne, było to w jego oczach zabawą, dla której warto było narazić się na ogromne niebezpieczeństwa i trudy. Posiadał ową zdecydowaną, świadomą skłonność ku temu, co po wieki wieków mieć będzie spokój świata, posiadał zdecydowaną świadomą skłonność do życia krótkiego, ale wesołego.

### Rozdział III

#### DOŚWIADCZENIE PANA BUCKA

Król otrzymał poważną i kwiecistą petycję, podpisaną przez panów: Wilsona, Barkera, Bucka, Swindona i innych. Prosili oni usilnie, aby na najbliższej konferencji, na której w obecności Jego Królewskiej Mości będzie poruszana sprawa ostatecznego postanowienia odnośnie własności na ulicy Pompy, mogli ukazać się w swoich zwykłych ubraniach, a nie w kostiumach, które musieli nosić jako burmistrzowie, przy czym nie ucierpiałyby ani polityczna etykieta, ani ich niewymowny szacunek dla Najjaśniejszego Pana. Następstwem tego było, iż rzeczywiście na najbliższym posiedzeniu zjawili się w surdutach. Sam król zaś tak ograniczył swoje upodobanie do ceremonii, że wystąpił wprawdzie, według swego utartego zwyczaju, w stroju wieczorowym, ale za to tylko z jednym orderem. Nie był to już tym razem Order Podwiązki, lecz oznaka członków Stowarzyszenia Najlepszych Kamratów Starego Tramwajarza, odznaczenie, które dostał z trudnością od redakcji jakiegoś taniego, dziecinnego pisemka. Toteż jedyną plamą kolorową w tej sali był Adam Wayne, który wszedł z wielką godnością w szkarłatnych szatach, z wielkim mieczem.

— Zeszliśmy się tutaj — zaczął Oberon — aby rozwiązać jeden z najtrudniejszych problemów współczesnych. Oby nam się powiodło.

I usiadł z powagą.

Buck posunął się cokolwiek z krzesłem i założył nogę na nogę.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł zupełnie dobrodusznie — nie rozumiem tu tylko jednej rzeczy, a mianowicie, dlaczego nie załatwiamy tej sprawy w ciągu pięciu minut. Chodzi tu o małą własność, która jest warta dla nas, przypuśćmy tysiąc funtów, a dla kogoś innego nie warta nawet stu. My ofiarujemy tysiąc funtów. Wiem, że biorąc po handlowemu, nie jest to interes, bo powinniśmy dostać to za niższą cenę; nie jest to rozsądne ani bardzo uczciwe w stosunku do nas samych, ale niech mnie diabli wezmą, jeżeli rozumiem, co w tym jest trudnego.

— Trudność tę można bardzo łatwo wyjaśnić — odrzekł Wayne. — Może pan ofiarować nawet milion, a pomimo to bardzo trudno będzie panu dostać ulicę Pompy.

— Ale posłuchaj no pan, panie Wayne — wtrącił się Barker z jakimś zimnym podnieceniem — słuchajże pan! Przede wszystkim nie ma pan prawa zajmować podobnego stanowiska. Ma pan tylko prawo starać się uzyskać wyższą cenę, ale tego pan właśnie nie robi. Odrzuca pan przez złośliwość czy przekorę to, co pan sam i każdy człowiek przy zdrowych zmysłach musiałby uznać za doskonałą ofertę — doprawdy kieruje się pan złośliwością albo przekorą! A tego rodzaju postępowanie jest prawdziwym przestępstwem, ponieważ sprzeciwia się dobru publicznemu. Toteż władza królewska będzie miała pełne prawo zmusić pana

do tego.

Oparłszy się cienkimi, rozstawionymi palcami o stół, patrzył niespokojnie w nieruchomą twarz Wayne'a.

— Zmusić pana... — powtórzył.

— Musi to zrobić — przerwał szorstko Buck, zwracając się gwałtownie w stronę stołu. — Zrobiliśmy wszystko, co do nas należało, nie można było postąpić przyzwoiciej.

Wayne podniósł wolno swoje duże oczy.

— Czy to milord Buck powiedział, że król Anglii „musi” zrobić coś? — zapytał.

Buck poczerwieniał i odpowiedział mrukliwie.

— Chciałem przez to powiedzieć, że tak powinno być. Otóż okazaliśmy się hojni, jak tylko było można i wątpię, żeby ktoś chciał zaprzeczyć temu. Panie Wayne, pragnąłbym uniknąć słów obraźliwych. Sądzę jednak, że to nie będzie niegrzecznie, gdy powiem, że może pan i powinien znaleźć się w więzieniu. Bo wstrzymywanie robót publicznych dla zwykłego kaprysu jest kryminalnym przestępstwem. Równie dobrze można spalić dziesięć tysięcy cebul w ogródku od ulicy, albo kazać swym dzieciom, aby biegały nago po ulicach, jak zrobić to, do czego, jak pan mówi, ma pan prawo. Nieraz już zmuszano ludzi do sprzedaży. Król może to zrobić i mam nadzieję, że zrobi.

— Zanim to robi — odrzekł Wayne spokojnie — władza i rząd tego wielkiego narodu są po mojej stronie, nie po waszej i niechże pan spróbuje to zlekceważyć.

— W jakimże znaczeniu rząd jest po pańskiej stronie? — zawołał Barker z gorączkowym wzrokiem i drżącymi nerwowo rękami.

Jednym ruchem ręki Wayne rozwinął na stole ogromny pergamin. Był on po brzegach ozdobiony fantastycznymi akwarelkami, przedstawiającymi dostojników, przybranych w wieńce i korony.

— Przywilej Miast... — rozpoczął.

Buck wybuchnął ordynarną kłatwą i roześmiał się.

— To zwariowana farsa! — zawołał. — Mamy już jej chyba dosyć.

— Przybyłeś tu po to, aby zamiast argumentować — wykrzyknął donośnym głosem Wayne, zrywając się na równe nogi — znieważać króla w żywe oczy.

Buck również zerwał się z płonąca twarzą.

— Mnie nie łatwo nastraszyć — zaczął, lecz w tej chwili dał się słyszeć powolny i niezwykłe poważny głos króla.

— Milordzie Buck, muszę ci przypomnieć o obecności twojego króla. Nieczęsto chyba się zdarza, aby król musiał sam się bronić pośród swych poddanych.

Barker zwrócił się do niego z gestem rozpaczki.

— Na miłość Boską — błagał — nie popieraj tego szaleńca, panie, pozartujesz sobie innym razem. Ale teraz, na Boga...

— Milordzie, burmistrzu Południowego Kensingtonu — przemówił król spokojnie — nie mogę pojąć twych uwag, wypowiedzianych z niezwykłą na dworze szybkością. Również nie dopomagają mi wcale dobre w intencji wysiłki wyjaśnienia mi reszty za pomocą twoich palców. Zwróciłem uwagę Lordowi Burmistrzowi Północnego Kensingtonu, że nie powinien w obecności swego króla wyrażać się bez szacunku o rozkazach tegoż króla. Czy jesteś przeciwnego zdania?

Barker kręcił się gorączkowo na krześle, a Buck przeklinał, ale tylko w duchu. Król ciągnął dalej spokojnym głosem:

— Milordzie, burmistrzu Notting Hillu, mów dalej, proszę.

Wayne zwrócił swoje błękitne oczy na króla, ale ku ogólnemu zdziwieniu nie dostrzeżono w nich triumfu, tylko jakąś dziecięcą mękę.

— Przebacz mi, Najjaśniejszy Panie — rzekł — obawiam się, że zasługuję tyleż samo na naganę, co tamci panowie. Obaj z burmistrzem Północnego Kensingtonu rozprawialiśmy

za gwałtownie i obaj zerwaliśmy się z miejsc. A ja zrobiłem to pierwszy, wyznaję ze wstydem. Burmistrz Północnego Kensingtonu jest zatem właściwie niewinny. Toteż błagam Waszą Królewską Mość zwrócić swoją naganę na mnie przede wszystkim. Pan Buck nie jest zupełnie niewinny, gdyż uniósł się zanadto w zapale i mówił bez należytego szacunku. Ale poza tym przez resztę dyskusji zachował się bardzo spokojnie.

Buck, jak się zdawało, był naprawdę dosyć zadowolony, gdyż ludzie interesu są naiwni (pod tym względem mają dużo wspólnego z fanatykami). Król za to, nie wiadomo z jakiego powodu, po raz pierwszy w życiu wyglądał na zawstydzonego.

— To bardzo uprzejme przemówienie burmistrza Notting Hillu — zaczął Buck pojednawczo — wydaje się wskazywać, iż osiągnęliśmy w końcu platformę porozumienia. Posłuchajcie nas pan teraz, panie Wayne. Ofiarowywano panu pięćset funtów za własność, która, jak pan przyznaje, nie jest warta nawet stu. Jestem człowiekiem bogatym i nie chcę, aby mnie ktoś przewyższył wspaniałomyślnością. Powiedzmy więc tysiąc pięćset funtów i niechże raz będzie koniec z tą sprawą. A teraz podajmy sobie ręce — i powstał podniecony, uśmiechnięty.

— Tysiąc pięćset funtów? — szepnął pan Wilson, burmistrz Bayswateru. — Czyż możemy ofiarować aż tysiąc pięćset funtów?

— Ja biorę na siebie całą odpowiedzialność — odparł pan Buck serdecznie. — Pan Wayne jest dżentelmenem i wstawiał się za mną. Sądzę, że pertraktacje są zakończone.

Wayne skłonił się.

— Rzeczywiście, są skończone. Przykro mi, że nie mogę panom sprzedać tej własności.

— Jak to? — krzyknął pan Barker, zrywając się.

— Pan Buck miał rację... — odezwał się król.

— Miałem rację — zawołał pan Buck, zrywając się także — i powiedziałem...

— Pan Buck miał rację — powtórzył król. — Pertraktacje są skończone.

Wszyscy panowie, siedzący dokoła stołu, zerwali się gwałtownie, tylko Wayne wstał spokojnie.

— Czy Wasza Królewska Mość pozwala mi odejść? — zapytał. — Dałem już moją ostateczną odpowiedź.

— Pozwalam — odrzekł Oberon, uśmiechając się, lecz nie podnosząc oczu od stołu.

I wśród śmiertelnej ciszy burmistrz Notting Hillu opuścił salę.

— A więc? — spytał Wilson, zwracając się do Barkera. — Cóż teraz?

Barker potrząsnął głową z rozpaczą.

— Ten człowiek powinien znaleźć się w domu obłąkanych. Ale jedno jest jasne: nie możemy dłużej zważać na niego. Należy traktować go jak wariata.

— Naturalnie — poparł go Buck z posępną stanowczością. — Ma pan zupełną rację, panie Barker. Jest to nawet poczciwy chłopiec, ale należy go traktować jak wariata. Postawmy kwestię jasno. Weźcie panowie dwunastu pierwszych lepszych przechodniów z ulicy, weźcie pierwszego lepszego doktora medycyny i powiedzcie im, że jest człowiek, któremu ofiarowywano tysiąc pięćset funtów za rzecz, która jest warta najwyżej czterysta, a on nie zgodził się jej sprzedać, a gdy go zapytano o powód, plecie coś o nietykalnej świętości Notting Hillu, który nazywa „świętą górą”. Cóż by na to odpowiedzieli ci ludzie? Naszym największym atutem to zdrowy rozsądek przeciętnego człowieka. Na czymże innym opierają się wszystkie prawa? Powiem ci, Barker, co powinniśmy zrobić, zamiast prowadzić dalszą dyskusję. Musimy posłać tam robotników, aby zburzyli ulicę Pompy. A jeżeli ten jakiś Wayne sprzeciwi się temu choćby jednym słówkiem, każemy go aresztować jako wariata. Oto wszystko.

Oczy Barkera zapłonęły.

— Zawsze cię uważałem, Buck, jeśli mi pozwolisz to powiedzieć, za człowieka bardzo silnego. Pójdę za tobą.

— Ja także — dodał Wilson.

Buck powstał gwałtownie.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł uszczęśliwiony ogólnym uznaniem. — Błagam Waszą Królewską Mość o przychylenie się do planu, który powzięliśmy. Pobłażliwość Waszej Królewskiej Mości, nasze własne propozycje niczego nie osiągnęły u tego dziwnego człowieka. Może on ma rację. Może on jest Bogiem. Może jest szatanem. Ale my, biorąc rzecz praktycznie, uważamy, że raczej jest niespełna rozumu. Gdyby nie postępować zgodnie z takim przypuszczeniem, wszystkie ludzkie sprawy zostałyby unicestwione. My właśnie tak postąpimy i jesteśmy zdecydowani rozpocząć roboty w Notting Hill natychmiast.

Król wyprostował się na swym krześle.

— Przywilej Miast... — rozpoczął tonem uroczystym.

Lecz Buck odzyskawszy powagę, stał się jednocześnie bardzo ostrożny i strzegł się już odezwać bez należnego szacunku.

— Najjaśniejszy Panie! — rozpoczął kłaniając się. — Nie przyszedłem tutaj, aby przemawiać przeciwko temu, co Waszej Królewskiej Mości podobało się zrobić czy powiedzieć. Wasza Królewska Mość ma nieskończenie więcej wykształcenia ode mnie i bez wątpienia tak postępując kierowała się pobudkami natury intelektualnej. Ale czy mogę, odwołując się do twojej zwykłej łagodności, poprosić cię, Najjaśniejszy Panie, o szczerą odpowiedź? A mianowicie, czy ustanawiając Przywilej Miast przewidywałeś, że zjawi się taki człowiek, jak Adam Wayne? Czy spodziewałeś się, że ten Przywilej Miast — nie wiem, czy to był eksperyment, czy fantazja dekoratorska, czy żart — stanie się tym, czym jest dzisiaj? Że będzie przeszkadzać ogromnemu planowi i sprawom zwyczajnych interesów, że zamknie drogę, że unicestwi możliwości dorożek, omnibusów i stacji kolejowych, że zdeorganizuje połowę miasta, że narazi nas na niebezpieczeństwo wojny domowej? Czyż twoje plany, Najjaśniejszy Panie, zmierzają właśnie do tego?

Wilson i Barker patrzyli na niego z admiracją.

Król zaś admirował go jeszcze więcej.

— Burmistrz — odrzekł Oberon — jesteś niepospolitym mówcą publicznym. Przyznaję ci to ze wspaniałomyślnością artysty. Plany moje nie przewidywały pojawienia się pana Wayne. Niestety! Moja wena poetycka była zbyt uboga, aby to przeczuć.

— Dziękuję Waszej Królewskiej Mości — odpowiedział pan Buck grzecznie, ale z pośpiechem. — Słowa Waszej Królewskiej Mości są zawsze jasne i przemyślane, dlatego też łatwo mi z nich wyciągnąć wniosek. Ponieważ ani jeden ulubiony plan Waszej Królewskiej Mości nie przewidywał pojawienia się pana Wayne, więc też przeżyje i jego usunięcie. Dlaczegoż więc nie mielibyśmy zburzyć właśnie ulicy Pompey, która nam przeszkadza w naszych projektach, a która, według własnych słów Waszej Królewskiej Mości, w niczym nie przeszkadza w jego planach.

— Trafiony ! — zawołał król z takim entuzjazmem i bezstronnością, jak gdyby śledził przebieg interesującej partii kryketa.

— Tego Wayne'a — ciągnął Buck — zamknęliby w domu wariatów wszyscy lekarze w Anglii. Prosimy więc tylko, aby nam wolno było przedłożyć im tę sprawę. Tymczasem zaś w niczym interesie, nawet zdaje się w jego własnym nie leży, aby zwlekać dłużej z podjęciem naszych prac na Notting Hill. Nie ucierpią na tym naturalnie nasze interesy, bo jest to nasza cicha i wytrwała praca od dziesięciu lat. Również nie ucierpią na tym interesy Notting Hillu, gdyż wszyscy inteligentni mieszkańcy owej dzielnicy życzą sobie tej zmiany. Nie ucierpią również na tym interesy twoje. Najjaśniejszy Panie, bo sam przyznałeś z charakterystyczną cię wnikliwą praktycznością, żeś nie liczył nigdy na pojawienie się tego wariata. Jego własne interesy nie ucierpią na tym, bo ten młodzieniec ma dobre serce i wiele talentów, więc paru dobrych doktorów lepiej mu pomoże niż wszystkie wolne miasta i święte wzgórza na świecie. Ośmielam się więc mniemać, jeżeli mi wolno użyć tak śmiałego słowa, że Wasza Królewska

Mość nie będzie czynić nam żadnych przeszkód w rozpoczęciu robót.

I pan Buck usiadł na swym miejscu wśród dyskretnych, lecz podnieconych oklasków, objawów uznania swoich sprzymierzeńców.

— Panie Buck — rzekł król. — Przepraszam pana za całe mnóstwo pięknych i wzniosłych myśli, w których zazwyczaj klasyfikowałem cię jako głupca. Lecz w tej całej sprawie trzeba jeszcze rozważyć inny aspekt. Przypuśćmy, że wysyłacie swoich robotników, a pan Wayne zrobi rzecz, zapewne, bardzo godną pożałowania, ale do której, obawiam się, jest zdolny, a mianowicie powybijają im zęby?

— Myślałem już o tym, Najjaśniejszy Panie — odrzekł pan Buck lekko — i sądzę, że można w prosty sposób zabezpieczyć się przeciwko temu: ubezpieczymy naszych robotników silną strażą, damy im na przykład stu ludzi — stu halabardników z Północnego Kensingtonu, których Wasza Królewska Mość — tu uśmiechnął się ponuro — tak kocha. Albo powiedzmy, stu pięćdziesięciu. Zdaje mi się, że na całej ulicy Pompy nie ma więcej nad stu mieszkańców.

— Jednak trzymając się razem mogliby pobić was — rzekł król z powątpiewaniem.

— A więc powiedzmy dwustu! — zawołał Buck wesoło.

— Może się jednak zdarzyć — mówił król niespokojnie — że jeden mieszkaniec Notting Hillu będzie się bić lepiej niż dwu Kensingtonczyków.

— Może się to zdarzyć — odparł Buck zimno. — A więc niech będzie dwustu pięćdziesięciu.

Król przygryzł wargi.

— A jeżeli i tych pobiją? — spytał przekornie.

— Najjaśniejszy Panie — odrzekł Buck, rozpierając się wygodnie w krzesło — przypuśćmy, że ich pobiją. Lecz jasne jak słońce, że wszelkie bitwy są kwestią arytmetyki. Oto na przykład z jednej strony mamy, powiedzmy, stu pięćdziesięciu żołnierzy z Notting Hill. Powiedzmy dwustu. Jeżeli jeden z nich pobije dwóch naszych, to znaczy, że musimy zamiast czterystu, posłać sześciuset, a wtedy rozniesiemy ich. Oto wszystko. Jest bardzo mało prawdopodobne, aby jeden z nich pobił czterech naszych. I dlatego mówię, że nie ryzykujemy nic. Skończymy z tym od jednego zamachu. Wyślijmy ośmiuset ludzi i zgniećmy go, zgniećmy, prawie nie przyglądając się temu. A wtedy prowadźmy dalej nasze roboty. — I pan Buck, wyciągnąwszy z kieszeni chustkę, wytarł nos z hałasem.

— Czy pan wiesz, panie Buck — rzekł król, patrząc ponuro na stół — że ta podziwu godna jasność pańskiego rozumowania budzi we mnie uczucie, które, nie chcąc bynajmniej pana obrażać, muszę określić jako chęć rozbicia panu głowy. Pan mnie irytuje w najwyższym stopniu. Co to może być? Byłyżby to resztki poczucia moralności?

— Ależ, Najjaśniejszy Panie — wtrącił Barker skwapliwie i słodko — nie odrzucasz mimo to naszej propozycji?

— Mój drogi Barkerze, twoje propozycje są godne potępienia zarówno jak twoje manieiry. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. Przypuśćcie, że się im sprzeciwię kategorycznie. Co z tego wyniknie?

Barker odpowiedział bardzo cichym głosem:

— Rewolucja.

Król szybko obrzucił wzrokiem siedzących dokoła stołu mężczyzn. Wszyscy siedzieli w milczeniu ze spuszczoneymi oczami; czoła mieli zaczerwienione. Wówczas król zerwał się nagle niezwykle błady.

— Panowie — rzekł — przegłosowaliście mnie. Toteż mogę teraz mówić otwarcie. Uważam, że Adam Wayne, który jest zupełnym wariatem, jest więcej wart niż milion takich ludzi jak wy. Ale wy po swojej stronie macie siłę i zdrowy rozsądek, toteż uważam, że jest zgubiony. Weźcie więc ośmiuset halabardników i zmiażdźcie go. Może jednak bardziej po rycersku byłoby wziąć dwustu ludzi.

— Bardziej po rycersku, tak — odpowiedział Buck pochmurnie — ale daleko mniej

humanitarnie. Nie jesteśmy artystami i nie potrzeba nam dla zadowolenia naszego zmysłu estetycznego ulic zalanych purpurą krwi.

— To szkoda — rzekł Oberon. — Jeśli was będzie pięciu lub sześciu na jednego, nie będzie wcale walki.

— Mam nadzieję, że nie — odrzekł Buck, wstając i zabierając się do wkładania rękawiczek. — My nie pragniemy walki, Najjaśniejszy Panie. My jesteśmy spokojnymi ludźmi interesu.

— Dobrze — odpowiedział król ze znużeniem. — Nasza konferencja nareszcie skończona. — I wyszedł z pokoju, zanim inni zdążyli wstać z miejsc.

Czterdziestu murarzy, stu halabardników z Bayswater, dwustu z Południowego i trzystu z Północnego Kensingtonu zgromadziło się na końcu Holand Walk i zaczęło maszerować naprzód, pod komendą Barkera, który w pełnej gali wyglądał na człowieka rozentuzjzmowanego i szczęśliwego. Na końcu procesji wlokła się, niby ulicznik za wojskiem, mała, nadażana postać. Był to król.

— Barker — powiedział wreszcie król błagalnym tonem — Barker, jesteś moim starym przyjacielem, rozumiesz więc moje zamiłowania, tak jak ja rozumiem twoje. Dlaczego nie możecie zostawić tego wszystkiego jak jest. Miałem nadzieję, że z całej tej sprawy Wayne'a będzie tyle uciechy. Dlaczego nie pozwolicie, by sprawy potoczyły się własnym torem? Przecież wam na tym nie zależy tak bardzo, czy będzie jedna ulica mniej lub więcej. Dla mnie, powiadam ci, jest to jedyny żart, który mnie może jeszcze uratować od pesymizmu. Weźcie ze sobą mniej ludzi i umożliwcie mi godzinę zabawy. Słowo daję, James, gdybyś kolekcjonował stare monety albo ptaki i ja mógłbym ci kupić takiego ptaka za cenę tej ulicy, nie zaważałbym się ani chwili. A ja kolekcjonuję wydarzenia — te rzeczy cenne a rzadkie. Daj mi to. Stać cię na te kilka funtów. Daj tym ludziom z Notting Hill jakąś szansę. Zostaw ich w spokoju.

— Oberonie — rzekł Barker łagodnie, zapomniawszy w tym rzadkim momencie szcerości o wszystkich królewskich tytułach. — Odczuwam dobrze, co chcesz powiedzieć. I ja miewałem chwile, gdy ulegałem tym słabostkom, gdy nawet sympatyzowałem z twoimi kaprysami. Miewałem nawet chwile, choć niełatwo zapewne w to uwierzysz, że sympatyzowałem z szaleństwem Adama Wayne. Ale świat, Oberonie, prawdziwy świat nie może być rządzony takimi odruchami. Świat posuwa się naprzód na brutalnych kołach rzeczywistości, ty jesteś motylem, który przysiadł na tych kołach, a Wayne jest natrętną muchą.

Oberon spojrział mu szczerze w oczy.

— Dziękuję ci, James; to, co mówisz jest prawdą. Dla mnie, co prawda, tylko skromną pociechą jest korzystne porównanie inteligencji muchy z inteligencją kół. Ale w naturze much leży to, że umierają prędko, a w naturze kół, że mogą wiecznie toczyć się naprzód. Tocz się więc na żelaznych kołach naprzód. Bywaj zdrów, stary.

I James Barker ruszył dalej, zaczerwieniony, śmiejąc się i uderzając się laseczką po nodze. A król obserwował koniec oddalającego się oddziału z prawdziwie przygnębiającą miną, która czyniła go bardziej niż kiedykolwiek podobnym do dziecka. Potem odwrócił się na pięcie i klasnął w dłonie.

— Na świecie pozbawionym humoru — rzekł — jedno tylko warto robić, to jest jeść. Jeść! Jakiż to przepyszny wyjątek z reguły! Jakże ludzie mogą przybierać pozy pełne godności, i utrzymywać, że jest tyle niezmiernie ważnych spraw na świecie, gdy całkowita śmiešność życia okazuje się już w samej metodzie podtrzymywania życia. Oto weźmy człowieka, który uderzając w struny liry, mówi: „Życie jest wspaniałe, życie jest poważne”, a potem idzie do jadalnego pokoju i wpycha w otwór w swojej głowie obce substancje. Sądzę, że Natura urządziła to w przystępie cokolwiek grubiańskiego humoru. Ale my wszyscy uciekamy się do farsy, jak ja to zrobiłem w tej sprawie municypalnej. Natura dla bardziej nieokrzes-

nych apetytów pozostawia takie farsy, jak jedzenie, picie, albo budowa kangura. Gwiazdy zaś i góry pozostawia dla tych, którzy potrafią ocenić śmieszność bardziej subtelną. — Potem zwrócił się do swego adiutanta: — Ponieważ już mówiłem o jedzeniu, więc urządzmy sobie mały piknik jak dwoje grzecznych dzieci. Proszę mi przynieść tu stół, ze dwanaście potraw i dużo szampana, a wówczas pod kołyszącymi się gałęzmi tych drzew powrócimy do natury, Bowler.

Prawie godzinę zabrało urządzenie skromnego posiłku dla króla na Holland Lane, a on tymczasem przechadzał się tam i na powrót, co prawda gwiżdżąc, lecz z miną nieudawanej melancholii. Szczerze dolegało mu to, że pozbawiono go przyjemności, którą sobie obiecywał, czuł bolesną pustkę jak dziecko, które ominęła ulubiona pantomina. Gdy jednak zasiadł do stołu w towarzystwie adiutanta i gdy wypił z nim większą ilość szampana, powoli zaczął odzyskiwać dawny humor.

— Jak wszystko idzie wolno na tym świecie — zauważył. — Nie cierpię tej całej gadaniny Barkera o ewolucji stopniowej modyfikacji rzeczy. Chciałbym, żeby świat został stworzony w sześciu dniach i znów rozwalony w drugich sześciu. I ja sam chciałbym to zrobić. Ogólnie biorąc, ten cały żart nie jest taki zły, na przykład to słońce, ten księżyc, ten obraz Boga i tak dalej, i tak dalej, ale wszystko trwa już tak diabelnie długo. Czyś ty kiedyś tęsknił za cudem, Bowler?

— Nie, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Bowler, który był ewolucjonistą i otrzymał staranne wychowanie.

— A ja tak — odpowiedział król. — Przechadzałem się nieraz po ulicach z najlepszym na świecie cygarem w ustach i z taką ilością burgunda w żołądku, jakiej nie widziałeś w życiu, i marzyłem, aby nagle latarnia gazowa zamieniła się w słońce, żeby uratować mnie od piekielnie jałowego istnienia. Ufaj mi, mój ewolucyjny Bowlerze, a nie wierz tym, którzy ci mówią, że ludzie szukali znaków i wierzyli w cuda z powodu swej ignorancji. Wierzyli w cuda, ponieważ byli mądrzy, okropnie, nikczemnie mądrzy, za mądrzy, aby cierpliwie jeść, pić i wkładać buty. To wprost urocze, zupełnie jak nowa teoria pochodzenia chrystianizmu, co zresztą nie byłoby tak całkiem absurdalne. Napijmy się jeszcze wina.

Gdy tak siedzieli przy małym stoliku nakrytym białym obrusem i zastawionym błyszczącymi kielichami, wiatr owiewał ich i poruszał gałęzmi wielkich drzew Holland Parku. Lecz słońce świeciło tak silnie, że zamieniało zieleń w złoto. Król odsunął talerzyk, zapalił powoli cygaro i mówił dalej:

— Wczoraj miałem już wrażenie, że coś naprawdę zabawnego może mi się przytrafić, zanim wyciągnę nogi. Ujrzeć tego szaleńca z czerwonymi włosami wymachującego mieczem i zwracającego się z płomiennym wezwaniem do swych nieporównanych towarzyszy, to byłoby ujrzeć tę krainę młodości, z której wygnały nas Parki. Ułożyłem sobie wszystko wprost nadzwyczajnie. Na przykład kongres w Knightobridge, zawarcie traktatu pokojowego i ja na tronie, a jeszcze może coś w rodzaju triumfu rzymskiego z tym poczciwym starym Barkerem prowadzonym w łańcuchach. A teraz ci żałośni pedanci unicestwili tego wybornego pana Wayne, i na swój przekłety, humanitarny sposób zamkną go pewnie w jakimś prywatnym domu wariatów. Pomyśl tylko, ile skarbów będzie przez niego codziennie marnowanych, rozsypanych przed dozorcą, który ich nawet ocenić nie potrafi. Ciekawym, czy nie pozwoliłby mi być jego dozorcą... Ale życie jest pokorą. Nigdy i w żadnym momencie życia nie zapominaj, że trzeba patrzeć na swoją egzystencję jako na pokorę. Jeżeli się nie nabędzie wcześniej tego wdzięcznego zwyczaju...

Trzymając wysoko cygaro król urwał nagle i ze zdumieniem zaczął pilnie nasłuchiwać. Przez kilka chwil siedział nieruchomo; nagle gwałtownym ruchem spojrzął na cienkie, wysokie deski parkanu, który oddzielał rozległe ogrody i inne posiadłości od ulicy. Zza parkanu dochodziły dziwne jakieś odgłosy skrobania i drapania, jak gdyby jakieś zrozpaczone stworzenie miało się po tym pudełku z cienkiego drewna. Król odrzucił cygaro i wskoczył na

stół. Z tej wysokości dojrzał parę rąk uczepionych rozpaczliwie wierzchołka płotu. Ręce były wyprężone w konwulsyjnym wysiłku, aż wreszcie ukazała się oszalała ze strachu wąsata twarz jednego z radców municypalnych Bayswateru. Przesadził płot i upadł po drugiej stronie, jęcząc głośno i bez przerwy. W tej chwili cienki płot wydał dźwięczny odgłos, jak gdyby uderzyła weń kula, a zaraz potem ogrodzenie przesadziło naraz dwudziestu ludzi, przeklinających i popychających się, w podartych ubraniach, z połamanymi paznokciami i pokrwawionymi twarzami. Król zeskoczył na ziemię o pięć stóp od stolika. W następnej chwili stół został przewrócony, butelki i szklanki porozlatywały się, a szczątki ich zostały literalnie zmiecione przez potok ludzi, który rwał naprzód zagarniając ze sobą Bowlera „niby uprowadzoną oblubienicę”, jak się wyraził król w swoim sławnym artykule prasowym. Wielki parkan zachwiał się i pękł pod naporem ludzi, którzy wciąż wspinali się i zeskakiwali. Przez ogromne dziury wyrwane tymi żywymi pociskami król widział niby we śnie coraz więcej oszalałych twarzy i coraz więcej nadbiegających mężczyzn. Byli oni tak rozmaici, jak gdyby ktoś uniósł pokrywę od ludzkiego śmietnika. Niektórzy byli nietknięci, niektórzy ranni, pobici i pokrwawieni, niektórzy byli poubierani wspaniale, inni oberwani i na wpół nadzy, niektórzy mieli na sobie fantastyczne szaty groteskowych przedmieść, inni byli odziani w najnudniejsze ubrania współczesne. Król przyglądał się wszystkim, ale nikt z nich nie patrzył na króla. Nagle wysunął się naprzód.

— Barker — zapytał — co to ma znaczyć?

— Jesteśmy pobici! — zawołał polityk. — Pobici na łeb i szyję. — I ruszył dalej, rozdymając nozdrza jak koń, a za nim pędziło coraz więcej ludzi.

W tym momencie ostatnia stojąca jeszcze część płotu nachyliła się i pękła, niby z procy wyrzucając na drogę nową postać. Człowiek ten miał na sobie płomiennie czerwony strój halabardników z Notting Hill, krew była na jego orężu, a na twarzy zwycięstwo. Jeszcze chwila i oto masa szkarłatu zapłonęła pomiędzy szczątkami parkanu a ścigający z halabardami w rękach sypnęli się wzdłuż ulicy. Ścigający i ścigani przemknęli przed małym człowiekiem, który w osłupieniu przyglądał się całej scenie wciąż trzymając ręce w kieszeniach.

Król czuł się jak człowiek porwany prądem — miał wrażenie, że ludzie przepływają obok niego. Wtem zdarzyło się coś, czego nie potrafił później opisać i czego my nie czujemy się na siłach opisać za niego. Nagle na tle ciemnego otworu wyłamanej bramy ogrodu zajaśniała ognista postać.

Z odrzuconą w tył głową, ze swoją lwią grzywą, wznosząc ku niebu ostrze wielkiego miecza, stał tam Adam Wayne, zwycięzca, a szkarłatne szaty jego rozwiewały się za nim niby skrzydła archanioła.

I król, nie wiedząc dlaczego, ujrzał w nim coś nowego, coś zniewalającego. Zielone gałęzie wielkich drzew i wspaniałe czerwone szaty chwiały się na wietrze w zgodnym rytmie, a jego miecz wydawał się być zrobiony z promienia słonecznego. Niedorzeczna maskarada, zrodzona z szyderstwa króla, przerosła go nagle i zdawała się obejmować cały świat. Oto normalne życie, oto zdrowy rozsądek, oto natura; a on sam ze swoim racjonalizmem, ze swoją obojętnością i swoim długim czarnym surdudem był wyjątkiem, był przypadkiem, jakąś czarną plamką na złocistym i szkarłatnym świecie.



# CZEŚĆ CZWARTA

## Rozdział I

### BITWA LATARNI

Pan Buck, aczkolwiek wycofał się już z interesów, często odwiedzał swój wielki sklep tekstylny przy High Street w dzielnicy Kensington. Tego wieczoru wychodząc ze sklepu ostatecznie zamykał drzwi na klucz. Był przepyszny szmaragdowy i złoty wieczór, ale to go niewiele obchodziło. Gdyby mu jednak ktoś zwrócił na to uwagę, przytaknąłby poważnie, gdyż ludzie bogaci mają pretensję do odczuwań artystycznych.

Wyszedł więc ze sklepu na świeże powietrze, zapinając jasnożółte palto i otaczając się kłębamii dymu z cygara, gdy nagle podbiegła do niego jakaś druga postać, również w żółtym palcie, tylko rozpiętym i o rozwianych połach.

— Halo, Barker — odezwał się sukiennik. — Chciałeś coś sobie kupić na lato? Już za późno. Zarządzenie o ograniczeniu czasu pracy, mój drogi. To się nazywa postęp i humanitarność, chłopcze.

— Och, nie pleć, proszę cię — przerwał Barker, tupiąc niecierpliwie nogą. — Zostaliśmy pobici.

— Pobici... przez co? — spytał Buck, nie rozumiejąc.

— Przez Wayne'a.

Buck spojrzał na dziką, pobladłą twarz Barkera, którą dopiero w tej chwili ujrzał wyraźnie w świetle latarni.

— Chodź napić się czegoś — zaproponował.

Weszli do przytulnej i dobrze oświetlonej restauracji, a Buck, usadowiwszy się wygodnie i starannie w miękkim fotelu, wyciągnął z kieszeni papierośnicę.

— Zapalmy — zaproponował.

Barker stał dotychczas bardzo wzburzony, lecz po chwilowym wahaniu usiadł, ale w taki sposób, jak gdyby za chwilę miał zerwać się z miejsca. Zamówili coś do picia i czekali w milczeniu.

— Jakże to się stało? — zapytał wreszcie Buck patrząc badawczo na towarzysza.

— Skądże ja, u diabła, mogę wiedzieć? — wykrzyknął Barker. — Wszystko to się stało jakby... jakby we śnie. Jak może dwustu ludzi pobić sześciuset? Jak może, pytam?

— No, chyba ty powinieneś najlepiej wiedzieć — odparł Buck chłodno.

— Ja nie wiem, nie potrafię tego opisać — rzekł tamten bębniąc palcami po stole. — Zdaje mi się, że się odbyło mniej więcej tak: było nas sześciuset i szliśmy z tymi przeklętymi halabardami, wymyślonymi przez Oberona; innej broni nie mieliśmy. Szliśmy dwójkami. Weszliśmy na Holland Walk i szliśmy pod górę, wzdłuż tych wysokich parkanów, które, jak mi się zdawało, prowadziły prosto jak strzała do ulicy Pompy. Ja szedłem na końcu kolumny, która była bardzo długa. Podczas gdy jej ogon był jeszcze między wysokimi parkanami, czoło już mijało Holland Park Avenue. Potem czoło kolumny zanurzyło się w sieć wąskich uliczek po drugiej stronie Holland Parku, a ogon, i ja z nim razem, znalazł się tymczasem na skrzyżowaniu. Skoro my również przeszliśmy na stronę północną i skręciliśmy w małą uliczkę, która jakimiś fantastycznymi meandrami wiodła nas ku ulicy Pompy, postać rzeczy zmieniła się. Uliczki tak się kręciły, że czoło naszego pochodu zgubiło się zupełnie, i równie dobrze

mogło być sobie w Północnej Ameryce. A przez cały czas nie widzieliśmy ani żywej duszy.

Buck, który dotychczas strząsał bezmyślnie popiół z cygara na popielniczkę, zaczął teraz rysować nim po stole, kreśląc strzępiastymi, popielatymi liniami coś w rodzaju mapy.

— Ale — ciągnął Barker — chociaż te małe uliczki były zupełnie opuszczone (co mi nawet działało trochę na nerwy), gdyśmy się w nie zapuszczali coraz głębiej, zaczęło się dziać coś, czego nie mogłem zrozumieć. Od czasu do czasu, daleko przed nami, gdzieś za trzecim zakretem, wybuchał nagle jakiś dziwny hałas, szcęk, zmieszane krzyki, które również nagle ustawały. I za każdym razem, gdy hałas się zaczynał, przez naszą kolumnę przelatywało jakieś drzenie, jakieś chwanie się, jak gdyby kolumna była żywą istotą, którą coś trafiło w głowę albo poraził ją prąd elektryczny. Nikt z nas nie wiedział, dlaczego wciąż idziemy naprzód, ale szliśmy i popychaliśmy idących przed nami. Po chwili wracał spokój i pochód przez brudne ciasne uliczki i zakręty trwał. Te małe kręte uliczki zaczęły wywoływać we mnie uczucie, którego nie umiem wypowiedzieć, miałem wrażenie, że śnię. Wydawało mi się, że wszystko straciło swój sens i że my nigdy nie wyjdziemy z tego labiryntu. To śmieszne, że mówię w ten sposób, nieprawdaż? Przecież wszystkie te uliczki były doskonale znane, każdą z nich można odnaleźć na planie miasta. Tym niemniej, fakt pozostaje faktem. Nie bałem się tego, że coś się stanie, bałem się tego, że nic się nigdy nie zdarzy — nigdy nic, przez wieczność nic!

Wyprowadził szklanę i zamówił jeszcze whisky. Wypił i mówił dalej:

— I wtedy właśnie zaszło coś, Buck, powiadam ci uroczyście, że nic takiego jeszcze ci się dotychczas w życiu nie zdarzyło. Mnie też nigdy nic takiego się nie zdarzyło.

— Nic nigdy się nie zdarzyło? — powtórzył Buck zdumiony. — Co rozumiesz przez to?

— Nic nigdy się nie zdarzyło — powtórzył Barker z jakimś chorobliwym uporem. — Ty nie masz pojęcia, co to jest, jak się coś zdarzy. Siedzisz sobie w swoim biurze, spodziewając się klientów i klienci przychodzą; przechadzasz się po ulicy, spodziewając się spotkać przyjaciół i spotykasz przyjaciół; chce ci się pić i pijesz; przychodzi ci chętka założyć się o coś i zakładasz się. Spodziewasz się wygrać albo przegrać i rzeczywiście spotyka cię jedno albo drugie. Ale gdy się coś zdarzy!... — wstrząsnął nim nagły dreszcz.

— Mów dalej! — rzekł Buck krótko. — Mówże dalej.

— Kiedy tak bardzo już znużeni skręciliśmy właśnie, po raz nie wiem który z ulicy w ulicę, nagle zdarzyło się coś. Jeżeli się coś zdarza, to najpierw się staje, a potem dopiero spostrzega się to. Staje się samo z siebie i ty nie masz z tym nic wspólnego. Ten proces dowodzi rzeczy strasznej — a mianowicie, że oprócz nas istnieją jeszcze inne czynniki. Nie umiem inaczej wyrazić się. A więc skręciliśmy na jednym rogu, na drugim, na trzecim, czwartym, piątym... A potem nagle poczułem, że podnoszę się i wstaję powoli, gdyż przed chwilą ciśnięto mnie na wpół nieprzytomnego w rynsztok i w tej chwili znowu zostałem zwalony z nóg przez spadających na mnie żywych ludzi, cały świat przepełniony był rykiem silnych mężczyzn przewracających się jak kręgle.

Buck ze ściągniętymi brwiami patrzył na swoją mapę.

— Czy to było na Portobello Road? — zapytał.

— Tak — odrzekł Barker — na Portobello Road. Później to zauważyłem, ale, mój Boże, co się wtedy tam działo! Buck, czy doświadczyłeś kiedy tego, żeby człowiek wzrostu sześć stóp bił cię po głowie sześciostopową tyką z sześcioma funtami żelaza na końcu? Bo jeżeli doświadczyłeś tego, to powiesz, jak Walt Whitman, że teraz musisz na nowo przewartościować filozofie i religie.

— Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, co się stało — rzekł Buck. — Jeżeli to była Portobello Road, to czyż nie rozumiesz, co się zdarzyło?

— Doskonale rozumiem, co się zdarzyło. Zwalono mnie z nóg cztery razy, a takie doświadczenie wywiera wpływ na postawę umysłową. I jeszcze coś się stało. Ja sam zbiłem z

nóg dwóch ludzi. Po czwartym upadku (a nie było wielkiego rozlewu krwi, tylko brutalne popychanie się i przewracanie, bo nikt nie mógł użyć broni), po czwartym upadku, powiadam, podniosłem się, wściekły jak diabeł, wyrwałem komuś halabardę i zacząłem walić wszędzie, gdzie zobaczyłem szkarłatną barwę ludzi Wayne'a, raz, drugi i znowu, i znowu. Dwóch z nich, dzięki Bogu, przewróciło się krwawiąc na kamienie; zaśmiałem się i znów leżałem w rynsztoku, znów wstałem, uderzyłem i złamałem halabardę w kawałki, ale komuś dobrze dałem w głowę.

Buck ze stukiem postawił szklanę, mamrocząc przekleństwa pod gęstymi węsami.

— O co ci chodzi? — spytał Barker, przerywając opowiadanie, bo jego towarzysz, który dotychczas był tak spokojny, teraz wydawał się więcej wzburzony niż on sam.

— O co chodzi? — rzekł pan Buck gorzko. — Czyż nie widzisz, że ci maniacy wykiwali nas? Jak może dwóch idiotów, z których jeden jest kłownem, a drugi niebezpiecznym wariatem, jak może tak dalece odmienić rozsądnych ludzi? Posłuchaj mnie, Barker, pokażę ci taki obrazek: bardzo dobrze wychowany współczesny człowiek, w czarnym surducie, skacze jak opętany, w rękach trzymając jakąś niedorzeczną halabardę z XVII wieku, którą usiłuje zabijać ludzi na jakiejś zakazanej uliczce Notting Hillu. Bodaj to diabli wzięli! Czyż nie widzisz, jak oni nas wykiwali? Wszystko mi jedno, co czułeś w owej chwili; tak właśnie wyglądałeś. Król, gdyby to widział, przekrzywiłby na bok swoją przeklętą głowę i uznałby to za wspaniały żart. A burmistrz z Notting Hill podniósłby do góry swój przeklęty nos i oświadczył, że to jest bohaterstwo. Ale powiedz mi, na Boga, jakbyś ty sam to nazwał jeszcze dwa dni temu?

Barker przygryzł wargi.

— Nie przeszedłeś przez to, Buck — rzekł. — Nie możesz zrozumieć walki... tej atmosfery...

— Nie zaprzeczam istnienia specjalnej atmosfery — odrzekł Buck, uderzając pięścią w stół. — Powiadam tylko, że to jest ich atmosfera. To jest atmosfera Adama Wayne. To jest atmosfera, o której myśleliśmy ty i ja, że znikła raz na zawsze z cywilizowanego świata.

— Otóż nie znikła — odpowiedział Barker — a jeżeli kołaczą ci się jakieś wątpliwości, pożycz mi halabardy, a przekonam cię.

Nastąpiło długie milczenie, a potem Buck zwrócił się do swego towarzysza i przemówił tym dobrodusznym tonem, właściwym człowiekowi, który umie spojrzeć faktom w oczy, tonem, jakiego używał przy zawieraniu bardzo korzystnych dla siebie umów.

— Barker — rzekł — masz rację. Ta stara sprawa — walka — powróciła znowu. Powróciła nagle i zaskoczyła nas. I pierwsze zwycięstwo przypadło Adamowi Wayne. Ale jeżeli rozsądek, arytmetyka i inne pewniki nie zwariowały jeszcze, to następne i ostatnie zwycięstwo musi przypaść nam. Ale skoro naprawdę zatarg już powstał, to pozostaje nam tylko jedno: przestudiować ten zatarg jako taki i wygrać sprawę. Muszę poznać walkę tak spokojnie i gruntownie, jak znam towary łokciowe. Ty musisz poznać walkę tak spokojnie i gruntownie, jak znasz politykę. Teraz przyjrzyjmy się faktom. Ja bez żadnego wahania trzymam się swojej pierwotnej tezy. Walka, gdy mamy większe siły, staje się tylko kwestią arytmetyki. Tak być musi. Pytałeś mnie przed chwilą, jak to się mogło stać, że dwustu ludzi pobiło sześciuset? Mogę ci na to odpowiedzieć. Dwustu ludzi może pobić sześciuset, jeżeli tych sześciuset zachowuje się jak banda głupców. Jeżeli zapominają o rzeczywistych warunkach, w których walczą; jeżeli na błotach walczą tak jak w górach; jeżeli w lesie walczą tak jak na otwartej równinie. Jeżeli na ulicach walczą, nie pamiętając o przeznaczeniu ulic.

— Jakież jest przeznaczenie ulic? — spytał Barker.

— Jakież jest przeznaczenie kolacji? — krzyknął Buck z wściekłością. — Czyż to nie jasne? Sztuka wojskowa jest to po prostu zdrowy rozsądek. Przeznaczeniem ulicy prowadzić z jednego miejsca na drugie. Dlatego wszystkie ulice łączą się z innymi, dlatego walka na ulicach jest rzeczą zupełnie specjalną. Zagłębiliście się w ten labirynt ulic, jak gdybyście szli

otwartym polem, gdzie wszystko widać jak na dłoni. Tymczasem zagłębialiście się w środek fortecy, gdzie uliczki ze wszystkich stron godziły prosto w was, zwracały się przeciwko wam, wyskakiwały na was, a wszystkie były w ręku nieprzyjaciela. Czy ty wiesz, co to jest Portobello Road? To jedyny punkt na całej długości waszej drogi, gdzie dwie uliczki boczne spotykają się, wychodząc z dwóch stron jedna naprzeciw drugiej. Wayne zgromadził swoich ludzi po obu stronach, a przepuściwszy odpowiednią część waszej kolumny, przeciął ją na dwoje jak robaka. Czyż jeszcze nie rozumiesz, co mogło was ocalić?

Barker potrząsnął głową.

— Czyż twoja sławetna „atmosfera walki” nie może ci pomóc? — zapytał Buck gorzko. — Czy muszę dawać ci objaśnienia na sposób romantyczny? Przypuść, że podczas tej zapamiętałej walki z czerwonymi Notting-Hillczykami, nagle słyszycie za ich plecami przyjacielskie okrzyki. Przypuść, o romantyczny Barkerze, że za czerwonymi mundurami nieprzyjaciół spostrzegacie błękitne i złote uniformy Południowego Kensingtonu, atakujące ich z tyłu, otaczające i spychające ich prosto na wasze halabardy.

— Gdyby to było możliwe — powiedział z przekleństwem Barker.

— To było możliwe — odrzekł Buck krótko — i było tak proste jak arytmetyka. Jest pewna liczba uliczek, wychodzących na ulicę Pompy. Nie może ich tam przecież być dziewięćset, nie może ich być dziewięć milionów. Nie porodziły się przez noc. Nie rosną jak grzyby. Z tak przygniatającą przewagą liczebną jak nasza można posuwać się naprzód wszystkimi uliczkami jednocześnie. W każdej z tych arterii albo podejść możemy wystawić prawie tyłu ludzi, ilu Wayne może w ogóle przygotować do walki. Uczyniwszy to, możemy przeprowadzić dowód naszego rozumowania. To tak jasne i pewne jak twierdzenie Euklidesa.

— Ty uważasz, że to jest pewne — powiedział Barker z wahaniem, lecz czując z rozkoszą, że jest zwyciężony.

— Powiem ci, co myślę — odrzekł jowialnie Buck, wstając z miejsca. — Myślę, że Wayne pokierował tą małą bitwą bardzo dzielnie i że diabelnie mi go żal.

— Buck! Ty jesteś wielkim człowiekiem — zawołał Barker, również powstając. — Sprowadziłeś mnie z powrotem na drogę zdrowego rozsądku. Wstyd mi przyznać się do tego, ale zaczynałem już stawać się romantykiem. Lecz to, co ty mówisz ma w sobie siłę rozsądku, twardego jak skała. Walka jest czynnością fizyczną, więc musi podlegać prawom matematyki. Daliśmy się pobić, ponieważ nie liczyliśmy się ani z matematyką, ani z fizyką, w ogóle, ponieważ zasługiwaliśmy na to, żeby nas pobić. Obsadźmy wszystkie przejścia, a przy naszej sile fizycznej musimy pokonać tego Wayne'a. Kiedy rozpoczynamy kampanię?

— Zaraz — odpowiedział Buck i wyszedł z baru.

— Zaraz! — wykrzyknął Barker, wychodząc za nim ochoczo. — Czyż naprawdę myślisz, żeby zaraz? Jest już tak późno!

Buck odwrócił się do niego i tupnął nogą.

— Czy sądzisz, że wojna podlega zarządzeniom o czasie pracy? — zapytał i skinął na dorożkę. — Na stację Notting Hill Gate — wydał polecenie i razem odjechali.

Niekiedy wystarcza godzina czasu, ażeby zdobyć sobie ogólne poważanie. Buck w ciągu najbliższych sześćdziesięciu czy osiemdziesięciu minut okazał się naprawdę wielkim człowiekiem czynu. Dorożka przewoziła go lotem strzały od króla do Wilsona, od Wilsona do Swindona, od Swindona znowu do Barkera. Jego pełna załamania droga przypominała zygzaki błyskawicy. Dwie rzeczy tylko woził ze sobą: nieodstępne cygaro oraz mapę Notting Hillu i Północnego Kensingtonu.

Niezmordowanie powtarzał, przechodząc od łagodnej perswazji do gwałtowności, że na ulicę Pompy prowadzi dziewięć możliwych dróg w promieniu ćwierć mili, licząc w to trzy uliczki, które idą z Westbourne Grove, dwie wychodzące z Lanbroke Grove i cztery z Notting Hill High Street. I zanim ostatnie szmaragdowe refleksy tego dziwnego zachodu słońca pog-

sły na czarnym niebie, miał ustawione oddziały po dwustu ludzi na każdej z tych uliczek.

Niebo rzeczywiście było osobiście czarne i tylko z tego powodu podniesiono niesłuszny protest przeciwko triumfującemu optymizmowi burmistrza Północnego Kensingtonu. Lecz on zbył to swoim zaraźliwym zdrowym rozsądkiem.

— Taka rzecz jak noc nie egzystuje wcale w Londynie — dowodził. — Wystarczy nam iść wzdłuż linii latarni. Patrzcie, oto jest mapa. Dwustu fioletowych żołnierzy z Północnego Kensingtonu pod moim dowództwem przejdzie przez Ossington Street, dwustu innych pod kapitanem Bruce z gwardii Północnego Kensingtonu przejdzie przez ogrody Clarincarde, łączące się przez ulicę Pompy z Pembridge Square. Dwustu żółtych z Zachodniego Kensingtonu pod wodzą burmistrza Swindona zaatakują ich przez Pembridge Road. Jeszcze dwustu moich ludzi zaatakują ich jednocześnie przez wschodnie uliczki wychodzące z Queen's Road. Dwa oddziały żółtych wejdą dwiema uliczkami od Westbourne Grove. Wreszcie dwustu zielonych żołnierzy z Bayswater wejdzie z północy, przechodząc przez Chepstow Place i jeszcze dwustu pod rozkazami samego burmistrza Wilsona przez górną część Pembridge Road. Panowie, to będzie mat w dwóch posunięciach. Nieprzyjaciel musi albo zgromadzić się na ulicy Pompy i wtedy posiekamy go na kawałki, albo musi wycofywać się wzdłuż budynków gazowni, a wówczas trafi na moich czterystu ludzi; albo wreszcie może wycofywać się obok kościoła św. Łukasza i wówczas wpadnie na sześciuset ludzi, idących od zachodu. Jeżeliśmy wszyscy nie powariowali, to chyba sytuacja jest jasna. A więc dalej w drogę! Każdy na swój posterunek i czekać aż kapitan Bruce da hasło do marszu. Wtedy niech tylko wszyscy idą wzdłuż linii latarni gazowych, a położymy wreszcie kres temu szaleństwu za pomocą czysto matematycznego wyliczenia. Jutro zaś wszyscy na powrót staniemy się cywilami.

Optymizm jego płonął jak wielkie ognisko wśród nocy i udzielił się temu straszemu pierścieniowi, w którym Wayne był teraz bezradnie uwięziony. Bitwa była już skończona. Energia pojedynczego człowieka w godzinę ocaliła miasto od wojny domowej.

Przez następne dziesięć minut Buck przechadzał się w milczeniu tam i na powrót, a jego oddział stał nieruchomo. Nie zmienił stroju, tylko na swój piaskowy płaszcz założył pas z rewolwerem w futerale. W ten sposób jego lekko ubrana nowoczesna postać tworzyła dziwny kontrast ze wspaniałymi fioletowymi uniformami halabardników, które posępną lecz intensywną barwą przesyciły mrok uliczny.

Nareszcie ostry dźwięk trąbki zabrzmiał gdzieś w oddaleniu; był to znak do wymarszu. Buck dał komendę, i cała fioletowa kolumna z niewyraźnie połyskującą bronią zaczęła posuwać się boczną uliczką. Przed nimi widniała ulica falista, długa, jaśniejąca w ciemności. Był to miecz wymierzony prosto w ulicę Pompy, w to serce, w które tej nocy zostało skierowane dziewięć innych mieczów.

Po kwadransie milczącego marszu doszli na odległość głosu do przeznaczonej na zagładę fortecy. Ale nadal nie było słychać ani widać nieprzyjaciela. Wiedzieli, że tym razem otaczają go naprawdę, szli to w świetle latarni, to w mroku bez tego niesamowitego uczucia nieświadomości, jakiego doznał poprzednio Barker, gdy wkraczał w nieprzyjacielski kraj tylko jedną drogą.

— Stój! Gotuj broń! — wykrzyknął nagle Buck i jeszcze nie skończył mówić, gdy usłyszano wyraźnie odgłos szybkich kroków po bruku. Lecz na próżno nastawiono halabardy. Osobnik, który przybiegł do nich w pośpiechu był gońcem, wyprawionym przez oddział północny.

— Zwycięstwo! — wołał bez tchu prawie. — Zwycięstwo, panie Buck! Są przepędzeni! Burmistrz Wilson z Bayswateru zajął ulicę Pompy!

Buck w podnieceniu podbiegł do niego.

— A więc którędy oni wycofują się? Na pewno albo obok św. Łukasza, gdzie spotkają się z Swindonem, albo obok gazowni i spotkają się z nami. Biegnij ze wszystkich sił i uważaj, aby żółci utrzymali ulicę koło św. Łukasza. My wytrwamy tutaj, nie ma obawy. Mamy ich w

żelaznej pułapce. Leć!

Gdy posłaniec zniknął w ciemnościach, doborowa gwardia Północnego Kensingtonu zaczęła znowu posuwać się naprzód z nieubłaganą siłą maszyny. Lecz o sto jardów dalej linia nastawionych halabard zabłyśła w świetle gazowym, gdyż znowu usłyszano szybkie kroki, ale i tym razem był to tylko goniec.

— Panie burmistrzu! — rzekł. — Żółta gwardia Zachodniego Kensingtonu już od dwudziestu minut, to jest od zajęcia ulicy Pompy, obsadza ulicę przy kościele św. Łukasza. Ulica Pompy leży o niecałe dwieście jardów stamtąd. Nie podobna więc, żeby nieprzyjaciel wycofał się tą ulicą.

— A więc najwidoczniej wycofują się w naszą stronę — zawołał burmistrz Buck rozpromieniony — na szczęście, uliczka ta, chociaż kręta, jest dobrze oświetlona. Naprzód!

Gdy przebywali ostatnie trzysta jardów, Buck, może pierwszy raz w życiu, pogrążył się w jakichś rozmarzonych medytacjach filozoficznych; bo powodzenie zawsze nastraja ludzi tego pokroju łagodnie, a nawet melancholijnie.

Żał mi tego biednego Wayne'a, doprawdy, żał mi go — myślał. — Tak świetnie ujął się za mną na posiedzeniu Rady. A temu staremu Barkerowi z dużym temperamentem podbił oko. Ale doprawdy nie widzę, jakich sukcesów mógłby się spodziewać człowiek, który ma przeciwko sobie arytmetykę, nie mówiąc już o cywilizacji. I cóż to za blaga ten tak zwany geniusz wojskowy. Zdaje mi się, że zrobiłem to samo odkrycie, co w swoim czasie Cromwell, a mianowicie, że dobry kupiec jest najlepszym generałem i że człowiek, który może kupować i sprzedawać ludzi, potrafi kierować nimi i zabijać ich. Jest to tak proste jak sumowanie kolumny cyfr w księdze buchalteryjnej. Jeżeli Wayne ma do dyspozycji wszystkiego dwustu ludzi, to nie podobna, aby ich mógł rozmieścić w dziewięciu na raz miejscach. Skoro wypędzono ich z ulicy Pompy, to jasne jest, że muszą któreś uciekać. Jeżeli nie wycofują się koło kościoła, to muszą wycofywać się koło gmachów gazowni. A w takim razie mamy ich. My, ludzie interesów, nie mielibyśmy żadnych szans, gdyby nie to, że ludzie inteligentniejsi od nas dostają bzika, który uniemożliwia im właściwe rozumowanie, a więc rozumiemy tylko my. I tak, na przykład ja, który jestem względnie głupi, widzę rzeczy tak jak należy, jak je widzi Bóg, który patrzy na świat niby na olbrzymią maszynę. Ale, mój Boże, co to jest? — Buck podniósł ręce do oczu zataczając się w tył.

A po chwili w ciemnościach rozległ się jego okropny krzyk:

— Czy bluźniłem przeciwko Bogu? Straciłem wzrok.

— Co to? — jęknął ktoś za nim, był to głos niejakiego Wilfryda Jarvisa z Północnego Kensingtonu.

— Oślepiłem! — krzyknął znowu Buck. — Jestem ślepy!

— Ja także! — wołał Jarvis z rozpaczą.

— Wariaci jesteście — zagrzmał jakiś gruby głos za nimi. — Wszyscy jesteście ślepi. Latarnie zgasły!

— Latarnie zgasły? — zawołał Buck odwracając się z wściekłością. — Ale dlaczego? Jakim sposobem? Jakże teraz pójdziemy naprzód? Jakże będziemy mogli ścigać nieprzyjaciela? I gdzie on się podział?

— Nieprzyjaciel... — odezwał się znowu gruby głos i urwał, jak gdyby z wahaniem.

— Gdzie on jest? — ryczał Buck tupiąc nogą jak wściekły.

— Przeszedł obok budynków gazowni i wykorzystał swoją jedyną szansę.

— Wielki Boże! — zawołał Buck, chwytając rewolwer — sądźcie więc, że oni zgasi-li...

Ale zanim dokończył zdania, został rzucony niby kamień z procy między własnych ludzi.

— Notting Hill! Notting Hill! — rozległy się straszliwe głosy w ciemnościach, a zdawało się, że odzywają się ze wszystkich stron na raz, gdyż ludzie z Północnego Kensingtonu, nie

znając drogi, oślepieni ciemnością, stracili zupełnie orientację.

— Notting Hill! Notting Hill! — krzyčili niewidzialni ludzie rąbiąc napastników niewidoczną bronią, bronią, która me dawała żadnego odbłasku.

Buck, aczkolwiek poważnie zraniony halabardą zachował wściekły, lecz doskonały rozsądek. Po omacku zapamiętał szukał muru i znalazł go w końcu. Następnie, macając po nim palcami, doszedł wreszcie do bocznego wylotu ulicy, przez który wycofał się z resztą swych ludzi. Nie podobna opisać, jakie były ich dalsze przygody podczas tej niesamowitej nocy. Nie mieli pojęcia, czy się zbliżają, czy oddalają od nieprzyjaciela. A ponieważ nie wiedzieli, ani w jakim miejscu sami znajdują się, ani gdzie jest nieprzyjaciel, więc czystą ironią byłoby zapytywać się, gdzie jest reszta armii. Bo spadła na nich rzecz zupełnie nieznaną w Londynie — absolutna ciemność, taka, jaka musiała panować na świecie, zanim gwiazdy zostały stworzone, a oni gubili się w niej, jak gdyby stworzeni zostali przed gwiazdami. Od czasu do czasu, podczas tych okropnych godzin, natrafiali na jakichś ludzi, którzy ich bili i których oni bili z idiotyczną zaciekłością. Wreszcie, gdy szary świt rozjaśnił cokolwiek niebo, okazało się, że są z powrotem na Uxbridge Road. Wtedy przekonali się, że podczas tych strasznych spotkań na ślepo ludzie z Północnego Kensingtonu, z Bayswater i z Zachodniego Kensingtonu często wzajemnie się masakrowali, przyszła też wiadomość, że Adam Wayne tymczasem zabarykadował się na ulicy Pompy.

## Rozdział II

### KORRESPONDENT „DZIENNIKA DWORSKIEGO”

Jak tyle innych rzeczy w Anglii, tak i dziennikarstwo pod ostrożnym kierunkiem rządu i filozofii reprezentowanej przez Jamesa Barkera, stało się cokolwiek ospałe, a znaczenie jego zmniejszyło się bardzo. Działo się to częściowo z tego powodu, że przestał istnieć rząd wielopartyjny oraz publiczne debaty, jak częściowo dzięki temu, że wskutek kompromisu i całkowitej bierności stały się niemożliwe wojny między państwami; najważniejszą jednak przyczyną był oczywiście nastrój całego narodu, który trwał w stanie stagnacji. Najbardziej poczytnym z wszystkich gazet był Dziennik Dworski, wydawany w zakurzonej, lecz dystyngowanym lokalu tuż przy Kensington High Street. Gdy wszystkie dzienniki w całym kraju stawały się z każdym rokiem coraz nudniejsze, coraz bardziej uroczyste i nastrojowo optymistyczne, oczywista, że musiał zwyciężyć ten, który był najnudniejszy, najbardziej uroczysty i optymistyczny. I w konkurencji wszystkich dzienników, jaka się wywiązała w dwudziestym wieku, Dziennik Dworski wyszedł ostatecznym zwycięzcą.

Nie wiadomo z jakich tajemniczych powodów król bardzo lubił kręcić się w redakcji Dziennika Dworskiego, palić tam swe poranne papierosy i przeglądać teczki. Jak wszyscy z natury beczynni ludzie, lubił przebywać i gawędzić w miejscach, gdzie inni pracują. Ale niewątpliwie nawet w ówczesnej prozaicznej Anglii mógłby znaleźć środowisko bardziej pracowite.

Jednakże tego właśnie ranka wyszedł z Kensingtonskiego pałacu krokiem szybszym i z miną bardziej zaaferowaną niż zwykle. Miał na sobie przesadnej długości surdut, bladezieloną kamizelkę, bardzo szeroki czarny krawat i mocno żółte rękawiczki. Był to uniform pułkownika I pułku Zielonych Dekadentów, który sam stworzył. Piękny to był widok, kiedy król odbywał ćwiczenia ze swoim oddziałem. Pałac papierosa, przeszedł szybko przez park i High Street i otworzył drzwi do redakcji Dziennika Dworskiego.

— Czy słyszałeś ostatnią nowinę, Pally? — zapytał od progu.

Naczelnny redaktor nazywał się Hoskins, lecz król przezywał go Pally, co było skrótem „Palladium naszych wolności”.

— Najjaśniejszy Panie — odrzekł wolno Hoskins (stroskany, przyzwoicie wyglądający dżentelmen z ciemną brodą) — słyszałem bardzo ciekawe nowiny, ale...

— Posłyszysz ich jeszcze więcej — odrzekł król i wykonał kilka kroków jakiegoś murzyńskiego tańca. — Usłyszysz jeszcze więcej, mój ty trybunie od sensacji. Czy wiesz, co mam zamiar zrobić dla ciebie?

— Nie, Najjaśniejszy Panie — odpowiedziało Palladium niepewnie.

— Pragnę nadać twemu dziennikowi nowy, mocny, odważny, agresywny charakter — mówił król. — Gdzie masz plakaty, donoszące o porażce ostatniej nocy?

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedział redaktor — nie miałem właściwie zamiaru wydawać plakatów.

— Papieru! Papieru! — krzyknął król dziko. — Przynieście mi papier, wielki jak ten dom. Ja sam zrobię dla was plakaty. Czekaj, muszę najpierw zdjąć surdut.

Z bardzo ważną miną zaczął ściągać surdut, po czym cisnął go na głowę panu Hoskins, tak że go omotał zupełnie, i przejrzał się w lustrze.

— Bez surduta — powiedział król — a w kapeluszu na głowie. Teraz dopiero wyglądam jak prawdziwy sekretarz redakcyjny. Jestem wcieleniem, niejako esencją, sekretarstwa redakcyjnego. No i cóż? — zawołał, nagle obracając się — dajcież mi ten papier.

Palladium wyplątało się nareszcie z całym szacunkiem z fałd królewskiego surduta i rzekło oszołomione:

— Obawiam się, Najjaśniejszy Panie!...

— Och, jak pan nic nie masz przedsiębiorczości! — przerwał mu Oberon. — Co to za rolka papieru tam w kącie? Tapety? Dla przyozdobienia twojej prywatnej rezydencji? A więc sztuka stosowana, Pally? Rzuć mi to tu, a ja na odwrotnej stronie wymaluję takie plakaty, że kiedy będziesz używać tych tapet, nakleisz je na ścianę stroną z oryginalnym deseniem.

Mówiąc to, król rozwinął rolkę z tapetami i rozłożył ją na całej podłodze.

— A teraz proszę o nożyczki! — zawołał i sam złapał nożyczki, zanim tamten zdążył poruszyć się. Pociął papier na pięć części, a każda była prawie tak wielka jak drzwi. Potem wziął gruby niebieski ołówek i uklękawszy na zakurzonym linoleum, zaczął pisać olbrzymimi literami:

**WIADOMOŚCI Z POLA BITWY  
PORAŻKA GENERAŁA BUCKA!  
CIEMNOŚCI! NIEBEZPIECZEŃSTWO! ŚMIERĆ!  
DONOSZA, ŻE WAYNE ZNAJDUJE SIĘ NA ULICY POMPY  
SENSACJA NA MIEŚCIE!**

Przez chwilę oglądał swoje dzieło z głową, jak zwykle, przechyloną na ramię, po czym podniósł się z westchnieniem.

— Nie jest to dostatecznie silne — rzekł — nie dosyć alarmujące. Pragnę, żeby ludzie zarówno kochali Dziennik Dworski, jak bali się go. Spróbujmy czegoś mocniejszego.

I znowu ukląkł. Przez parę chwil ssął niebieski ołówek, po czym zaczął pisać z zapalem.

— No, a to?

**WSPANIAŁE ZWYCIĘSTWO WAYNE'A!**

— Zdaje mi się — rzekł, podnosząc oczy błagalnie i bezustannie ssąc swój ołówek — zdaje mi się, że nie wystarcza powiedzieć „zwycięstwo”. Wspaniałe zwycięstwo Wayne'a? Nie, nie, tu trzeba więcej subtelności, Pally, więcej wyrafinowania. Aha, już wymyśliłem:



WAYNE ZWYCIĘŻA!  
ZADZIWIAJĄCA WALKA W CIEMNOŚCIACH  
LATARNIE GAZOWE W SZRANKACH Z BUCKIEM!

— Nie ma to jak wspaniałe stare przekłady angielskie! Cóż by więcej można powiedzieć? Trzeba dokuczyć staremu Buckowi — i po namyśle dodał mniejszymi literami:

KRAŻĄ POGŁOSKI O ODDANIU GENERAŁA BUCKA  
POD SĄD WOJENNY

— To wystarczy na razie — rzekł i położył oba afisze odwrotną stroną do góry. — Proszę mi dać kleju.

Palladium z miną wielce przerażoną przyniosło klej z innego pokoju.

Król rozsmarował klej po papierze z radością dziecka paprzącego się melasą. Potem wziąwszy w każdą rękę jedną ze swych olbrzymich kompozycji, wybiegł na ulicę i począł je przylepiać w widocznym miejscu na fasadzie redakcji.

— A teraz — zawołał z niesłabnącym ożywieniem po powrocie do redakcji — teraz zabierzemy się do pisania artykułu wstępnego.

Złapał jeszcze jeden długi pas tapet, położył go na biurku, wyciągnął wieczne pióro i zaczął pisać z gorączkowym zacięciem, odczytując na głos ustępy i fragmenty, smakując je na języku jak wino, aby zbadać, czy posiadają czysty smak dziennikarski.

„Wiadomość o porażce, jaką ponieśliśmy na Notting Hill, aczkolwiek tak okropna (aczkolwiek tak okropna... nie, to nie będzie dobrze brzmiało, lepiej powiedzieć: aczkolwiek tak przykra), może przynieść pewien pożytek, jeżeli zwróci ogólną uwagę na nieudolność (jakże to się mówi... naturalnie, na skandaliczną nieudolność) przygotowań rządowych. W obecnym stanie naszych informacji byłoby przedwczesne (co za fajne wyrażenie), byłoby przedwczesne robić zarzuty co do postępowania generała Bucka, którego zasługi na tyłu polach przegranych walk (ha, ha!), którego zaszczytne rany i wawrzyny dają mu prawo, aby sąd nad nim został co najmniej odroczone. Jednak istnieje pewna kwestia, na temat której musimy wyrazić otwarcie naszą myśl. Zbyt długo już nakazywały nam milczenie przesadne względy ostrożności i błędnie, być może, pojętej lojalności. Nigdy nie wydarzyłaby się podobna sytuacja, gdyby nie — możemy to tylko tak określić — nieuzasadnione postępowanie króla. Boli nas wygłaszać publicznie takie twierdzenie, lecz gdy chodzi o dobro publiczne (pryswajając sobie sławne sformułowanie Barkera), nie cofniemy się nawet, gdybyśmy naszym wystąpieniem mieli sprawić przykrość jakiejś osobie, choćby najdostojniejszej. W tej godzinie decydującej dla naszego kraju, lud zapytuje jednogłośnie: „Gdzie jest król?” Cóż on robi, podczas gdy jego poddani literalnie rozdzierają się na kawałki na ulicach wielkiego miasta? Czy jego zabawy, jego swawole (których, nie wolno nam tego przemilczać, jesteśmy świadomi), pochłaniają go do tego stopnia, że nie pozostaje mu czasu, by pomyśleć o ginącym narodzie? Z głębokim więc poczuciem własnego obowiązku musimy uprzedzić tę dostojną osobistość, że ani wysokie stanowisko, ani nieporównane talenty nie zdołają jej ocalić w godzinie szachu od losu tych wszystkich, którzy obgarnięci obłudą zbytku czy tyranii spotkali naród angielski w rzadkich chwilach jego gniewu!”

— A teraz — rzekł król — opis bitwy przez naocznego świadka. — I wziął czwarty arkusz tapety. Prawie w tej samej chwili Buck pośpiesznie wszedł do redakcji. Głowę miał obandażowaną.

— Powiedziano mi — rzekł ze zwykłą sobie szorstką grzecznością — że Wasza Królewska Mość jest tutaj.

— Co za szczęście! — wykrzyknął król zachwycony — oto jest naoczny świadek. Lecz ten świadek naoczny, co stwierdzam z żalem, może obecnie świadczyć tylko jednym okiem. Czy mógłbyś napisać dla nas artykuł specjalny, Buck? Czy masz dobry styl?

Buck, z opanowaniem graniczącym prawie z grzecznością nie zwracał uwagi na denerwującą uprzejmość króla.

— Pozwoliłem sobie, Najjaśniejszy Panie — rzekł — poprosić pana Barkera, aby zjawił się tutaj również.

W tej samej chwili wpadł do redakcji Barker, jak zwykle z zaaferowaną miną.

— Cóż się tam teraz dzieje? — zapytał Buck, zwracając się do niego z widoczną ulgą.

— Walka jeszcze trwa — odpowiedział Barker. — Czterystu ludzi z Zachodniego Kensingtonu pozostało prawie nietkniętych tej nocy. Nie zbliżyli się nawet do pola bitwy. Ale ci biedacy Wilsona z Bayswater ucierpieli mocno. Bili się diabelnie dobrze. Zajęli nawet raz ulicę Pompy. Dziwne rzeczy dzieją się na tym świecie. I pomyśleć, że najlepszym z nas okazał się ten mały Wilson z rudymi wąsami.

Król zanotował sobie na kawałku papieru: romantyczne postępowanie pana Wilsona.

— Tak — odpowiedział Buck — kiedy się to widzi, człowiek przestaje być dumny ze swej dystygowanej wymowy.

Król nagle złożył, czy zmiął papier i schował go do kieszeni.

— Mam pewną myśl — odezwał się. — Ja sam zostanę naocznym świadkiem. Napiszę wam korespondencje z frontu wspanialsze od prawdziwych. Daj mi mój surdut, Pally. Wszedłem do tego pokoju tylko jako król Anglii. Opuszczam go jako specjalny korespondent wojenny Dziennika Dworskiego. Na nic się nie przyda zatrzymywać mnie, Pally; nie ma co płakać na moim ramieniu, Barker. „Gdy obowiązek wzywa...” zapomniałem resztę tego powiedzenia. Dziś o ósmej wieczorem poczta przyniesie wam mój pierwszy artykuł.

I wybiegłszy z redakcji, wskoczył do błękitnego omnibusu z Bayswater, który przejeżdżał tamtędy.

— Tak — powiedział ponuro Barker — tak.

— Barker — rzekł Buck — być może, interesy handlowe stoją niżej od polityki, lecz tej nocy odkryłem, że wojna jest bardzo podobna do interesów handlowych. Wy, politycy, jesteście zaprzysięgłymi demagogami, tak że nawet pod rządem despotycznym myślicie wyłącznie o opinii publicznej. Uczycie się więc sztuki lawirowania, lecz pierwszy lepszy wietrzyk przeraża was. My zaś, ludzie interesu, obstajemy przy swoim w końcu zwyciężamy. I nawet nasze błędy dopomagają nam w tym. Na przykład, słuchaj mnie, w tej chwili pobiliśmy Wayne'a...

— Pobiliśmy Wayne'a?! — podchwycił Barker.

— Dlaczegożby nie, u diabła! — zawołał tamten, wymachując rękami. — Posłuchaj tylko. Wczoraj wieczorem mówiłem, że mamy ich w rękę, gdy obsadzimy wszystkie dziewięć wylotów ulic. Otóż myliłem się. Rozbiliśmy ich, gdyby nie to niezwykle wydarzenie, że latarnie pogaśły. Ale poza tym rzecz była zupełnie pewna. Lecz czy zwróciłeś uwagę, mój błyskotliwy Barkerze, że po tym nadzwyczajnym wydarzeniu zgaśnięcia latarni gazowych zaszło jeszcze inne wydarzenie, równie nadzwyczajne.

— Co za wydarzenie? — spytał Barker.

— Ot, dziwnym zbiegiem okoliczności słońce wzeszło! — zawołał Buck głosem człowieka, który już zupełnie traci cierpliwość. — Dlaczegoż więc teraz, przy świetle słońca, nie obsadzamy tych wszystkich dziewięciu ulic i nie atakujemy Wayne'a? Powinniśmy to byli zrobić o wschodzie słońca. Przeklęty doktor nie pozwolił mi wychodzić. Ale przecież ty miałeś komendę?

Barker uśmiechnął się ponuro.

— Z wielką przyjemnością mogę ci odpowiedzieć, mój drogi Bucku, że przewidzieliśmy dokładnie twoje projekty. Wyruszyliśmy, jak można było najwcześniej, aby spenetrować tych dziewięć uliczek. Niestety, podczas gdy my biliśmy się w ciemnościach sami ze sobą jak pijani robotnicy, tymczasem przyjaciele pana Wayne'a pracowali bardzo intensywnie. Na każdej z tych dziewięciu ulic, w odległości trzystu kroków od ulicy Pompy wzniesli barykadę, prawie takiej wysokości, jak sąsiednie domy. Gdyśmy nadeszli, kończyli właśnie ostatnią na

Pembridge Road. Nasze błędy — dodał gorzko, rzucając niedopałek cygara na podłogę — nie my z nich uczymy się, to pewne.

Przez kilka chwil panowało milczenie. Barker, zmęczony, rozparł się wygodnie na krześle. Wyraźnie słychać było miarowe tykanie zegara.

W końcu Barker odezwał się nagle:

— Buck, czy ty jeszcze pamiętasz o co chodzi w tej całej sprawie? Terenami pomiędzy Hammersmith, a Maida Vale można było wyjątkowo dobrze spekulować. Obaj spodziewaliśmy się po tym wiele. Ale czy to wszystko warte jest tyle zachodu. Uśmierzenie tej śmiesznej rewolty będzie nas kosztować tysiące. A może tak poniechać tego?

— I być publicznie pobitym przez tego czerwonowłosego wariata, którego każdy doktor zamknąłby w domu obłąkanych? — krzyknął Buck, zrywając się na równe nogi. — Co zamierzasz zrobić, panie Barker? Przeprosić godnego podziwu pana Wayne'a? Uklęknąć przed Przywilejem Miast? Przycisnąć do piersi flagę z Czerwonym Lwem? A może jeszcze całować po kolei każdą świętą latarnię, która ocalała Notting Hill? Nie, na Boga żywego! Moi ludzie bili się bardzo dobrze. Zostali zwyciężeni podstępem. I znowu będą się bić.

— Buck — rzekł na to Barker — zawsze cię podziwiałem. I miałeś zupełną rację w tym, coś mówił któregoś dnia.

— Cóż mówiłem?

— Mówiłeś — odrzekł Barker wstając powoli — że wyszliśmy wszyscy z naszej własnej atmosfery i weszliśmy w atmosferę Wayne'a. Mój przyjacielu, całe terytorialne władztwo Adama Wayne ogranicza się do tych dziewięciu uliczek z barykadą u wylotu każdej z nich. Ale duchowe panowanie Adama Wayne rozciąga się Bóg wie jak daleko. W każdym razie obejmuje i tę redakcję. Nawet tu, w tym pokoju jesteśmy pod wpływem tego czerwonowłosego szaleńca, którego każdy doktor zamknąłby w szpitalu dla obłąkanych. Nawet twoje ostatnie słowa, wypowiedziane przed chwilą, były w duchu jego.

Buck podszedł do okna i milczał.

— Ale ty przecież rozumiesz — rzekł w końcu — że ani mi się śni ustąpić.

Król tymczasem kotłował się na dachu swego błękitnego omnibusu. Uliczny ruch Londynu oczywiście niezbyt ucierpiał na skutek tych wydarzeń, gdyż całą rzecz traktowano jako bunt w Notting Hill i cała dzielnica została odseparowana, jako znajdująca się w rękach szajki uznanych buntowników. Omnibusy po prostu objeżdżały naokoło, jakby to robiły, gdyby reperowano gdzieś drogę. I tak, omnibus, na którego dachu siedział korespondent Dziennika Dworskiego, zakręcił w Queen's Road.

Król samotnie siedział na dachu i cieszył się szybkością jazdy.

— Naprzód, mój cudzie, mój biegunie arabski — mówił zachęcająco, poklepując ręką omnibus. — O, ty, najszybszy z twego chyłego gatunku, ciekaw jestem, czy łączy cię z kierownicą miłość podobna do tej, którą żywi Beduin do swego rumaka? Czy on także sypia u twego boku?

Medytacje jego przerwało nagle i gwałtowne szarpnięcie omnibusu. Wyjrząwszy przez żelazną poręcz, zobaczył, że konie zostały zatrzymane przez ludzi w uniformach armii Wayne'a. Dosłyszał też głos oficera, wydającego jakieś rozkazy. Król Oberon zszedł z góry z wielką godnością. Straż czy patrol czerwonych halabardników, która zatrzymała wehikuł, składała się najwyżej z dwudziestu ludzi, a komendę nad nimi sprawował mały, czarny, sprytnie wyglądający młody człowiek, który wyróżniał się spośród innych tym, że miał na sobie zwykłe ubranie, przepasane tylko czerwoną szarfą, od boku zaś zwisał mu długi miecz z XVII wieku. Jedwabny cylinder i okulary dopełniały całości w przyjemny sposób.

— Z kim mam honor mówić? — zapytał król, starając się przy tym wyglądać jak Karol I, pomimo trudności, jakie mu nastroczała powierzchowność.

Brunet w okularach uniósł swój kapelusz z równą powagą.

— Nazywam się Bowles — wyjaśnił. — Jestem z zawodu aptekarzem. Jestem również kapitanem kompanii O, należącej do armii Notting Hillu. Przykro mi, że muszę sprawić panu kłopot, zatrzymując omnibus, ale ten okręg podlega naszej władzy i mam rozkaz kontrolować cały ruch. Czy mogę wzajem zapytać z kim mam honor? Ale... co widzę! Błagam o przebaczenie, Najjaśniejszy Panie! Jestem zupełnie zmieszany tym, że mam do czynienia z królem.

Oberon z nie dającą się opisać wspaniałością podniósł rękę do góry.

— Nie z królem — rzekł — lecz ze specjalnym korespondentem Dziennika Dworskiego.

— Co Wasza Królewska Mość raczy mówić? — zapytał Bowles z powątpiewaniem.

— Dlaczego nazywa mnie pan „Królewską Mością” — rzekł stanowczym tonem Oberon. — Powtarzam, że jestem reprezentantem prasy. Z poczuciem głębokiej odpowiedzialności obrałem nazwisko Pinker. Życzę sobie, aby rzucono zasłonę na moją przeszłość.

— Doskonale, proszę pana — odrzekł Bowles z pokorą — w oczach naszych świętość prasy jest co najmniej tak wielka, jak świętość tronu. Naszym gorącym pragnieniem jest, by nasze krzywdy i zwycięstwa znane były szeroko. Jeśli wolno mi spytać, panie Pinker, czy nie zechciałby pan, aby go przedstawić burmistrzowi i generałowi Turnbull?

— Burmistrza miałem zaszczyt już spotkać — odrzekł Oberon swobodnie. — My, starzy dziennikarze, jak pan wie, znamy wszystkich. Ale będę bardzo rad z odnowienia tej zaszczytnej znajomości. Również z przyjemnością poznam generała Turnbulla. Młodzi ludzie są tak interesujący! My, stara gwardia z Fleet Street, zbyt często tracimy kontakt z nimi.

— Może pan będzie tak dobry i zechce przejść tędy? — zapytał kapitan kompanii O.

— Zawsze jestem dobry — powiedział pan Pinker. — Prowadź pan.

### Rozdział III

#### WIELKA ARMIA POŁUDNIOWEGO KENSINGTONU

Artykuł od specjalnego korespondenta Dziennika Dworskiego nadszedł do redakcji w oznaczonym czasie. Napisany był na bardzo szorstkim papierze brulionowym tym dziwnym arabeskowym pismem króla, którego trzy słowa zapełniały stronicę, a przy tym były nieczytelne. Jeszcze bardziej zaskakujące w nadesłanym materiale było z początku to, że zaczynał się on szeregiem skreślonych ustępów. Widać było, że autor zaczynał kilka razy swój artykuł, za każdym razem próbując zupełnie odmiennego stylu dziennikarskiego. Na marginesie jednej takiej notatki były słowa: „Próba amerykańskiego stylu” a zaczynała się od słów: „Niech król ustąpi! Chcemy ludzi mocnych. Pusta gadanina jest bardzo...” W tym miejscu fragment urywał się i następowała adnotacja: „Dobry, rozsądny styl jest pewniejszy. Spróbujmy go...”

Próba dobrego, rozsądnego stylu zaczynała się tak:

„Najznakomitszy z poetów angielskich wyraził się, że róża powinna...” Ale to zdanie również urywało się nagle. Następna adnotacja była prawie niemożliwa do odcyfrowania, lecz sens jej zdawał się być następujący: „A może w stylu starego Steevensa i *mot juste*? Na przykład.”

I dalej: „Szary poranek mrugał na mnie trochę ze znużeniem ponad stromą krawędzią Campden Hillu, ponad szczytami jego domów i łatami ostrych cieni. Toteż trzeba było dłuższej chwili czasu i uważnego przypatrywania się, ażeby w cieniu tych profilów z czarnego kartonu odróżnić kolory, wreszcie jednak udało mi się dostrzec jakąś brązowożółtawą plamę poruszającą się w ciemności i zrozumiałem, że była to awangarda armii Zachodniego Kensingtonu, pozostającej pod rozkazami Swindona. Armia ta jest trzymana w rezerwie i zajmuje

całą wyniosłość, dominującą nad Bayswater Road. Jej obóz i główne siły mieszczą się u stóp wielkiej wieży ciśnienia na Campden Hill. Zapomniałem nadmienić, że wieża ta wygląda niezwykle pośpnie.

Gdy minałem te oddziały i zakręt Silver Street, spostrzegłem mglistą i błękitną masę ludzi Barkera, która jak obłok dymu o szafirowym odcieniu (dobrze!) blokowała wylot na główną arterię. Zdaje mi się, że oddziały sprzymierzone pod ogólną komendą pana Wilsona są rozlokowane następująco: armia żółta (jeżeli można tak określić ludzi z Zachodniego Kensingtonu) rozlokowała się długim węzłem w ten sposób, że koniec jej, wysunięty najdalej na zachód sięga po zachodnią stronę Campden Hill Road, a koniec wschodni po ogród Kensingtonski. Zielona Armia Wilsona zajmuje samą Notting Hill High Street od Queen's Road do rogu Pembridge Road, a zakręcając tutaj, ciągnie się jeszcze przez jakieś trzysta kroków ku Westbourne Grove, która to ulica zajęta jest przez Barkera z Południowego Kensingtonu. Czwartą stronę tego nieprawidłowego czworoboku od strony Queen's Road zajmuje oddział fioletowych wojowników Bucka.

Całość przypomina jakąś staroświecką wymyślną grządkę kwiatową. Wzdłuż grzbietu Campden Hillu stoją złociste krokusy Zachodniego Kensingtonu, tworząc jak gdyby ognisty obwód całości. Na północy znajduje się nasz hiacyntowy Barker ze wszystkimi błękitnymi hiacyntami. Wzdłuż linii południowo-wschodniej biegnie zielone sitowie Wilsona z Bayswater, a wszystko dopełnione jest linią fioletowych irysów, udatnie symbolizowanych przez oddział pana Bucka. Srebrzysta strona zewnętrzna... (wychodzę ze stylu, powinienem być napisać „zakręcając meandrami” zamiast po prostu „zakręcając”, tak samo o hiacyntach powinienem być napisać, że są „fascynujące”. Nie potrafię sobie poradzić. Wojna jest zbyt szybka dla pisania w tym stylu. Poproście chłopca redakcyjnego, żeby wprowadził do mego artykułu *mots justes*).

Faktem jest, że nie ma nic do doniesienia. Pierwiastek pospolitości, który zawsze dąży do pochłonięcia wszystkich rzeczy pięknych (tak jak w mitologii irlandzkiej Czarna Świnia pożera w końcu gwiazdy i bogów), ten pierwiastek pospolitości pochłonął ostatecznie (jak już wspominałem), na swój czarnoświński sposób romantyczne możliwości tego wydarzenia. Z niedorzecznych i podniecających walk ulicznych wyrodziło się to, co jest samą prozą sztuki wojennej — wyrodziło się oblężenie. Można określić oblężenie jako stan pokoju plus wszystkie niedogodności wojny. Naturalnie Wayne nie będzie mógł wytrzymać oblężenia. Nie może znikąd spodziewać się pomocy, chyba że oczekuje powietrznych statków z księżycy. Gdyby nawet Wayne całą ulicę zapełnił pudełkami konserw, tak, że jego ludzie musieliby siedzieć na nich, to i tak nie mógłby wytrzymać dłużej niż miesiąc lub dwa. Zrobił on zresztą coś w tym stylu i jest to faktem raczej smutnym. Tak napchał swoje ulice wiktuałami, że ledwie można się tam ruszać. Ale na cóż przyda się to wszystko? Na cóż opierać się tak długo, skoro w końcu przyjdzie poddać się? To zupełnie, jakby jakiś wódz czekał, aż świat zapomni o jego zwycięstwach i wtedy starał się ponieść klęskę. Nie rozumiem, jak Wayne może być do tego stopnia pozbawiony wyczucia artystycznego.

I czyż to nie dziwne, że gdy uważa się jakąś sprawę za nieodwołalnie straconą, patrzy się na nią pod zupełnie innym kątem widzenia? Ja, na przykład, zawsze miałem dla Wayne'a wiele podziwu. Ale teraz, kiedy wiem, że jest zgubiony, wydaje mi się, że nic nie istnieje na świecie poza Waynem. Wszystkie ulice zdają się wskazywać na niego, wszystkie kominy skłaniają się w jego stronę. Zdaje mi się, że jest to uczucie chorobliwe, lecz ulica Pompy jest jedyną ulicą w Londynie, którą odczuwam fizycznie. Jeszcze raz powtarzam, że musi być w tym coś chorobliwego. W podobny sposób człowiek musi odczuwać swoje serce, gdy jest chore. Ulica Pompy — i serce jest pompą. Ale zaczynam bredzić.

Najlepszym naszym generałem na froncie jest bez wątpienia generał Wilson. Jedyny ze wszystkich naszych burmistrzów przywdział uniform swoich halabardników, aczkolwiek ten piękny kostium z XVI wieku nie był początkowo zaprojektowany, by pasować do jego cze-

rwonych włosów. On to, pomimo wspaniałej i rozpaczliwej obrony, wtargnął zeszłej nocy na ulicę Pompey i utrzymał się na niej przez dobre pół godziny. To prawda, że później został z niej wyparty przez generała Turnbulla z Notting Hill, lecz dopiero po zaciętej walce i po nagłym zapadnięciu tej okropnej ciemności, która zresztą okazała się znacznie fatalniejsza w skutkach dla oddziałów generała Bucka i generała Swindona.

Sam burmistrz Wayne, z którym miałem wielkie szczęście przeprowadzić bardzo ciekawy wywiad, złożył najwymowniejszy hołd zachowaniu się generała Wilsona i jego ludzi. Oto jego słowa, ściśle powtórzone: „Miałem zaledwie cztery lata, a już kupowałem słodycze w jego zabawnym małym sklepiku i od tego czasu byłem stałym klientem. Ze wstydem wyznaję, że nigdy nie spostrzegłem w nim nic nadzwyczajnego, oprócz tego, że mówił przez nos i mył się niestarannie. I ten właśnie człowiek zrobił wypad z naszej barykady z furją oswobodzonego z pęt demona”. Powtórzyłem te słowa z kilku delikatnymi poprawkami generałowi Wilsonowi, który robił wrażenie zadowolonego z nich. Wydaje mi się, że w obecnej chwili nic mu nie sprawia tak wielkiej przyjemności, jak miecz, który nosi przy boku. Dowiedziałem się z najlepszych źródeł, że wczoraj generał Wilson nie został całkowicie ogolony. W kołach wojskowych sądzą, że zapuszcza wąsy.

Jak już powiedziałem, nie ma wiele do doniesienia. Idę zmęczony do skrzynki pocztowej na rogu Pembridge Road, aby wrzucić mój rękopis. Nic właściwie się nie dzieje oprócz tego, że postępują naprzód przygotowania do oblężenia bardzo długiego i niepewnego, podczas którego, tuszę, nie będę musiał przebywać na froncie. Gdy oglądam pogrążającą się w mroku Pembridge Road, widok ten przypomina mi, że muszę jeszcze koniecznie coś dodać. Generał Buck z charakteryzującą go przenikliwością poradził generałowi Wilsonowi, żeby dla uniknięcia podobnej katastrofy, jaka zaskoczyła sprzymierzonych podczas ostatniej ofensywy na Notting Hill — mówię tu o katastrofie zgasłych latarni — każdemu żołnierzowi dać zapaloną latarkę, którą będzie nosić uwiązaną u szyi. Jest to jedna z rzeczy, za które po prostu admiruję generała Bucka. Ma on w sobie to, co ludzie zwykli nazywać skromnością człowieka nauki; to znaczy, stale uczy się na swoich błędach. Wayne przewyższa go pod innymi względami, ale pod tym jednym stanowczo nie. Latarki wyglądają niby światełka czarodziejskie, zwłaszcza tam, gdzie zakręcają wokół wylotu Pembridge Road.

*Później nieco.* Piszę z pewną trudnością, gdyż krew ścieka mi z twarzy i robi plamy na papierze. Krew jest piękną rzeczą i dlatego jest ukryta. Jeśli mnie zapytacie, dlaczego krew spływa mi z twarzy, muszę wam powiedzieć, że zostałem kopnięty przez konia. Jeżeli mnie zapytacie przez jakiego konia, mogę wam z dumą odpowiedzieć, że był to rumak bojowy. Jeżeli zapytacie skąd się wziął rumak bojowy w naszych zwykłych walkach pieszych, będę zmuszony opowiedzieć własne przygody, co jest koniecznością niezwykle przykrą dla każdego korespondenta wojennego.

Szedłem właśnie wrzucić mój rękopis do skrzynki pocztowej, gdy spojrzałem na oświetlony zakręt Pembridge Road, usiany latarkami ludzi Wilsona. Sam nie wiem dlaczego zatrzymałem się, aby przyjrzeć się temu dokładnie, ale wydało mi się, że koniec tej linii światełek, tam gdzie ginał w niewyraźnym brunatnym mroku, stał się mniej wyraźny niż dotychczas. Byłem niemal zupełnie pewny, że na pewnym odcinku drogi, na którym do tej chwili było pięć światełek, teraz było ich tylko cztery. Wysiliłem wzrok, przeliczyłem je znowu, i było tylko trzy. W chwilę później pozostało już tylko dwa, po sekundzie już tylko jedno, a w chwilę później latarki, które były bliżej mnie, zaczęły się kiwać jak rozhuśtane dzwony. Nagle zabłyśły i spadły, przez chwilę miałem wrażenie, że słońce i gwiazdy spadły z nieba — wszystko pogrążyło się w ciemności. Właściwie to ulica nie była jeszcze zupełnie ciemna. Na niebie kładły się ostatnie czerwone poblaski zachodzącego słońca, a brunatny zmierzch przesycony był ciepłymi tonami jak gdyby palił się kominiek. Ale przez te trzy sekundy po zgaśnięciu latarek widziałem przed sobą tylko ciemność zakrywającą niebo. W czwartej sekun-

dzie wiedziałem, że ta ciemność zakrywająca niebo, to człowiek na wielkim koniu; w tej samej chwili wir jeźdźców wypadł zza rogu, stratował mnie i odrzucił na bok. Gdy zawrócili, zauważyłem, że nie byli czarni, lecz szkarłatni, był to wypad obłożonych, dowodzony przez Wayne'a.

Podniosłem się z rynsztoka oślepiiony krwią, płynącą z lekkiej powierzchownej rany, a najciekawsze w tej chwili było to, że nie troszczyłem się ani o ślepotę, ani o to, że rana jest lekka. Przez następnych kilka strasznych chwil po zniknięciu tej zdumiewającej kawalkady martwe milczenie panowało na pustej ulicy. Potem zjawił się Barker i wszyscy jego halabardnicy biegnąc jak opętani w pościgu za jeźdźcami. Ich to było rzeczą pilnować tej bramy, przez którą zrobiono wypad, ale nie spodziewali się oni kawalerii i nie można im tego brać za złe. W każdym razie bieg Barkera i jego ludzi był naprawdę wspaniały, i o mało co nie złapali koni Wayne'a za ogony.

Nikt nie rozumiał tej wycieczki. Brała w niej udział tylko mała część garnizonu Wayne'a. Sam Turnbull z ogromną większością załogi jest bez wątpienia wciąż jeszcze zabarykadowany na ulicy Pompy. Wypadki tego rodzaju miały bardzo często miejsce podczas znanych nam z historii oblężeń, na przykład podczas oblężenia Paryża w roku 1870, gdy oblężeni szukali jakiejś pomocy na zewnątrz. Ale jaki mógł być cel wycieczki w tym wypadku? Wayne wie (a jeżeli jest zbyt szalony, żeby wiedzieć cokolwiek, to Turnbull wie), że na zewnątrz murów Notting Hillu nie ma i nigdy nie było najmniejszej szansy pomocy dla niego, że ogół rozsądnych współczesnych mieszkańców Londynu traktuje ich śmieszny patriotyzm z taką samą pogardą, jak i pierwotną głupotę, która do tego doprowadziła — szaleństwo naszego króla. Nikt nie może nawet domyślić się, jakie są zamiary Wayne'a i jego jeźdźców. Ogólnie uważa się, że Wayne jest po prostu zdrajcą i że zostawił obłożonych ich własnemu losowi. Ale wszystkie te zagadki, choć są bardzo trudne, jednakże łatwiejsze są do rozwiązania, niż ta jedna mała, której nie podobna rozwiązać: skąd wzięli konie?

*Jeszcze później.* Słyszałem nadzwyczajne doniesienie dotyczące tajemnicy pojawienia się koni. Okazuje się, że ten zdumiewający osobnik generał Turnbull, który teraz rządzi ulicą Pompy, pod nieobecność Wayne'a, w sam dzień wypowiedzenia wojny wysłał wielką liczbę uliczników (czyli jak my, dziennikarze, mówimy „brukowych cherubinków”) i każdemu z nich dał pół korony, aby wynajął dorożkę i sprowadził ją na Notting Hill. I oto na ulicy Pompy spotkało się ni mniej ni więcej tylko sto sześćdziesiąt dorożek, które zostały zarekwirowane przez załogę. Woźnice zostali wypuszczeni na wolność, powozy posłużyły do wzniesienia barykad, a konie były specjalnie żywione i ćwiczone przez kilka dni, aż stały się tak zwinne i ręczne, że mogły zostać użyte do owej dzikiej wycieczki. Jeżeli to jest prawda (a dowiedziałem się o tym z najlepszych źródeł), to wyjaśnioną mamy przynajmniej technikę wypadu, ale nic jeszcze nie wiemy o jego celu. Gdy Błękitni Barkera w swym pościgu skręcali na rogu ulicy, zostali powstrzymani, lecz nie przez wrogów, tylko przez głos człowieka, który okazał się przyjacielem. Był to rudy Wilson z Bayswater, który samotnie biegł ulicą z halabardą, wyrwaną z rąk wartownika, dając im znaki, żeby się cofnęli. Był on głównodowodzącym, więc Barker zaskoczony i osłupiały zatrzymał się na rogu ulicy. W pomroce doszedł do nas wyraźnie i mocno głos Wilsona, i zaprawdę zdumiewające było, że tak potężny głos pochodzi od tak drobnego człowieczka.

— Stać, Południowy Kensington! — zawołał. — Strzeżcie tego przejścia i przeszkódźcie im powrócić. Ja sam będę ich ścigać. Naprzód, Zielona Gwardio!

Ściana ciemnoniebieskich mundurów i las halabard oddzielały mnie od Wilsona, gdyż ludzie Barkera zamykali ulicę podwójnym nieruchomym szeregiem. A przez tę ścianę i przez mrok słyszałem wyraźnie wydawane rozkazy i szcęk broni, i dojrzałem, jak zielona armia Wilsona pomaszerowała ku zachodowi. Byli to nasi wspaniali wojownicy. Każdy z nich nosi srebrny medal z wizerunkiem studni z pompą, bo oni jedni ze wszystkich sprzymierzonych

armii zwycięsko wdarli się na ulicę Pompey.

Udało mi się prześliznąć przez oddział Błękitnych Barkera, który strzeże końca Pembri-  
dge Road i po krótkim biegu dogoniłem zieloną armię Wilsona, ciągnącą wzdłuż ulicy w  
pościgu za uciekającym Waynem. Mrok pogłębił się i przeszedł w zupełną ciemność, przez  
pewien czas słyszałem tylko regularny rytm wojskowego kroku żołnierzy. Wtem nagle  
rozległ się krzyk i rośli wojownicy zostali odrzuceni w tył, prawie miażdżąc mnie, i znowu  
latarnie zachwiały się i zabrzęczały, a zimne pyski wielkich koni przeorały naszą zbitą masę.  
Wrócili i szarżowali na nas!

— Głupcy! — rozległ się głos Wilsona, przecinając naszą panikę wspaniałym zimnym  
gniewem. — Czyż nie widzicie, że te konie są bez jeźdźców?

— To prawda! Byliśmy zaatakowani przez dziką kawalkadę bez jeźdźców, z pustymi  
siodłami. Co to mogło znaczyć? Czy Wayne spotkał naszych wojowników i został przez nich  
pobity? Czy też te konie pędzone na nas, były fortem wojennym, jakimś szalonym i nowym  
podstępem, w których wynajdowaniu Wayne tak się lubował. Czy chciał zniknąć razem ze  
swoimi ludźmi, a może ukryć się gdzieś w domach?

Nigdy nie podziwiałem do tego stopnia inteligencji żadnego człowieka (nie wyłączając  
samego siebie), jak w tym momencie podziwiałem inteligencję Wilsona. Bez jednego słowa  
wskazał halabardą, którą wciąż trzymał w ręku, na południową część ulicy. Każdy wie, że ulice,  
które prowadzą ku szczytowi Campden Hill, są tak bardzo strome, że wydają się podobne  
do schodów. Byliśmy właśnie naprzeciwko Aubrey Road, która jest najbardziej stroma. I da-  
leko trudniej byłoby jechać tam na nieujeżdżonych pod wierzch koniach, niż wejść piechotą.

— W lewo zwrot! — ryknął Wilson. — Oni tędy przeszli — dodał zwracając się do  
mnie, gdyż stałem tuż przy nim.

— Dlaczego — zaryzykowałem pytanie.

— Nie mogę nic powiedzieć na pewno — odpowiedział generał z Bayswater. — Ale  
musieli wdrapać się tędy i to bardzo szybko. Po prostu puścili konie luzem, ponieważ nie  
mogli ich zabrać ze sobą. I zdaje mi się, że wiem, dlaczego to zrobili. Pragnęli przedostać się  
przez to wzgórze do Kensingtonu, albo do Hammersmithu, albo jeszcze gdzie indziej, i jeżeli  
uderzyli tu, to dlatego, że ta okolica leży tuż poza linią naszych placówek. Głupcy z nich  
swoją drogą, że nie poszli dalej tą ulicą. Zaledwie minęli naszą ostatnią pikietę. Lambert musi  
być stąd nie dalej jak o czterysta kroków. Dałem już mu znać.

— Lambert! — wykrzyknąłem. — Czyżby to młody Wilfryd Lambert, mój przyjaciel!

— Tak, rzeczywiście, imię jego jest Wilfryd — odpowiedział generał. — Taki niepoważ-  
ny facet z dużym nosem, był kiedyś z niego wielki elegant. Tego rodzaju ludzie zawsze  
zaciągają się jako ochotnicy, gdy tylko napatoczy się jakaś wojna, a najciekawsze jest to, że  
zwykle zupełnie dobrze dają sobie radę. Lambert jest też zdecydowanie dobrym żołnierzom.  
Uważałem zawsze Żółtych z zachodniego Kensingtonu za najsłabszy punkt naszej armii. A on  
ich bardzo podciągnął, choć jest podwładnym Swindona, tego skończonego ośła. Na przykład  
wczoraj wieczorem w ataku, z Pembri-  
dge Road, Lambert wykazał wielką odwagę.

— Jeszcze większą odwagę wykazał dawniej — odparłem. Skrytykował moje poczucie  
humoru. Była to jego pierwsza potyczka.

Uwaga ta, muszę z żalem wyznać, nie zrobiła żadnego wrażenia na znakomitym dowód-  
cy armii sprzymierzonych. Wdrapaliśmy się właśnie na ostatni odcinek Aubrey Road, a była  
ona tak stroma, że przypominała staroświecką mapę, opartą o ścianę. Na przykład rosły  
wzdłuż niej dwa szeregi drzewek, umieszczone jedno nad drugimi, zupełnie jak na starych  
mapach.

Zadyszani dosięgliśmy szczytu. Mieliśmy właśnie skręcić za róg ulicy w miejscu, które  
jak gdyby w przeczuciu naszych walk rycerskich, staczanych za pomocą szpady i topora,  
nazwano Tower Crecy, gdy nagle zostaliśmy uderzeni w sam żołądek (nie mogę inaczej się  
wyrazić) przez hordę ludzi walących się na nas. Ludzie ci nosili na sobie czerwone uniformy



Wayne'a; halabardy ich były połamane, czoła zakrwawione, ale my pod wpływem impetu ich ucieczki stojąc na szczycie wzgórza aż się zachwialiśmy.

— Ten dzielny Lambert! — zawołał nagle niewzruszony Wilson z Bayswater, teraz niezdolny do opanowania swego podniecenia. — Diabelsko dzielny, stary Lambert! A więc już się zjawił! Pędzi ich z powrotem na nas! Hurra! Hurra! Naprzód, Zielona Gwardio!

Rzuciliśmy się za róg ulicy ku wschodowi, a pierwszy biegł Wilson wymachując halabardą...

Czy wolno mi teraz będzie pozwolić sobie na trochę osobistych uwag? Każdy to lubi, zwłaszcza w wypadku, gdy obiera formą haniebnego wyznania. Zresztą rzecz dlatego jest interesująca, ponieważ dowodzi, do jakiego stopnia przyzwyczajenia czysto artystyczne stały się moją drugą naturą. Była to przecież przygoda najbardziej podniecająca w moim życiu i doprawdy podniecenie moje było bardzo gwałtowne. A jednak pierwsze wrażenie, jakie odniosłem, kiedy zakręciłem za rogiem ulicy, było zupełnie nie związane z bitwą. Oto jak piorun z nieba uderzyła we mnie wysokość wieży ciśnień na Campden Hill. Nie wiem, czy Londyńczycy zdają sobie sprawę, jaka się ona wysoka wydaje, gdy się wychodzi właśnie tą drogą. Przez sekundę czułem, że u stóp tej wieży wojna jest błahostką. I wydało mi się też, że byłem poprzednio upojony jakimś nierozumnym szaleństwem i że dopiero ten wyniosły cień rozjaśnił mój umysł. W chwilę później uprzytomniłem sobie, że u stóp tego olbrzyma działo się jednak coś, co było trwalsze niż kamienie i więcej nieposkromione niż najzawrotniejsza wysokość — było to cierpienie ludzkie. I zrozumiałem, że w porównaniu z tym cierpieniem przygniatająca ogromem wieża była niczym, po prostu rurą z kamienia, którą ludzkość mogła złamać jak cienką laseczkę.

Nie wiem sam, dlaczego tak się rozwiódłem nad tą głupią, starą wieżą ciśnień, która w najlepszym razie była tylko wspaniałym tłem. A tym była na pewno, posepnym i przerażającym pejzażem, na którego tle odcinały się nasze postacie. Ale prawdziwym powodem mojego wzruszenia było nagłe i gwałtowne przejście od wieży z kamienia do człowieka z krwi i kości. Bo pierwszą rzeczą, jaką ujrzałem, strząsnąwszy z siebie, że tak powiem, cień wieży, był człowiek i to człowiek, którego znałem.

Lambert stał na następnym zakręcie ulicy, która biegnie dokoła wieży ciśnień, a sylwetka jego wyraźnie zarysowała się w blasku wschodzącego księżyca. Wyglądał wspaniale, jak bohater, ale miał w sobie coś jeszcze bardziej interesującego. Tak się złożyło, że przybrał właśnie teraz tę samą chępliwą postawę, co piętnaście lat temu, gdy zakręciwszy młynka laską, wbił ją potem w ziemię, aby mi powiedzieć, że cała moja subtelność jest tylko bzdurą. I klnę się na moją duszę, że trzeba mu było wtedy zdobyć się na więcej odwagi, by powiedzieć te słowa, niż jej potrzebował, by walczyć jak teraz. Bo wtedy walczył z czymś, co dominowało, co było modne i zwycięskie. Tymczasem teraz bije się (narażając swoje życie, bez wątpienia) przeciwko czemuś, co jest już martwe, co jest niemożliwe, daremne, a najlepszym przykładem tej daremności i niemożliwości jest wycieczka obłączonych, która dała mu sposobność zetknięcia się z tą beznadziejnością. Ludzie dzisiejsi uwzględniają w niewielkim bardzo stopniu psychologiczny sens zwycięstwa jako czynnika decydującego. Wtedy atakował Quina, człowieka zdegradowanego, lecz niewątpliwie zwycięskiego, dzisiaj atakuje interesującego, lecz skazanego na zagładę Wayne'a.

Nazwisko to przypomina mi szczegóły opisywanej sceny. Oto fakty: szereg czerwonych halabardników, prowadzonych przez Wayne'a, maszerował wzdłuż ulicy, przyciskając się do północnego muru, który jest właściwie dnem rodzaju fosy lub fortyfikacji wodociągów. Lambert ze swoją żółtą armią Zachodniego Kensingtonu nadszedł właśnie z zakrętu ulicy i mocno zachwiał Waynitów, rzucając, jak już opisywałem, kilkunastu mniej odważnych prosto w nasze ręce. A gdy z kolei nasz oddział uderzył na tyły Wayne'a, wszyscy zdali sobie sprawę, że już po nim. Jego ulubiony cyrulik wojskowy został powalony na ziemię. Kupiec korzenny leżał nieprzytomny. On sam zraniony w biodro oparł się o ścianę. Trzymaliśmy go niby w

kleszczach.

— Czy to wy? — zawołał wesoło Lambert do Wilsona nad otoczonym zastępem żołnierzy Notting Hillu.

A generał Wilson odpowiedział:

— Prawie zgadłeś! Trzymaj ich pod ścianą.

Ludzie z Notting Hillu gęsto padali. Adam Wayne podniósł w górę swoje długie ręce, uczepił się muru, będącego za nim, i jednym skokiem stanął na jego szczycie — olbrzymia postać na tle księżyca. Wydarł sztandar z rąk chorążego, stojącego pod murem i rozwinął go nagle z łopotem ponad naszymi głowami; mieliśmy wrażenie, że uderzył piorun z jasnego nieba.

— Do Czerwonego Lwa! — krzyczał. — Miecze do Czerwonego Lwa! Halabardnicy do Czerwonego Lwa! Bądźcie jak ciernie otaczające różę!

Głos jego i łopot chorągwi wlały nieco otuchy w serca Czerwonych i Lambert, którego idiotyczna twarz, przeistoczona walką, stała się niemal piękna, odczuł to jakby instynktownie krzyżując:

— Rzuć ten swój sztandar sprzed knajpy, ty głupcze, rzuć go natychmiast!

— Sztandar Lwa Czerwonego rzadko się pochyla — odpowiedział Wayne wyniośle nastawiając z dumą chorągiew na wiatr.

W następnej chwili przekonałem się, jak wiele mogła kosztować biednego Adama jego sentymentalna teatralność. Lambert również jednym skokiem znalazł się na murze, trzymając szablę w zębach i zanim Wayne zdążył wyciągnąć miecz, mając obie ręce zajęte olbrzymią chorągwią, już Lambert ciął go w głowę. Wayne jednakowoż cofnął się w ostatnim momencie, żeby uniknąć pierwszego ciosu i pochylił drzewce od chorągwi tak, że ostrze umieszczone na końcu było skierowane w Lamberta.

— Sztandar Notting Hillu pochyla się. Pochyla się przed bohaterem — zawołał Wayne głosem, który przestraszył ulicę. I przy ostatnich słowach wbił ostrze i połowę drzewca w ciało Lamberta i martwego strącał niby kamień na ulicę.

— Notting Hill! Notting Hill! — krzyczał Wayne w jakimś boskim szale. — Nasz sztandar jest jeszcze bardziej ścięty od krwi walecznego nieprzyjaciela! Na mur, patrioci! Na mur! Notting Hill!

Silnym i długim swym ramieniem wciągnął na mur jakiegoś człowieka, którego czarna sylwetka zarysowała się ostro na tle księżyca, a w tej samej chwili coraz więcej więcej ludzi zaczęło wdrapywać się na mur. Wciągali się sami i wciągano ich, aż cały mur pokrył się chmurą na wpół zmasakrowanych ludzi z ulicy Pompy.

— Notting Hill! Notting Hill! — krzyczał Wayne bez ustanku.

— Dobrze, a co z Bayswater? — odezwał się z irytacją jakiś godny robotnik z armii Wilsona. — Niech żyje Bayswater!

— Zwyciężyliśmy! — krzyknął Wayne, uderzając drzewcem chorągwi o mur. — Niech żyje Bayswater! Nauczyliśmy naszych nieprzyjaciół patriotyzmu!

— Och, posiekajmy tych facetów w kawałki i skończmy raz z nimi! — zawołał jeden z poruczników Lamberta, który wpadł prawie w szal z powodu odpowiedzialności związanej z przejętym dowództwem.

— Spróbujmy w każdym razie — odpowiedział posepnie Wilson i dwie armie zwały się wokół trzeciej.

Nie umiem po prostu opisać tego, co potem nastąpiło. Przepraszam, ale istnieją takie rzeczy, jak fizyczne zmęczenie, mdłości i, dodam, fizyczne przerażenie. Wystarczy powiedzieć, że ustęp poprzedni był napisany o jedenastej wieczorem, a teraz jest druga po północy, a walka wciąż się toczy i nie ma nadziei, żeby się skończyła. Wystarczy też dodać, że po stromych uliczkach, prowadzących od wieży ciśnień do Notting Hall High Road krew płynęła

i płynie teraz jak wielkie czerwone węże, które wiją się na głównej ulicy i lśnią złowrogo w księżycowym świetle.

*Później.* Oto ostatnie pociągnięcia pędzla kończą ten straszliwy obraz nicości. Minęły godziny, zajaśniał ranek, ludzie jeszcze tłoczą się i biją u stóp wieży ciśnień i na rogu Aubrey Road. Walka nie jest jeszcze skończona, ale wiem, że to jest już farsa.

Dotarły tu wiadomości, które wykazały, że cała zdumiewająca wycieczka Wayne'a i następnie jego jeszcze bardziej zdumiewający całonocny opór na murze obok wieży ciśnień nie przydały się na nic. Co było celem tego zadziwiającego wypadu, prawdopodobnie nie dowiemy się nigdy dla tej prostej przyczyny, że tych niewielu ludzi, którzy mogą coś o tym wiedzieć, prawdopodobnie w ciągu paru najbliższych godzin zostanie posiekanych w kawałki.

Trzy minuty temu usłyszałem, że ostatecznie zwyciężył Buck i jego metoda. Naturalnie, zastanowiwszy się, musimy przyznać, że miał on zupełną rację, gdy twierdził, że fizyczną niemożliwością jest, aby jedna ulica miała pokonać całe miasto. Kiedy my myśleliśmy, że on patroluje bramę wschodnią ze swoją fioletową armią, kiedy my biegaliśmy po ulicach, wymachując halabardami i latarniami, kiedy biedny stary Wilson obmyślał strategiczne plany, godne Moltkego, a walczył jak Achilles, aby złapać dzikiego burmistrza z Notting Hill — to pan Buck kupiec towarów łokciowych, który wycofał się z interesu, pojechał sobie po prostu dorożką i zrobił coś tak prostego, jak masło, coś równie użytecznego i prawie równie niemiłego. Pojechał do Południowego Kensingtonu, do Brompton i Fulham, i wydawszy przeszło cztery tysiące funtów ze swego prywatnego majątku zebrał olbrzymią armię; to znaczy armię dostatecznie wielką, żeby pobić nie tylko Wayne'a, ale i wszystkich jego obecnych nieprzyjaciół wziętych razem. Armia ta obozuje wzdłuż Kensington High Street i wypełnia ją od końca aż po Addison Road Bridge. Ma ona nacierać dziesięcioma różnymi drogami pod górę ku północy.

Nie mogę już wytrzymać tutaj dłużej. Wszystko pogarsza sprawę więcej niż trzeba. Na przykład nad Campden Hill zaczęło świtać; na niebie ukazują się płyty srebra, bramowane złotem. Jeszcze gorsze jest to, że Wayne i jego ludzie odczuli bliskość poranka; twarze ich, choć blade i pokrwawione, rozjaśniły się dziwną nadzieją i są nieznośnie patetyczne. Najgorsze zaś ze wszystkiego jest to, że chwilowo oni zwyciężają. Gdyby nie Buck i jego nowa armia, to choć z trudem, ale mogliby zwyciężyć.

Powtarzam, że nie mogę znieść tego. Jest to zupełnie tak, jak gdybym patrzył na tę wspaniałą sztukę Maeterlincka (znacie panowie moją predylekcję do staroświeckich, normalnych autorów z dziewiętnastego stulecia), w której musimy patrzeć na spokojną rozmowę ludzi w zacisznym salonie, podczas gdy wiemy, że za drzwiami znajdują się ludzie, których jedno słowo może zburzyć ten spokój i zamienić go w tragedię. A tu jest jeszcze gorzej, bo tutaj ludzie nie rozmawiają, tylko skręcają się i broczą krwią, i umierają za sprawę już przesądzoną i to przesądzoną przeciwko nim. Skłębione, szare masy ludzi jeszcze się szarpia i męczą i chwieją się to w jedną, to w drugą stronę u stóp wielkiej szarej wieży; a wieża stoi wciąż nieruchoma i będzie tak stać. A ci ludzie zanim słońce zajdzie zostaną zmiażdżeni i powstaną nowi ludzie, i będą zmiażdżeni, i popełni się nowe krzywdy i tyrania będzie zawsze znów wschodziła jak słońce, a niesprawiedliwość będzie zawsze świeża jak kwiaty na wiosnę. A szara, kamienna wieża zawsze będzie patrzeć z góry na to wszystko. Materia w swojej brutalnej piękności będzie zawsze patrzeć z góry na tych, którzy są tak szaleni, że zgadzają się umrzeć i jeszcze bardziej szaleni, gdyż zgadzają się żyć.”

Tak nagle urywa się pierwsza i ostatnia korespondencja specjalnego sprawozdawcy Dziennika Dworskiego dla tego czcigodnego czasopisma.

Sam sprawozdawca, jak to już powiedziano, był po prostu chory i ponury z powodu ostatniej wieści o triumfie Bucka. Smutnie też i ze zwieszoną głową schodził w dół stromą

Aubrey Road, na którą ubiegłej nocy wspinał się w tak niebywałym podnieceniu. Wyszedł na pustą, oświetloną porankiem główną ulicę rozglądając się za dorożką. Lecz na pustej przestrzeni nie mógł niczego wypatrzyć, oprócz jakiegoś złocistobłękitnego, błyszczącego przedmiotu posuwającego się bardzo prędko, który z początku wyglądał jak olbrzymi chrabąszcz, a okazał się ku jego wielkiemu zdziwieniu Barkerem.

— Czy słyszałeś dobre nowiny? — zapytał ten dzentelmen.

— Tak — odpowiedział Quin zrównoważonym głosem — słyszałem wesołe nowiny o wielkiej radości. Ale może wzięlibyśmy razem dorożkę do Kensingtonu? Widzę jedną po tamtej stronie.

Wzięli dorożkę i już po czterech minutach znaleźli się przed frontem licznej i niezwykłej armii. Quin przez całą drogę nie powiedział ani słowa i było w nim coś takiego, że niewrażliwy z natury Barker również powstrzymał się od rozmowy.

Wielka armia posuwała się Kensington High Street, ściągając niezliczone głowy do okien, bo z dawien dawna, jak pamięcią sięgnąć, nie widziano w Londynie tak dużej armii. W porównaniu z tą ogromną organizacją, która poruszała się teraz na przestrzeni całych kilometrów, z Buckiem na czele jako dowódcą, a królem na końcu jako sprawozdawcą dziennikarskim, cała nasza historia problemu Notting Hillu wydaje się nic nie znaczącym zdarzeniem. Wobec tego wojska czerwoni wojownicy z Notting Hill i zieloni z Bayswater wyglądali jak małe rozproszone grupki. Wobec tej armii cała ta batalia wokół ulicy Pompy była niby mrowisko pod kopytami bawołu. Każdy, kto widział niekończące się szeregi ludzi, wiedział, że nadszedł triumf brutalnej arytmetyki Bucka. Czy Wayne miał rację czy nie, czy był mędrcom czy wariatem, wszystko to mogło stanowić temat do dyskusji. Ale było to tematem historycznym. U wylotu Church Street, na wprost kościoła Kensingtonskiego, maszerujący zatrzymali się w doskonałych nastrojach.

— Poślijmy do nich jakiegoś posłańca czy herolda — rzekł Buck, zwracając się do Barkera i do króla. — Poślijmy i zaproponujmy im, żeby poddali się bez dalszej kotłowania.

— Cóż my im powiemy? — odezwał się Barker z powątpiewaniem.

— Fakty mówią same za siebie — stwierdził Buck. — Powiedzmy im po prostu, że ich armia, która walczy z naszą armią, i nasza dotychczasowa armia, która walczy z ich armią, razem wynosi tysiąc ludzi. Powiedzmy, że mamy ponadto cztery tysiące ludzi. To przecież bardzo proste. Na tysiąc walczących żołnierzy oni mają najwyżej trzystu i teraz z tymi trzystoma ludźmi muszą walczyć przeciwko czterem tysiącom siedmiuset. Niech spróbują, jeżeli ich to bawi.

I burmistrz Północnego Kensingtonu roześmiał się.

Herold, którego wysłano na Church Street wystrojony był w uniform Południowego Kensingtonu i mienił się od złota i błękitu. Na dolmanie miał wyszyte trzy ptaki. Towarzyszyło mu dwóch trębaczy.

— Ale cóż oni zrobią, gdy się zgodzą — zapytał Barker, czując po prostu potrzebę odezwania się wśród nagłej ciszy, jaka zawisła nad ogromną armią.

— Znam ja dobrze mojego Wayne'a — roześmiał się Buck. — Gdy się podda, przyśle nam czerwonego herolda z płomienistym lwem Notting Hillu. Nawet poddaniem się zachwyci, gdy jest ceremonialne i romantyczne.

Król, który podszedł do czoła kolumny wzdłuż szeregu, odezwał się teraz po raz pierwszy:

— Nie zdziwiłbym się wcale — rzekł — gdyby Wayne zawiódł pana i mimo wszystko nie przysłał herolda. Sądzę też, że pan nie zna Wayne'a tak dobrze, jak się panu wydaje.

— Bardzo dobrze, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Buck swobodnie — lecz jeżeli to się nie wyda brakiem szacunku, gotów jestem moje polityczne kalkulacje przedstawić w bardzo prostej formie. A mianowicie, gotów jestem założyć się o dziesięć funtów przeciw szylingowi, że herold przyjdzie i przyniesie wiadomość o poddaniu się.

— Dobrze — powiedział Oberon. — Mogę się mylić, ale moje zdanie o Adamie Wayne jest takie, że on raczej umrze w swojej dzielnicy, niż się podda, i że dopóki nie umarł, nie będzie to bezpieczna posiadłość.

— A więc zakład stoi, Najjaśniejszy Panie — rzekł Buck.

Potem znowu nastąpiło długie milczenie, podczas którego tylko Barker wśród nieruchomej armii przechadzał się i tupał hałaśliwie po swojemu.

Nagle Buck pochylił się naprzód.

— Przegrywasz swoje pieniądze, Najjaśniejszy Panie — rzekł. — Wiedziałem, że tak będzie. Oto nadchodzi herold od Adama Wayne.

— Wcale nie! — krzyknął król również wypatrując pilnie. — Ty potworze, to jest czerwony omnibus.

— Bynajmniej — zaprzeczył Buck spokojnie, a król nic nie odpowiedział, bo już nie było wątpliwości, że szeroką i pustą Church Street szedł pomiędzy dwoma trębaczami herold Notting Hillu.

Buck miał w sobie coś, co go nauczyło wspaniałomyślności. W tej godzinie powodzenia uczuł się wspaniałomyślny względem Wayne'a, którego rzeczywiście podziwiał; wspaniałomyślny wobec króla, którego pokonał tak publicznie; a przede wszystkim wspaniałomyślny względem Barkera, który był tytułarnym kierownikiem tej wielkiej armii z Południowego Kensingtonu, stworzonej geniuszem samego Bucka.

— Generale Barker — rzekł Buck z ukłonem — zechce pan przyjąć poselstwo oblężonych?

Barker skłonił się również i podszedł do herolda.

— Czy wódz twój, Adam Wayne, otrzymał nasze wezwanie do poddania się?

Herold uroczyście i z wielkim uszanowaniem potwierdził to.

Wtedy Barker, kaszląc lekko ze zmieszania, lecz ośmielony, zapytał:

— I jaką odpowiedź przesyła twój pan?

Herold znowu skłonił się i zaczął monotonicznie:

— Oto moje poselstwo. Adam Wayne, Wysoki Lord Burmistrz Notting Hillu na mocy przywileju króla Oberona i wszelkich praw boskich i ludzkich, wolny naczelnik wolnego miasta pozdrawia Jakuba Barkera, Wysokiego Lorda Burmistrza Południowego Kensingtonu wolnego i czcigodnego, na mocy tych samych praw, wodza armii Południa. Z całą przyjazną czcią i wszystkimi konstytucyjnymi względami wzywa Jakuba Barkera, aby złożył broń i kazał również złożyć broń całemu wojsku, pozostającemu pod jego dowództwem.

Zanim herold dokończył tych słów, już król wybiegł na otwartą przestrzeń, z błyszczącymi mocno oczyma. Reszta sztabu i pierwsze linie wojska po prostu zatrzymały oddech z wrażenia. Kiedy wszyscy przyszli jako tako do siebie, ogarnęła ich niepokonana wesołość, reakcja była zbyt nagła.

— Wysoki Lord Burmistrz Notting Hillu — ciągnął monotonicznie herold — w wypadku waszego poddania się nie ma zamiaru wykorzystywać swego zwycięstwa dla celów ucisku, który inni planowali przeciwko niemu. Pragnie wam pozostawić wasze wolne prawa i wasze wolne miasta, wasze sztandary i wasz własny rząd. Nie chce zniszczyć wierzeń Południowego Kensingtonu, ani starych zwyczajów Bayswateru.

Pierwsze szeregi wielkiej armii wybuchnęły gromkim śmiechem.

— Król musiał mieć coś wspólnego z tym tonem — odezwał się półgłosem Buck, uderzywszy się po udach. — To już szczyt bezczelności, Barker, napijmy się wina.

I w przypływie dobrego humoru posłał po wino i dwie szklanki do restauracji naprzeciwko kościoła.

Kiedy śmiech ucichł, herold mówił dalej, wciąż jednakowo monotonicznie:

— Jeżeli złożycie broń i rozejdziecie się pod kontrolą naszych sił, to lokalne prawa wasze zostaną pieczołowicie uszanowane. W razie przeciwnym Wysoki Lord Burmistrz Notting

Hillu pragnie obwieścić, że zajął właśnie wieżę ciśnień tuż nad wami, na Campden Hill i że za dziesięć minut od tej chwili, a raczej od chwili mego powrotu z waszą odmowną odpowiedzią otworzy wielki rezerwuar i zaleje całą dolinę, w której się znajdujecie, wodą głęboką na trzydzieści stóp. Niech Bóg zachowa króla Oberona!

Buck upuścił szklankę i wino rozlało się strugą po ulicy.

— Ale... ale... — powiedział i nagle w ostatnim wspaniałym zrywie zdrowego rozsądku spojrzął faktom w twarz.

— Musimy się poddać — rzekł. — Nie możemy nic poradzić przeciwko pięćdziesięciu tysiącom ton wody, które za dziesięć minut zwałą się z tego stromego pagórka. Musimy się poddać. Cztery tysiące naszych ludzi znaczy teraz tyle co czterech ludzi. *Vicisti Galilaea!* Perkins, może byś mi przyniósł jeszcze jedną szklankę wina.

I w ten sposób wielka armia Południowego Kensingtonu poddała się i rozpoczęło się imperium Notting Hillu. Jeszcze jeden fakt w związku z tym jest, być może, godny wzmianki — fakt, że po tym zwycięstwie Adam Wayne kazał położyć wieżę ciśnień na Campden Hill i zaopatrzyć we wzniosły pamiątkowy napis głoszący, iż to jest pomnik Wilfryda Lamberta, bohaterskiego obrońcy tego miejsca. Nad napisem stała figura tegoż Lamberta, której twórca jednak nie oddał całej sprawiedliwości jego wielkiemu nosowi.

# CZEŚĆ PIĄTA

## Rozdział I

### IMPERIUM NOTTING HILLU

Wieczorem, trzeciego października, w dwadzieścia lat po wielkim zwycięstwie Notting Hillu, które mu oddało władzę nad Londynem, król Oberon, jak za dawnych czasów, wyszedł na przechadzkę z Pałacu Kensingtonskiego.

Niewiele się zmienił, prócz tego, że mu przybyło kilka pasemek siwych włosów, bo twarz jego zawsze była stara, a chód powolny i jakby zgrzybiały.

Jeżeli wyglądał staro, to nie z jakichś specjalnych fizycznych czy duchowych powodów, tylko dlatego, że wciąż jeszcze, z dziwnym konserwatyzmem upierał się nosić długi surdut i wysoki cylinder z czasów przed Wielką Walką.

— Przeżyłem potop — mawiał o sobie. — Jestem piramidą, więc muszę zachowywać się jak piramida.

Kiedy szedł przez ulicę, Kensingtonczycy w swych malowniczych, błękitnych bluzach pozdrawiali go jak króla, a potem oglądali się za nim jak za dziwem. Wydawało im się to niezwykle, że ludzie kiedyś nosili taki dziwaczny strój.

Król, zażywając spaceru będącego przywilejem starców (przyjaciele nazywali go teraz poufale „staruszkciem Oberonem”), dreptał ku północy. Przy Południowej Bramie Notting Hillu zatrzymał się i oczy jego rozbłysły wspomnieniem, była to jedna z owych dziewięciu wielkich bram z brązu i stali, ozdobionych płaskorzeźbami, przedstawiającymi dawne bitwy, dłuta samego Chiffy.

— Aha! — rzekł do siebie król ze śmiesznym akcentem prowincjonalnym, trzęsąc głową i niepotrzebnie pozując na staruszka. — Pamiętam ja czasy, kiedy żadnej z tych bram jeszcze tu nie było.

Przeszedł przez Bramę Ossingtonską strzeżoną przez wielkiego lwa odlanego z czerwonej miedzi na żółtej mosiężnej podstawie, na której wryty był napis „Nothing Hill \*”. Strażnik ubrany w czerwień ze złotem zasalutował mu halabardą.

Słońce już zachodziło i zapalano lampy. Oberon zatrzymał się, aby popatrzeć na nie, bo były jednym z najpiękniejszych arcydzieł samego mistrza Chiffy, toteż artystyczne oko króla nigdy nie omijało okazji, aby cieszyć się ich widokiem. Ku pamięci Wielkiej Walki Latarni każda z wielkich żelaznych lamp była zakończona przez zasłoniętą postać z mieczem w jednym ręku, trzymającą nad lampą gasidło w formie żelaznego kapturka, jak gdyby gotowa była w każdej chwili zgasić lampę, gdyby sztandary armii Południa i Zachodu znowu ukazały się w mieście. W ten sposób żadne dziecko Notting Hillu nie mogło bawić się na ulicach, aby nawet latarnie nie przypominały mu ocalenia jego kraju w pamiętnym strasznym roku.

— Stary Wayne miał częściowo rację — zauważył król. — Miecz jednak upiększa rzeczy. Przywrócił romantyzm światu. I pomyśleć, że uważano mnie za błazna dlatego, że zaproponowałem romantyczny Notting Hill. Dalibóg, dalibóg (wyrażenie, zdaje mi się, bardzo odpowiednie), zupełnie jak za dawnych czasów.

Skręciwszy na rogu, znalazł się na ulicy Pompy, naprzeciwko czterech sklepów, które Adam Wayne tak uważnie studiował przed dwudziestu laty. Powoli wszedł do sklepu pana

\* Nothing Hill — nic złego.

Mead, kupca korzennego. Pan Mead postarzał się trochę, jak i reszta świata, czerwona jego broda, którą teraz nosił razem z wąsami, długa i gęsta, posiwiatała częściowo i straciła kolor. Kupiec ubrany był w powłóczystą i bogato haftowaną szatę w kolorach błękitnym, brązowym i karmazynowym, tkaną we wspaniałe i skomplikowane wzory na sposób prawdziwie wschodni; były to jakies ciemne symbole i obrazy, przedstawiające jego towary przechodzące z rąk do rąk, od narodu do narodu. Na szyi miał łańcuch z wizerunkiem okrętu Argonautów, wycięty w turkusie, który nosił jako Wielki Mistrz korzenników. Cały sklep miał wygląd poważny i wspaniały, tak jak jego właściciel. Towary były poukładane okazale, jak w dawnych czasach, tylko że teraz ugrupowane zostały z poczuciem barw i harmonii, tak często zaniedbywanym przez tępych kupców korzennych z zamierzchłych czasów. Towary wyłożone były z prostotą, ale nie w taki sposób, jak pospolity kupiec pokazuje to, co ma na składzie, tylko raczej tak, jak wykształcony miłośnik dzieł sztuki przedstawia swoje skarby. Herbata była zamknięta w wielkich błękitnych i dzielonych wazach, na których wypisano dziewięć najważniejszych sentencji mędrców chińskich. Inne wazy koloru czerwopomarańczowego, mniej srogie i władcze, więcej skromne i marzycielskie kryły w sobie herbatę z Indii. Konserwy zostały umieszczone w szeregu skrzyń ze srebrzystego metalu. Każda skrzynia była ozdobiona prostym lecz symbolicznym wizerunkiem muszli, ryby, rogu lub jabłka, który wskazywał, co się kryje we wnętrzu puszeki.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł pan Mead, składając głęboki, wschodni ukłon — wielki to zaszczyt dla mnie, ale jeszcze większy zaszczyt dla całego naszego miasta.

Oberon zdjął kapelusz z głowy.

— Panie Mead — odrzekł — Notting Hill czy daje, czy bierze, zawsze postępuje honorowo. Czy pan może sprzedaje lukrecję?

— Lukrecja, Najjaśniejszy Panie — rzekł na to pan Mead — nie jest najmniej ważnym z dobrodziejstw, jakie czerpiemy z ciemnego serca Arabii.

Z namaszczeniem podszedł do zielonosrebrnego pudła, zrobionego w kształcie arabskiego meczetu i zaczął obsługiwać klienta.

— Wspominałem sobie właśnie, panie Mead — rozpoczął król w zamyśleniu — choć sam nie wiem dlaczego właśnie teraz, ale wspominałem sobie to, co się działo przed dwudziestu laty. Czy pan pamięta czasy przed wojną?

Kupiec, zawiąawszy pałeczki lukrecji w papier (przyozdobiony jakąś stosowną sentencją) podniósł swoje wielkie marzące oczy i popatrzył na zmierzchające niebo, widoczne przez szyby sklepowe.

— Och, tak, Najjaśniejszy Panie — rzekł — pamiętam te ulice zanim jeszcze Lord Burmistrz rozpoczął swoje rządy. Nie przypominam sobie dobrze, co czuliśmy wtedy. Wszystkie te walki i wspaniałe pieśni tak zmieniają człowieka; nie wiem nawet, czy zdajemy sobie dokładnie sprawę, ile zawdzięczamy naszemu burmistrzowi, ale pamiętam doskonale, jak przed dwudziestu dwu laty przyszedł do tego samego sklepu i pamiętam, co mówił wtedy. Najciekawszą rzeczą jest, że, o ile pamiętam, to co on mówił wtedy wydawało mi się niesłychanie dziwaczne. Teraz zaś to, co ja wówczas mówiłem, o ile sobie przypominam, wydaje mi się dziwaczne, tak dziwaczne jak bełkot szaleńca.

— Ach! — powiedział król patrząc na niego z niezmaconym spokojem.

— Ja wtedy lekceważyłem zawód kupca kolonialnego — ciągnął dalej Mead. — Czyż to nie jest dość dziwne dla każdego? Nie myślałem wcale o tych wszystkich cudownych miejscach, z których pochodzą moje towary, ani o tajemniczych drogach, jakie przebyły. Nie wiedziałem wówczas wcale, że jestem właściwie królem niewolników, polujących oszczepem na ryby u brzegów tajemniczego jeziora i zrywających dla mnie owoce na południowych wyspach. Umysł mój był zupełnie pusty pod tym względem. Byłem głupi jak but.

Król również odwrócił się ku drzwiom i patrzył w zapadającą ciemność, wśród której płonęły już wielkie lampy, mające przypomnieć pamiętną walkę.



— Czy taki był cel biednego, starego Wayne'a — spytał król na w pół sam siebie. — Rozpalić każdego tak, by się spalał we własnym ogniu. Więc to takie jest zwycięstwo mojego nieporównanego Adama Wayne, że stał się jednym z mnóstwa Wayne'ów? Czy zwyciężył i przez to stał się uosobieniem banalności? Czy pan Mead, kupiec kolonialny, musi mówić tak wzniosłe jak on? Boże! Cóż za dziwny świat, na którym człowiek nie może pozostać jedynym w swoim rodzaju, nawet gdy pofatyguje się zwariować?

I zamyślony wyszedł ze sklepu.

Przez chwilę zatrzymał się przed drugim z kolei sklepem, prawie dokładnie tak samo jak przed dwoma dziesiątkami lat zrobił Lord Burmistrz.

— Jakże niesamowicie wygląda ten sklep — powiedział król do siebie. — A jednak ośmielająco niesamowicie, zachęcająco niesamowicie. Pasuje jakoś do tych dobrych starych bajek, które są tak straszne, że skóra na człowieku cierpnie, a jednocześnie wiadomo, że wszystko skończy się dobrze. Na przykład te powycinane niskie ostre gzymsy przypominają skrzydła wielkiego czarnego nietoperza, a te gąsiory na dole lśnią niby ślepia olbrzymów. Ten sklep wygląda zupełnie jak domostwo dobrotliwego czarodzieja, oczywiście jest to apteka...

Kiedy domawiał tych słów, do drzwi sklepu podszedł pan Bowles, aptekarz, w długiej szacie z kapturem z czarnego aksamitu, niby klasztornej, lecz właściwie diabolicznej. Włosy miał nadal zupełnie czarne, a twarz jeszcze bledszą niż dawniej. Jedyną barwną plamą w jego stroju była czerwona gwiazda rżnięta w jakimś kosztownym, ciemnym kamieniu, zawieszona na piersiach. Aptekarz należał do Stowarzyszenia Czerwonej Gwiazdy Miłosierdzia, symbolu znajdującym się na latarniach lekarzy i farmaceutów.

— Piękny wieczór, proszę pana — odezwał się aptekarz. — Nie myślę się chyba rozpoznając w panu Jego Królewską Wysokość. Proszę, proszę wejść do środka i wzmocnić siły buteleczką soli trzeźwiących albo czymkolwiek, na co przyjdzie chęćka Waszej Królewskiej Mości. Dziwnym zbiegiem okoliczności ktoś z dawnych znajomych Twych, Najjaśniejszy Panie, bawi również w danej chwili w moim sklepie i raczy się tym napojem, jeżeli wolno mi się tak wyrazić.

Król wszedł do sklepu, który wyglądał jak ogród Aladyna, pełen odcieni i barw, bo gama kolorów w aptece rozłożona z delikatniejszym smakiem i większą fantazją była bogatsza niż w sklepie kupca kolonialnego. Można się było nawet wyrazić, że nigdy oko artysty nie oglądało podobnego bukietu lekarstw.

Ale nawet ta wspaniała tęcza barw migocąca na tle zmierzchu nie mogła dorównać postaci, stojącej pośrodku sklepu. Postać ta, wielka i imponująca, odziana była w błyszczącą szatę z jaskrawoniebieskiego aksamitu, zrobioną w najwspanialszym renesansowym stylu, a rozcięcia i wyłogi ukazywały cudnego koloru podszewkę cytrynową czy bladożółtą. Dostojny ten mąż nosił na szyi kilka bogatych łańcuchów, a pióropusz mieniący się różnymi odcieniami brązu i złota spływał aż do złotej rękojeści jego miecza. Pił on powoli dawkę soli trzeźwiących, podziwiając jej opalową barwę. Król, lekko zaintrygowany, zbliżył się do wysokiej postaci, której twarz była ukryta w cieniu i nagle zawołał:

— Na potężne bóstwo pomyślności, przecież to Barker!

Postać uchyliła kapelusza z piórami, ukazując ciemne włosy i długą prawie końską twarz, którą król dawniej tak często widywał, wychylającą się z wysokiego kołnierzyka z Bond Street. Poza siwymi pasmami na skroni Barker był zupełnie niezmienny.

— Najjaśniejszy Panie! — odezwał się Barker — jest to wzruszające spotkanie, przypomnienie przeszłości, spotkanie, które nam przywołuje na pamięć pewien złocisty październik. Piję na cześć starych czasów! — i z prostotą wychylił do dna sole trzeźwiące.

— Jakże się cieszę, że cię znowu widzę, Barkerze — rzekł król. — Dawno już, doprawdy, nie spotykaliśmy się. Z powodu tych moich podróży do Azji Mniejszej i pisania książki (czytałeś przecież moje „Życie księcia Alberta dla dzieci”?), widzieliśmy się tylko co dwa razy od czasów Wielkiej Walki. A to już przeszło dwadzieścia lat temu.

— Zastanawiam się — powiedział Barker z rozważą — czy mogę mówić swobodnie z Waszą Królewską Mością?

— Chyba trochę za późno — odezwał się Oberon — zaczynać mówić z szacunkiem. Bij skrzydłami, mój ptaku wolności.

— Dobrze, Najjaśniejszy Panie — odrzekł Barker zniżając głos. — Otóż zdaje mi się, że niedługo będziemy mieć nową wojnę.

— Co chcesz powiedzieć — zapytał Oberon.

— Nie zniesiemy już dłużej tego zuchwalstwa — dziko wybuchnął Barker — nie jesteśmy niewolnikami, dlatego że Adam Wayne oszukał nas przed dwudziestu laty za pomocą rury wodociągowej. Notting Hill jest Notting Hillem, ale nie jest całym światem. My w Południowym Kensingtonie także mamy swoje wspomnienia, jak i swoje nadzieje. Jeżeli oni walczyli za te tandetne sklepy i kilka latarni, to czyż my nie będziemy walczyć za naszą wspólną High Street i za święte Muzeum Historii Naturalnej?

— Wielkie nieba! — zawołał zdumiony Oberon. — Czyż nigdy nie ustaną cuda na tym świecie? Czyż doprawdy dokonały się dwa największe cuda? Czyż wy staliście się altruistami, a Wayne samolubem? Czy wy zostaliście patriotami, a on tyranem?

— To nie od Wayne'a pochodzi całe zło — odpowiedział Barker. — On jak zwykle pograżony jest w marzeniach, i siedzi wciąż przy kominku ze swoim starym mieczem. Ale Notting Hill jest naszym tyranem, Najjaśniejszy Panie. Jego Rada i jego mieszkańcy są tak upojeni szerzeniem zwyczajów i wizji Wayne'a po całym mieście, że próbują wtrącać się do każdego, rządzić każdym, cywilizować wszystkich i każdego uczyć, co jest dla niego dobre. Nie zaprzeczam, że jego wojna, jakkolwiek wydawała się nam dzika, była wielkim impulsem dla społecznego życia naszych czasów. Wydarzyła się ona, kiedy byłem jeszcze młodym człowiekiem i przyznaję, że przyczyniła się do rozwoju mojej kariery. Ale my nie pozwolimy, żeby nasze miasta były wykpiwane, a plany ich krzyżowane dzień w dzień tylko dlatego, że Wayne zrobił coś dla nas ćwierć wieku temu. Czekam tu właśnie na wiadomości w tej sprawie. Rozchodzą się pogłoską że dzielnica Notting Hill położyła swoje veto co do wzniesienia pomnika generała Wilsona naprzeciwko Chepstow Place. Jeżeli tak jest rzeczywiście, to jasne jak słońce, że mamy do czynienia z bezwstydnym łamaniem warunków, pod którymi poddaliśmy się Turnbullowi po bitwie pod Wieżą. Zapewniono nam wolność naszych dawnych zwyczajów i samorząd. Jeżeli to jest prawdą...

— To jest prawdą — odezwał się nagle jakiś głęboki głos i obydwoj rozmawiający obrócili się.

Krępa postać w fioletowych szatach, ze srebrnym orłem na szyi i z wąsami prawie tak nastroszonymi, jak pióra jego beretu, stanęła we drzwiach.

— Tak — rzekł widząc zdumienie króla — jestem burmistrz Buck; wiadomości są prawdziwe. Ci ludzie z Notting Hill zapomnieli, że biliśmy się pod Wieżą tak samo dobrze jak i oni, i że pogardzać zwyciężonymi jest czasem nie tylko podłością, ale i szaleństwem.

— Wyjdźmy na powietrze — rzekł Barker z posępnym spokojem.

Buck wyszedł ze sklepu i stał na ulicy wodząc oczyma po szeregach płonących latarni.

— Chciałbym spróbować zburzyć to wszystko — mruczał — chociaż już mam więcej niż sześćdziesiąt lat. Ach, jak ja bym...

Głos jego przeszedł nagle w krzyk, a on zatoczył się o krok, podnosząc ręce do oczu tak, jak to zrobił na tej samej ulicy dwadzieścia lat temu.

— Ciemno! — krzyknął — znowu ciemno! Co to ma znaczyć?

Bo rzeczywiście wszystkie lampy na całej ulicy nagle zgasły, tak że mogli odróżnić tylko niewyraźne zarysy swoich sylwetek. Z ciemności doszedł ich dziwnie wesoły głos aptekarza.

— Oo, to panowie nie wiecie? — spytał. — Nie mówiono wam, że dziś jest Święto Latarni, rocznica wielkiej bitwy, która omal nie zgubiła i z trudem ocalała Notting Hill? Czy

nie wiesz, Najjaśniejszy Panie, że tej właśnie nocy dwadzieścia jeden lat temu ujrzelśmy zielone uniformy Wilsona szarżujące po tej ulicy i pędzące aż na gazownię Wayne'a i Turnbulla, którzy wraz z garstką ludzi walczyli jak wszyscy diabli. I wtedy to, w tej wielkiej godzinie Adam Wayne wskoczył przez okno do gazowni i jednym poruszeniem ręki sprowadził ciemność na całe miasto, a potem z łoście lwim rykiem, który słychać było na czterech ulicach, rzucił się z mieczem na ludzi Wilsona i wypędził ich, oszołomionych i nie znających okolicy, ze świętej ulicy. I nie wiecie panowie, że co roku tej nocy wszystkie światła gasną na pół godziny, podczas gdy śpiewamy po ciemku nasz hymn Notting Hillu? Słuchajcie! Oto się zaczyna.

Wśród ciemności słychać było warkot bębnow, a potem głośny śpiew:

*Gdy świat trwał w równowadze, a noc w Notting Hill,  
A noc w Notting Hill, szlachetniejsza była niż dzień,  
Na miasta, lśniąca światel złotą luną*

*Znad mórz i pustyn nieznaną szedł cień.  
Szła ciemność, szła ciemność, jej skrzydła cicho suną,  
Wtedy stara gwardia Boga rusza w bój!*

*Gdy stara gwardia Boga rusza w bój, rusza w bój,  
Spadają gwiazdy, nim sztandar straci swój.  
A gdy wyjących hord okrąży ją rój,*

*Nim padną cytadele, a z rąk złamane miecze,  
Mrok jak smok Pana świat kirem oblecze.  
Gdy gwardia Boga rusza w bój! \**

Śpiewający ukończyli właśnie drugą strofkę, gdy śpiew ich został przerwany jakąś goniwą i krzykiem. Słyszając to Barker wyskoczył na ulicę z okrzykiem: „Południowy Kensington” wyciągając sztylet z pochwy. W mgnieniu oka cała zatłoczona ulica wypełniła się przekleństwami i walką. Barker został odrzucony przed sklep, ale wykorzystał tę sekundę tylko po to, aby wydobyć również miecz z pochwy, po czym rzucił się znowu w tłok, krzycząc:

— To już nie pierwszy raz przebijam się przez was. — Widocznie nareszcie przelał krew, bo podniosła się jeszcze gwałtowniejsza wrzawa i w słabym świetle zabłysło wiele innych mieczów i sztyletów. Barker zraniwszy niejednego człowieka, został znowu odrzucony w tył, gdy Buck nagle ukazał się na ulicy. Nie miał broni, bo lubił swoją osobą wyrażać raczej spokojną wspaniałość wielkiego obywatela niż zawadiacki dandyzm, który zastąpił dawniejszy poważny dandyzm z czasów młodości Barkera. Jednym uderzeniem pięści stłukł szybę wystawową pobliskiego sklepu (był to właśnie magazyn starożytności) i zanurzając do środka rękę, chwycił jakąś szpadę japońską. Po czym z okrzykiem: „Kensington, Kensington!” rzucił się na pomoc Barkerowi.

Miecz Barkera był już złamany, ale opędzał się dokoła swoim sztyletem. Właśnie gdy Buck podbiegł, jakiś człowiek przewrócił Barkera, ale Buck natychmiast powalił tego człowieka na ziemię i Barker zerwał się znów na nogi, z krwią ściekającą po twarzy.

Nagle wszystkie te krzyki przeciął potężny głos, który zdawał się spadać gdzieś z nieba. I dla króla, i dla Bucka, i dla Barkera straszne było to, że głos ten zdawał się pochodzić z pustego nieba, ale, jeszcze straszniejsze było to, że ten głos był im dobrze znany, a jednocześnie niesłyszany od tak bardzo dawna.

— Zapalcie światła — odezwał się głos z góry, lecz przez chwilę nie było żadnej odpowiedzi oprócz tumultu.

\* Przełożyła Maria Doleżał.

— Na Notting Hill i Wielką Radę miasta, zapalcie światła!

Znowu przez chwilę panował tumult i zamieszanie, i nagle ulica i wszystkie znajdujące się na niej przedmioty wynurzyły się z ciemności, a jednocześnie wszystkie lampy ożyły. Spojrzawszy do góry, ludzie zobaczyli Wayne'a stojącego na jakimś balkonie pod samym dachem jednego z najwyższych domów. Jego czerwone rozwiane włosy, przetkane już były trochę srebrem.

— Cóż to ma znaczyć, mój ludzie? — zapytał. — Czyż nie podobna dokonać czegokolwiek, żeby natychmiast nie przerodziło się to w zło? Chwała Notting Hillu, którą zakończyła się jego walka o niepodległość, była dla mnie rzeczą dostatecznie wielką, żebym miał o czym marzyć przez długie lata, siedząc przy ogniu. Czyż dla was, zajętych i podniecających się tyłoma innymi sprawami, to nie wystarcza? Notting Hill jest narodem. Czyż koniecznie ma zniżyć się i stać się imperium? Chcecie zwalić posąg generała Wilsona, który ludzie z Bayswater tak słusznie postawili na Westbourne Grove. Szaleńcy! Kto wznosił ten posąg? Czy wznosił go Bayswater? Nie, to Notting Hill wznosił go! Czyż nie rozumiecie, że największa chwała naszego osiągnięcia leży w tym, żeśmy wszystkich naszych sąsiadów zarazili idealizmem Notting Hillu? To my stworzyliśmy nie tylko jedną, ale obie strony tego zatargu. O, zbyt skromni głupcy, dlaczegoż mielibyście zniszczyć waszych przeciwników? Zrobiliście dla nich znacznie coś więcej... Stworzyliście waszych wrogów. Teraz chcecie zburzyć ten gigantyczny srebrny młot, który stoi jak obelisk na środku Broadway w Hammersmith. Szaleńcy! zanim wyrosła potęga Notting Hillu, czyż ktoś, przechodząc przez Broadway, spodziewał się, że kiedykolwiek ujrzy tam gigantyczny srebrny młot? Chcecie zwalić wielką brązową figurę rycerza, stojącą na sztucznym moście w Knightsbridge. Szaleńcy! Któż ważyłby się na to, zanim Notting Hill powstał? Słyszałem nawet, a słyszałem to z głębokim bólem, że zazdrosne oko naszego imperializmu skierowało się ku odległym horyzontom zachodnim i ma coś przeciwko wielkiemu, czarnemu pomnikowi Koronowanego Kruka, postawionemu na pamiętkę utarczki w Ravenscourt Park. Kto stworzył te wszystkie pomniki? Czy były one zanim my przyszliśmy? Czy nie możemy zadowolić się losem, który zadowolił Ateny, losem, który zadowolił Nazaret? Losem, którego skromnym celem było stworzenie nowego świata. Czyż Ateny gniewają się o to, że Rzymianie i Florentyńczycy przyjęli ich frazeologię dla wyrażania własnego patriotyzmu? Czyż Nazaret obraża się, ponieważ jako małe miasteczko stał się wzorem wszystkich małych miasteczek, o których snoby powiadają, że nic z nich nie może wyjść dobrego? Czy Ateny wymagały, żeby wszyscy nosili chlamidy? Czy stronnicy Nazarejczyków zmuszali wszystkich do noszenia turbanów? Nie! Ale dusza Aten przeniknęła świat i zmusiła ludzi do picia trucizny i dusza Nazaretu przeniknęła świat i zmusiła ludzi, ażeby się dawali krzyżować. Tak i dusza Notting Hillu przeniknęła świat i uprzytomniła ludziom, co to jest życie w mieście. I tak jak my wprowadziliśmy nasze symbole i ceremonie, tak oni wprowadzili swoje; i czy doprawdy jesteście tak bardzo szaleni, że chcecie to zwalczać? Notting Hill ma rację, zawsze miał rację, ukształtował się stosownie do własnych warunków, stosownie do swojego *sine qua non*, przyjął swoje własne ultimatum. Ponieważ jest narodem, więc stworzył sam siebie i ponieważ jest narodem, może sam siebie zniszczyć. Notting Hill zawsze będzie sędzią. Jeśli jest waszym życzeniem, aby z powodu pomnika generała Wilsona wojować z Bayswater...

Wrzask okrzyków zadowolenia zgłuszył jego słowa i dalsza przemowa stała się niemożliwa. Blady tak, że aż zbiełały mu wargi, wielki patriota próbował kilka razy przemówić, ale nawet jego powaga nie mogła opanować ciemnego i ryczącego tłumu kłębiącego się u jego stóp. Mówił coś jeszcze, ale nie można go było dosłyszeć. Wreszcie zszedł smutnie z mansardy, na której mieszkał i wmieszał się w tłum pod domem. Odnalazłszy generała Turnbulla, położył mu rękę na ramieniu z dziwną czułością i powagą, i powiedział:

— Jutro, mój stary, będziemy mieli nowe doświadczenie, tak świeże jak kwiaty wiosenne. Zostaniemy pokonani. Dotychczas jakoś w ten czy inny sposób chybiałiśmy tę osobliwą

rozkosz, chociaż przebyliśmy razem trzy bitwy. Co za szkoda, że nie będziemy mogli opowiadać sobie nawzajem naszych doświadczeń, gdyż, jak wiemy ze smutnego doświadczenia, prawdopodobnie obaj będziemy zabici.

Turnbull wydawał się zaskoczony.

— Nie bardzo się przejmuję, czy będę zabity — odrzekł — ale dlaczego mówisz, że będziemy pokonani?

— Odpowiedź jest bardzo prosta — rzekł spokojnie Wayne. — Ponieważ powinniśmy zostać pokonani. Byliśmy kiedyś w okropnych opałach, ale zawsze byłem pewny, że dobre gwiazdy są po naszej stronie i że musimy wydostać się z tego. Teraz wiem, że nie powinniśmy wydostać się z tego i to mi odbiera cały zapał, dzięki któremu do tej pory zwyciężałem.

Wayne drgnął lekko, bo obaj spostrzegli, że słucha ich ktoś trzeci — mała figurka z zaciekawionymi oczyma.

— Czy to rzeczywiście prawda, mój drogi Wayne — przerwał im król — że wierzyć w jutrzejszą porażkę?

— Co do tego żadnych wątpliwości nie może być — odpowiedział Adam Wayne — a przyczyna jest ta, o której wspomniałem przed chwilą. Ale tobie, jako materialście, muszę uczynić pewną koncesję i dodam, że oni mają po swojej stronie zorganizowaną armię stu sprzymierzonych miast przeciwko naszemu jednemu. To samo jednak nie byłoby takie istotne.

Quin wpatrywał się w Wayne'a natarczywie swymi okrągłymi oczyma.

— Czy jesteście zupełnie pewni, że musicie zostać pobici? — spytał wreszcie.

— Obawiam się — odparł Turnbull pośpiesznie — że nie można mieć co do tego wątpliwości.

— W takim razie — zawołał król, wyciągając ku nim ramiona — dajcie mi halabardę! Niech ktoś da mi halabardę! Pragnę, aby wszyscy byli świadkami, że ja, król Oberon abdykuję tu w tej chwili i na tym miejscu, i błagam burmistrza Notting Hillu, aby mi pozwolił zaciągnąć się do jego armii. Dajcie mi halabardę!

Wyrwał halabardę z rąk jakiegoś przechodzącego gwardzisty, oparł ją na ramieniu i z uroczystą miną stanął na końcu szeregu halabardników, odbywających właśnie paradę. Jednak nie brał żadnego udziału w burzeniu pomnika generała Wilsona, co miało miejsce nad ranem.

## Rozdział II

### OSTATNIA BITWA

Pochmurny był dzień, gdy Wayne wkroczył z całą swoją armią do ogrodów Kensingtonskich, aby tam umrzeć, pochmurny był, gdy armia ta została pochłonięta przez ogromne armie nowego świata. Tylko przez chwilę zabłysło słońce, kiedy burmistrz z Notting Hill z całą obojętnością widza spojrzął na wojska nieprzyjacielskie rozmieszczone na wielkich trawnikach. Długie pasy zielone, błękitne i złote układały się w czworoboki i prostokąty niby twierdzenie Euklidesa bogato haftowane na zielonym tle. Ale blask słońca był słaby, jak gdyby wilgotny, i prędko znikł. Wayne rozmawiał z królem o działaniach wojennych, mówił jednak jakoś dziwnie zimno i ospale. Spełniły się jego wczorajsze słowa do króla — kiedy został pozbawiony przekonania w słuszność swej sprawy, stracił właściwie cały zapał. Czuł się stary i niepotrzebny w świecie samych kompromisów i rywalizacji, w świecie imperium, zwalczającego imperium, w świecie, gdzie zarówno tolerowano dobro jak i zło. Lecz gdy

wzrok jego padł na króla, który bardzo poważnie maszerował w swoim cylindrze i z halabardą na ramieniu, twarz rozjaśniła mu się cokolwiek.

— Cóż, Najjaśniejszy Panie — zagadnął — ty przynajmniej możesz być dumny dzisiaj. Jeżeli dzieci twoje walczą ze sobą, to którakolwiek strona zwycięży, zawsze to będą twoje dzieci. Inni królowie wymierzali sprawiedliwość, tyś nam wymierzył życie. Inni królowie władali jakimś narodem, ty stworzyłeś narody. Inni tworzyli królestwa, ty je spłodziłeś. Spójrz na swoje dzieci, ojcze! — wyciągnął rękę w kierunku nieprzyjaciół.

Lecz król nie podniósł oczu.

— Spójrz, Najjaśniejszy Panie — wołał Wayne — jak wspaniale wyglądają ludy tych nowych miast, idące ku nam zza rzeki. Spójrz, jak Battersea kroczy naprzód pod flagą z wizerunkiem Zgubionego Psa; a Putney? Czyż widzisz jak w tej chwili na ich sztandarze zabłyś w słońcu Człowiek na Białym Dziku? To nowa epoka się zbliża, Najjaśniejszy Panie, Notting Hill nie jest zwykłym imperium; jest czymś takim, czym były Ateny, jest matką nowego stylu życia, takiego rodzaju życia, który odmłodzi cały świat, jest czymś w rodzaju Nazaretu. Pamiętam, gdy byłem jeszcze młodziekiem, w owych starych, ponurych czasach rozmaici mędrkowie pisywali książki o tym, jak to kiedyś pociągi będą coraz szybsze i cały świat stanie się jednym wielkim państwem, a tramwaje będą kursować na księżyc. A ja nawet jeszcze jako dziecko mówiłem sobie wtedy: „Daleko więcej prawdopodobne, że będziemy znowu udawać się na wojny krzyżowe albo znowu czcić bóstwa miast”. I to się sprawdziło, rad jestem ogromnie, choć to moja ostatnia bitwa.

Jeszcze mówił, gdy doleciał ich szczęk stali z lewej strony, więc odwrócił w tamtą stronę głowę.

— Wilson! — zawołał z radością. — Czerwony Wilson zaatakował naszą lewą flankę. Nikt go nie powstrzyma, po prostu polyka miecze. Jest równie odważnym żołnierzem jak Turnbull, tylko mniej cierpliwym, mniej ma w sobie wielkości. Ha! i Barker się ruszył. Jak ten Barker wyszlachetniał! Jak on pięknie wygląda! Nie wystarcza nosić pióra u kapelusza: trzeba jeszcze mieć duszę w codziennym życiu.

Nowy szczęk stali, tym razem po prawej stronie, zwiastował, że Barker zaatakował Notting Hill z drugiej strony.

— Turnbull jest tam! — krzyczał Wayne. — Spójrz, jak ich odrzuca z powrotem! Barker jest wstrzymany! Turnbull atakuje... zwycięża! Ale nasze lewe skrzydło przerwane. Wilson zniósł Bowlesa i Meada, może obejść nas od flanki. Naprzód, gwardio burmistrza!

I całe centrum ruszyło naprzód. Twarz, włosy i miecz Wayne'a płonęły w pierwszym szeregu.

Król też rzucił się naprzód.

W następnej chwili trzask obwieścił, że szeregi zetknęły się z nieprzyjacielem. I naprzeciwno siebie ponad lasem własnego oręża dojrzał Oberon Fioletowego Orła Bucka z Północnego Kensingtonu. Po lewej stronie Wilson szturmował łamiące się szeregi. Jego mała zielona postać z rudymi wąsami, w laurowym wieńcu na czole rzucała się w oczy nawet w płątaniu ludzi i broni. Bowles ciał go w głowę i zerwał mu część wieńca, którego reszta zboczyła się krwią, lecz Wilson, rycząc jak byk, rzucił się na niego i po kilku ciosach zagłębił ostrze w piersi aptekarza, który zwalił się z okrzykiem: Notting Hill! Ludzie z Notting Hill zaczęli wtedy się chwiać i pędzeni przez Bayswater uciekać w popłochu. Tak to Wilson roznosił to wszystko, co napotkał na swojej drodze.

Jednak na prawej flance Turnbull pchał się gwałtownie ze swoją chorągwią z Czerwonym Lwem na ludzi Barkera i chorągiew ze Złotymi Ptakami z trudem tylko utrzymała się na miejscu. Ludzie Barkera padali gęsto. W centrum Wayne i Buck zwarli się zaciekle. Jak dotąd walka była wyrównana. Lecz bitwa ta była farsą: daleko na tyłach trzech małych armii, z którymi zmagaly się oddziały Wayne'a, leżało wielkie morze armii sprzymierzonych, które na razie przyglądały się bitwie jak pogardliwi widzowie, lecz za jednym poruszeniem palca

mogły zmieść z pola wszystkich walczących razem wziętych.

I nagle armie rezerwowe ruszyły. Było widać, jak posuwały się naprzód przednie oddziały pastuszych dowódców z Shepherd's Bushu z długimi dzidami i skórami owczymi przewieszonymi przez plecy, i nieokrzese klany z Paddington Green. Posuwali się naprzód z bardzo ważnego powodu. Oto Buck z Północnego Kensingtonu dawał im rozpaczliwe sygnały, był otoczony i kompletnie odcięty. Jego oddziały zmieniły się w bezładną masę ludzi, rzuconą jak wyspa w czerwone morze Notting Hillu.

Sprzymierzeni zbyt byli niedbali i pewni siebie. Dopuszcili do tego, że siły Barkera zostały rozbite w perzynę przez Turnbulla, a w chwili, kiedy się to stało, przebiegły stary wódz Notting Hillu zmienił szyk swoich ludzi i zaatakował Bucka z tyłu i z obu boków. W tej samej chwili Wayne krzyknął: „Szarżuj!” i uderzył na niego z frontu jak piorun. Dwie trzecie ludzi Bucka zostało wyciętych, zanim sprzymierzeńcy zdążyli do nich dobiec. Jednak wkrótce nadpłynęło całe morze wolnych miast z banderami i zatopiło na zawsze w swych falach Notting Hill! Walka nie była skończona, bo żaden z ludzi Wayne'a nie chciał się poddać, i trwała do zachodu słońca i jeszcze długo potem. Ale bitwa była rozstrzygnięta, historia Notting Hillu została zamknięta.

Gdy Turnbull to zrozumiał, przestał na chwilę walczyć i rozejrzał się dokoła. Światło zachodzącego słońca padło na jego twarz, była ona podobna do twarzy dziecka.

— Wykorzystałem moją młodość — rzekł. Potem wyrwał topór jakiemuś człowiekowi, rzucił się w gąszcz włóczni Shepherd's Bushu i poległ gdzieś, w głębi ich zachwianych szeregów. Walka huczała dalej i przed zapadnięciem nocy wszyscy ludzie z Notting Hill zostali wybici co do nogi.

Po bitwie Wayne stał sam jeden pod drzewem. Kilku ludzi zbliżyło się do niego z toporami. Jeden z nich zamachnął się na niego. Zdawało się, że Wayne zachwiał się, lecz wyciągnął rękę i oparł się o drzewo.

Teraz Barker przyskoczył do niego w podnieceniu wymachując mieczem.

— No, i cóż, mój panie — zawołał — jak wielkie jest teraz imperium Notting Hillu?

Wayne uśmiechnął się w zapadającym zmroku.

— Zawsze tak wielkie jak to — odpowiedział i zatoczył mieczem srebrne półkole. Barker upadł zraniony w kark, a Wilson przeskoczył przez jego ciało jak tygrys i rzucił się na Wayne'a. W tej samej chwili rozległ się głośny okrzyk poza plecami obrońcy Czerwonego Lwa, zapłonęły żółte barwy, i masa halabardników z Zachodniego Kensingtonu wdarła się na zbocze wzgórza, po kolana w trawie, niosąc przed sobą żółtą chorągiew miasta i krzycząc głośno.

W tejże sekundzie Wilson zwałił się jak mucha pod mieczem Wayne'a. Wielki miecz wzniósł się niby ptak, lecz i mały Wilson zdawał się unosić razem z nim, a ponieważ jego miecz był złamany, rzucił się Wayne'owi jak pies do gardła. Pierwszy z żółtych halabardników dotarł do drzewa i uniósł topór nad walczącym Wayne'em, lecz momentalnie król zamachnął się własną halabardą i wbił ostrze w jego twarz. Tamten zachwiał się i stoczył się ze wzgórza właśnie wtedy, gdy wściekły Wilson został znowu odrzucony na plecy. Ale zerwał się jeszcze raz i jeszcze raz skoczył Wayne'owi do gardła. I znów został odrzucony, ale tym razem śmiał się triumfalnie. W mocno zaciśniętej ręce trzymał żółto-czerwoną wstęgę, którą Wayne nosił jako burmistrz Notting Hillu przez dwadzieścia pięć lat.

Z wielkim okrzykiem Zachodnio-Kensingtonczycy otoczyli Wayne'a żółta chorągiew załopotała nad jego głową.

— Gdzie twoja wstęga, burmistrzu? — zawołał dowódca Zachodniego Kensingtonu.

Rozległ się ogólny śmiech.

Adam ciął chorążego i ten zachwiał się. Gdy wypuszczona z bezwładnej ręki chorągiew miała już upaść, Wayne chwycił i oderwał szmat żółtej materii. W tej właśnie chwili jakiś halabardnik zranił go w ramię, na którym pokazała się krwawa plama.

— Oto jest jedna barwa! — zawołał, zatykając szmatę za swój pas. — A tutaj — krzyknął, wskazując na własną krew — tutaj jest druga barwa!

W tej samej chwili niespodziane i mocne uderzenie halabardą pograżyło króla w omdlenie czy śmierci. W fantastycznych wizjach znikającej przytomności ujrzał coś, co zdawało się należeć do zupełnie zapomnianych czasów, coś, co widział dawno temu w pewnej restauracji. Gasnącymi oczyma zobaczył żółtą i czerwoną barwę Nikaragui.

Quin nie widział końca walki. Wilson, pijany radością, znowu skoczył ku Adamowi Wayne i wielki miecz Notting Hillu raz jeszcze wzniósł się w górę. Ludzie skulili się instynktownie przed świstem miecza, spadającego jakby z niebios, a Wilson z Bayswater został rzucony na ziemię jak natrętna mucha. Padł trupem, ale i ostrze, które go zabiło, zostało złamane. Umierając Wilson złamał wielki miecz i jego czar. Nacisk nieprzyjaciół zepchnął Wayne'a na drzewo. Byli zbyt blisko niego, aby mogli użyć halabardy, czy nawet miecza, stali dotykając się pierś o pierś. Buckowi udało się jednak wyciągnąć swój sztylet.

— Zabić go! — krzyczał jakimś dziwnym zduszonym głosem. — Zabić go! Czy jest dobry, czy zły, on nie nasz! Nie dajcie się okłamać jego twarzy! Nie dajcie się zaślepić! Boże! Czyż nie byliśmy dotychczas zaślepieni!

Cofnął w tył rękę, by zadać cios i zdawało się, że zamknął oczy.

Wayne nie opuścił ręki, którą chwycił gałąź drzewa. Jego pierś i całą postać przebiegł potężny dreszcz wysiłku, jaki przebiega wzgórza podczas trzęsienia ziemi, jednym konwulsyjnym szarpnięciem oddarł gałąź od pnia razem z kawałkami rozerwanego drzewa; zamachnął się nią tylko raz i spuścił ją na Bucka, druzgocąc mu kark. Projektodawca wielkiej linii komunikacyjnej zważył się martwy na twarz, ściskając kurczowo sztylet.

— Dla ciebie, dla mnie i dla wszystkich dzielnych ludzi, mój bracie — rzekł wtedy Wayne swoim dziwnym, śpiewnym głosem — w gospodzie na końcu świata nalewają dobre wino.

Ściśnięci ludzie znowu zatoczyli się ku niemu; było właściwie za ciemno, żeby walczyć swobodnie. Wayne znowu uczeplił się dębu, tym razem zagłębiając rękę w szerokiej dziupli, jakby chwytając się wnętrza drzewa. Cały tłum, liczący ponad trzydziestu ludzi natarł na Wayne'a chcąc go oderwać od drzewa, zawiśli po prostu na nim całym swym ciężarem, ale Wayne ani drgnął — zapanowała chwila niezmaconej ciszy. Nagle rozległ się jakiś słaby dźwięk.

— Ręka mu się wyslizguje — zawołał w podnieceniu jakiś człowiek.

— Nie znacie go dobrze — odpowiedział ponuro drugi głos, należący do weterana dawnej wojny. — To prędzej pęka jego kość.

— Ani to, ani to, dla Boga, ani to, ani to — zawołał pierwszy.

— Więc cóż się dzieje? — zapytał drugi głos.

— To drzewo się wali — odpowiedział pierwszy.

— „Jako drzewo się zwali, tak powinno leżeć” — odezwał się w ciemności Wayne, głosem, jak zawsze słodkim, a zarazem strasznym, jak gdyby pochodzącym z bardzo daleka, jak gdyby wieścił jakieś wydarzenie. Bo Wayne nawet wtedy, gdy wywijał się jak węgorz, albo bił się jak szaleniec, mówił tak, jak gdyby był tylko widzem.

— „Jako drzewo się zwali, tak powinno leżeć” — powtórzył słowa z Biblii. — Ludzie nazywają to tekstem ponurym. A jednak jest to esencją całej radości, triumfu. Robię teraz to, co robiłem przez całe moje życie, co jest jedynym moim szczęściem, co jest dla mnie wszystkim. Jestem wierny czemuś, co jeżeli ma paść, niech leży. Szaleńcy, błądziecie po świecie i oglądacie królestwa ziemskie, jesteście mądrzy, liberalni, kosmopolityczni, a to jest wszystko, co może dać wam szatan, to jest wszystko, co szatan mógł ofiarować Chrystusowi, po to tylko, by zostać odtraconym. Ja zaś czynię to, co czynią prawdziwi mędrzy. Gdy dziecko wyjdzie do ogrodu, obejmie drzewo i powie: „Niech to drzewo będzie wszystkim dla mnie”, to w tej samej chwili korzenie tego drzewa sięgną piekła, a gałęzie gwiazd. Radość, jaką



odczuwam, jest taka, jaką odczuwa mężczyzna, kiedy kobieta jest dla niego wszystkim. Taka, jaką odczuwa dziki, gdy wszystkim dla niego jest jego bożek. Ja też to odczuwam, bo Notting Hill jest mi wszystkim. Niech więc stoi dalej, albo upada.

W tym momencie dźwignęła się w górę ziemia, jak coś żywego, ukazując węzowe sploty korzeni dębu. Potem wielka korona drzewa, która wydawała się zieloną chmurą na tle swych szarych towarzyszek, zamiotła nagle niebo niby potężna miotła i całe drzewo przewróciło się jak okręt, miażdżąc wszystkich swym upadkiem.

### Rozdział III

#### DWA GŁOSY

Na miejscu, gdzie od wielu godzin panowała zupełna ciemność, panowała również od wielu godzin także zupełna cisza. Wtem nie wiadomo skąd, odezwał się jakiś głos wśród ciemności:

— I tak się kończy imperium Notting Hillu. Jak rozpoczęło się we krwi, tak kończy się we krwi, wszystko pozostaje zawsze takie same.

I znowu zapadło milczenie i znowu odezwał się głos, ale miał teraz jakiś inny dźwięk; zdawało się, że to nie jest ten sam głos.

— Jeżeli wszystko pozostało takie same, to dlatego, że wszystko jest zawsze bohater-skie. Jeżeli wszystko pozostaje takie same, to dlatego, że wszystko jest zawsze nowe. Każde-mu człowiekowi dano tylko jedną duszę, każdej duszy dano tylko odrobinę mocy — mocy, która w pewnych momentach może przerosnąć gwiazdy i połknąć je. Jeśli wiek po wieku ta moc przenika ludzi, to cokolwiek czynią jest wielkie. Cokolwiek sprawia, że człowiek czuje się stary, jest marne — wszystko jedno, czy to będzie imperium, czy sklep skąpca. Wszystko, co sprawia, że człowiek czuje się młody, jest wielkie — czy to jest wielka wojna, czy przygo-da miłosna. W najbardziej tajemniczej z ksiąg boskich jest zapisana prawda, która również jest zagadką. Ludzi najbardziej nużą rzeczy nowe, mody, projekty, zmiany i udoskonalenia. Właśnie stare rzeczy, zdumiewają i upajają. To właśnie stare rzeczy są młode. Każdy sceptyk odczuwa, że wielu już wąpiło przed nim. Każdy bogaty i lekkomyślny człowiek czuje, że wszystkie nowomodne pomysły są przestarzałe. Nie ma chyba ani jednego wielbiciela zmian, który by nie czuł na swym karku olbrzymiego ciężaru znużonego wszechświata. Ale my, któ-rzy czynimy rzeczy stare, zostaliśmy obdarzeni przez naturę wiecznym dzieciństwem. Żaden zakochany nie wierzy, że przedtem ktokolwiek kochał. Żadna kobieta, która ma dziecko, nie wierzy, że przed nią kobiety też miały dzieci. Nigdy ludzie, którzy walczą za miasto rodzinne nie martwią się o upadłe imperia. Tak, o głosie tajemniczy, świat jest ciągle taki sam, bo ciągle jest zmienny.

Lekki powiew wiatru przeleciał wśród nocy, po czym znów głos pierwszy odpowiedział:

— Ale na tym świecie są tacy, nie wiem, mądry czy szaleni, których nic nie zachwyca. Są tacy, co patrzą na wszystkie wasze niepokoje jak na chmurę much. Wiedzą, że chociaż ludzie śmieją się z waszego Notting Hillu, a studiują, omawiają i opiewają Jeruzalem i Ateny, to jednak Jeruzalem i Ateny były takimi samymi śmiesznymi miasteczkami jak Notting Hill. Wiedzą, że cała ziemia jest tylko śmiesznym przedmieściem, wyniośli i znudzeni poruszają się po tej ziemi, dając się łaskawie zabawiać.

— Może są to filozofowie, a może głupcy — odpowiedział drugi głos — ale nie prawdziwi ludzie. Ludzie żyją, jak powiedziałem, od wieków, ciesząc się czymś świeższym niż

postęp. Cieszą się tym, że z każdym dzieckiem rodzi się nowe słońce i nowy księżyc. Gdyby nasza stara ludzkość była pojedynczym człowiekiem, to prawdopodobnie załamałaby się pod ciężarem tak różnorodnych heroizmów, pod uciskiem i grozą całej dobroci ludzkiej. Ale Bóg raczył tak odosobnić każdą duszę, że może ona dowiedzieć się o innych duszach tylko ze słyszenia, i do każdej dobroć i szczęśliwość dociera z gwałtownością błyskawicy i tak samo jak ona krótko trwa. Zaś nieunikniony upadek wszelkich systemów ludzkich nie powinien nic a nic obchodzić ludzi, tak jak dzieci bawiące się na łące nie trapią się robactwem nieuniknionej mogiły, która ich kiedyś czeka. Notting Hill upadł, Notting Hill umarł. Ale fakt ten nie jest wstrząsający, bo Notting Hill żył.

— Ale jeżeli — odezwał się pierwszy głos — jeżeli to, co się dokonało kosztem takich wysiłków i przyniosło ludzkości tylko pospolite zadowolenie, to po cóż ludzie mieli mozolić się nad tym tak bardzo, po cóż mieli umierać za to? Czyż pierwsza lepsza gromada chłopów albo plemię dzikusów nie mogłoby zdziałać tego samego co Notting Hill? Poważny to problem, co świat mógłby dać Notting Hillowi, gdyby był inny, ale poważniejszy jeszcze, co mogłoby się stać ze światem, gdyby Notting Hill nigdy nie istniał?

Drugi głos odpowiedział:

— To samo, co by się stało ze światem i ze wszystkimi systemami gwiazdnymi, gdyby na jabłoni zamiast siedmiu jabłek wyrosło sześć? Coś byłoby stracone na wieki. Nigdy na świecie nie było nic absolutnie podobnego do Notting Hill. I nigdy nie będzie zupełnie takiego samego aż do sądnego dnia. Myślę, że Bóg kochał Notting Hill, tak jak musi na pewno kochać wszystko, co jest sobą i co nie da się zastąpić. Ale ja nawet i o to nie dbam. Niech by Pan Bóg z wszystkimi swymi piorunami nienawidził Notting Hill, ja go kochałem.

I jednocześnie z tymi słowami wysoka dziwna figura podniosła się w półmroku spomiedzy rumowisk.

Drugi głos odezwał się dopiero po dłuższej przerwie, a brzmiał jakoś chrypliwie:

— Ale założmy, że cała ta sprawa była w rzeczywistości tylko trickiem... Założmy, że jakiegokolwiek znaczenie ty jej przypisywałeś w swojej fantazji, niemniej prawdziwym jej celem był żart i drwina. Przypuść, że to wszystko było wariactwo. Przypuść...

— Ja przecież brałem udział w tym od początku do końca — zabrzmiał głos wysokiej i dziwnej figury — i wiem, że to nie był żart ani wariactwo.

Mniejsza figurka, jak się zdawało w ciemności, podniosła się do połowy.

— Przypuść, że ja jestem Bogiem — mówiła — i przypuść, że stworzyłem świat w chwili bezczynności. Przypuść, że gwiazdy, które ty uważasz za wieczne, to tylko śmieszne fajerwerki, puszczane przez wiecznego uczniaka. Przypuść, że słońce i księżyc, do którego po kolei śpiewasz hymny, to tylko dwoje oczu szydzącego olbrzymia, który otwiera je po kolei w niekończącym się mruganiu. Przypuść, że drzewa w moich oczach wyglądają tak głupio jak olbrzymie muchomory. Przypuść, że Sokrates i Karol Wielki są dla mnie zwykłymi zwierzętami, które tylko dlatego są zabawniejsze, że chodzą na tylnych nogach. Przypuść, że jestem Bogiem i stworzywszy wszystko, śmieję się z tego.

— A ty przypuść, że ja jestem człowiekiem — odpowiedział tamten. — I przypuść, że daję taką odpowiedź, która niweczy nawet śmiech. Przypuść, że ja nie wyśmiewam się z ciebie, nie bluźnię ci, nie przeklinam ciebie. Przypuść, że stoję wyprostowany pod niebem, w pełni mych sił, i składam ci dzięki za to, żeś stworzył dla mnie ten raj, choćby to był raj szaleńców. Przypuść, że ja cię wielbię w ekstazie, dochodzącej aż do bólu za ten żart, który mi dał tak niepojętą radość. Jeżeli zabawom dziecinny nadaliśmy powagę Wypraw Krzyżowych, jeżeli twój groteskowy, holenderski ogródek skropiliśmy krwią męczeńską, to zamieniliśmy zwykły pokój dziecinny w świątynię. I pytam cię, w imię nieba, który z nas wygrał?

Niebo tuż nad grzbietem wzgórz i drzew, ponad chmurami zaczęło zmieniać się z czarnego na szare niosąc zapowiedź poranku. Drobną postacią zdawała się podpełzać do wysokiej postaci, a głos jej stał się więcej ludzki:

— Ale przypuść, mój przyjacielu, przypuść, że było to wszystko kpina w najbardziej gorzkim i realistycznym sensie tego słowa. Przypuść, że był ktoś, kto od początku tych wielkich wojen patrzył na nie z uczuciem, które się nie da wyrazić słowami, z uczuciem obcości, z uczuciem odpowiedzialności, ironii, męki. Przypuść, że był ktoś, kto wiedział, że to wszystko było żartem.

Wysoka postać odpowiedziała:

— Tego nie mógł wiedzieć, bo to wcale nie był żart.

Poryw wiatru przepędził kilka chmur, zasłaniających horyzont i odsłonił pasek srebra za ciemnymi nogami tajemniczej postaci. Wtedy mała figurka podpełzła jeszcze bliżej i znów odezwał się jej głos:

— Adamie Wayne, są ludzie, którzy spowiadają się tylko *in articulo mortis*; są ludzie, którzy ganią siebie tylko wtedy, gdy nie mogą już nic pomóc innym. I ja należę do takich ludzi. Tutaj, na tym polu krwawego końca tego wszystkiego powiem ci wprost to, czego nie chciałeś zrozumieć dotychczas. Czy wiesz kim jestem?

— Poznaję cię, Oberonie Quin — odpowiedziała wysoka postać — i będę rad, gdy dzięki mnie zrzucisz ciężar gniotący twą duszę.

— Adamie Wayne — odezwał się znowu tamten — biorąc pod uwagę zdrowy rozsądek, nie możesz być rad, że zdejmiesz z mej duszy ciężar tego, co zamierzam ci powiedzieć. Wayne, to wszystko było tylko żartem. Kiedy tworzyłem te miasta, nie dbałem o nie więcej niż o centaury albo o wodnika, albo o rybę z nogami, czy o prosię ze skrzydłami, czy o jakiś inny absurdalny wymysł. Kiedy mówiłem do ciebie, poważnie i zachęcająco, o sztandarze wolności i pokoju twego miasta, to kpiłem wulgarnie z uczciwego człowieka — i ta wulgarna kpina trwała przez dwadzieścia lat. Chociaż nikt by w to nie uwierzył, niemniej jednak jestem człowiekiem nieśmiałym i miękkiego serca. We wczesnych chwilach twoich wielkich nadziei i później w dniach twojej supremacji, nigdy nie śmiałem powiedzieć ci tego, nie śmiałem zamącić tego niezwykłego spokoju na twojej twarzy. Bóg jeden wie, dlaczego miałbym zrobić to teraz, gdy moja farsa skończyła się tragedią i ruiną całego twego narodu. Jednak powiem ci to teraz: Wayne, to wszystko było żartem!

Nastąpiła cisza, a wzmagający się wiatr coraz bardziej i bardziej rozganiał chmury, odsłaniając wielkie płaty białego świtu.

Nareszcie Wayne odezwał się bardzo powoli:

— A więc to wszystko było tylko żartem?

— Tak — odrzekł Quin krótko.

— Kiedyś powziął ten zamiar — mówił Wayne powoli — żeby stworzyć armię Bayswateru i sztandar Notting Hillu, ani przez chwilę nie przyszło ci na myśl, nie miałeś cienia obaw, że takie rzeczy mogą stać się prawdziwe, i że mogą obudzić wielkie namiętności?

— Nie — odpowiedział Oberon z ponurą, wspaniałą szczerością i obrócił swoją okrągłą bladą twarz do wschodzącego poranka. — Nie przyszło mi to na myśl.

A Wayne zeskoczył z wyniosłości, wyciągnął ku niemu rękę.

— Nie mogę ci dosyć dziękować — rzekł z jakąś dziwną radością w głosie. — Nie mogę ci dosyć dziękować za to wielkie dobro, jakie naprawdę wyświadczyłeś światu. Wszystko, co o tym myślę, powiedziałem ci już przed chwilą, kiedy sądziłem, że głos twój jest głosem szyderczej wszechmocy, której śmiech jest starszy niż wiatry niebios. Ale pozwól mi jeszcze powiedzieć, co jest ostateczne i prawdziwe. Ty i ja, Oberonie Quin, obaj byliśmy przez całe nasze życie nazywani szaleńcami. I jesteśmy szaleńcami. Jesteśmy szaleńcami, ponieważ właściwie nie jesteśmy dwoma ludźmi, tylko jednym człowiekiem. Jesteśmy szaleńcami, ponieważ jesteśmy dwiema półkulami tego samego mózgu, który był rozszczepiony na pół. A jeżeli spytasz się, jaki mam dowód na te słowa, nie trudno mi go będzie znaleźć. Jest tak, jak mówię, nie tylko dlatego, żeś ty, kpiarz, został w owych ciemnych dniach odarty z radości płynącej z powagi. Jest tak nie tylko dlatego, że ja, fanatyk, pozbawiony poczucia humoru,

musiałem iść po omacku. Jest tak mimo to, że pozornie jesteśmy w sprzeczności we wszystkim, jesteśmy w sprzeczności jak mężczyzna i kobieta, dążący jednocześnie do tego samego celu. Jesteśmy ojcem i matką Przywileju Miast.

Quin spojrział w dół na kłębowisko liści i połamanych gałęzi, na ślady walki i ucieczki, widoczne teraz w jasnym świetle dnia i rzekł w końcu:

— Jednak nic nie może zmienić naszego antagonizmu, faktu, że ja śmiałem się z tych rzeczy, a ty je uwielbiałeś.

Dzika twarz Wayne'a pałała jakimś prawie boskim uniesieniem, gdy zwrócił się ku wschodowi:

— Znam coś, co zmieni ten antagonizm, coś, co jest poza nami, coś, co i ja i ty za mało może braлиśmy pod uwagę: zawsze ta sama i wieczna istota ludzka. Ona zmieni nasz antagonizm, gdyż ludzka istota nie widzi antagonizmu pomiędzy śmiechem i szacunkiem. Ludzka istota, człowiek pospolity, którego zwykli geniusze, podobni do nas, mogą czcić jak bóstwo. Kiedy nadchodzą ciemne, nudne dni, wówczas jesteśmy potrzebni — ja i ty: prawdziwy fanatyk i prawdziwy kpiarz. Bo my obaj naprawiliśmy wielkie zło. My wynieśliśmy współczesne miasta na takie wyżyny poezji, o których każdy, kto zna dobrze ludzkość, wie, że są bez porównania pospolitsze niż banalność. A u zdrowych ludzi nie istnieje wojna między nami. Jesteśmy tylko dwoma półkulami mózgu oracza. Śmiech i miłość są wszędzie. Katedry budowane w wiekach, gdy naprawdę czczono Boga, są pełne groteskowych bluźnierstw przeciwko Niemu. Matka zawsze śmieje się do dziecka, kochanka do swego kochanka, żona do męża, przyjaciel do przyjaciela. Oberonie Quin, byliśmy zbyt długo rozdzieleni, odejdźmy razem! Ty masz halabardę, a ja miecz; pójdźmy na wędrowkę po świecie. Bo my jesteśmy dwoma tego świata zasadniczymi pierwiastkami. Chodźmy. Już jest dzień.

W bladym, białawym świetle Oberon wahał się chwilę. Potem bardzo uroczyście zasalutował halabardą i odeszli razem w nieznaną stronę.

# SPIS TREŚCI

Zamiast przedmowy	02
-------------------	----

## Część pierwsza

Rozdział I	
Wstępne uwagi o sztuce przepowiadania przyszłości	09
Rozdział II	
Zielony człowiek	11
Rozdział III	
Pagórek humoru	21

## Część druga

Rozdział I	
Przywilej miast	26
Rozdział II	
Narada burmistrzów	31
Rozdział III	
Wariat ukazuje się na scenie	38

## Część trzecia

Rozdział I	
Stan duszy Adama Wayne	45
Rozdział II	
Osobliwy pan Turnbull	52
Rozdział III	
Doświadczenie pana Bucka	57

## Część czwarta

Rozdział I	
Bitwa latarni	65
Rozdział II	
Korespondent „Dziennika Dworskiego”	71
Rozdział III	
Wielka armia Południowego Kensingtonu	76

## Część piąta

Rozdział I	
Imperium Notting Hillu	87
Rozdział II	
Ostatnia bitwa	93
Rozdział III	
Dwa głosy	97